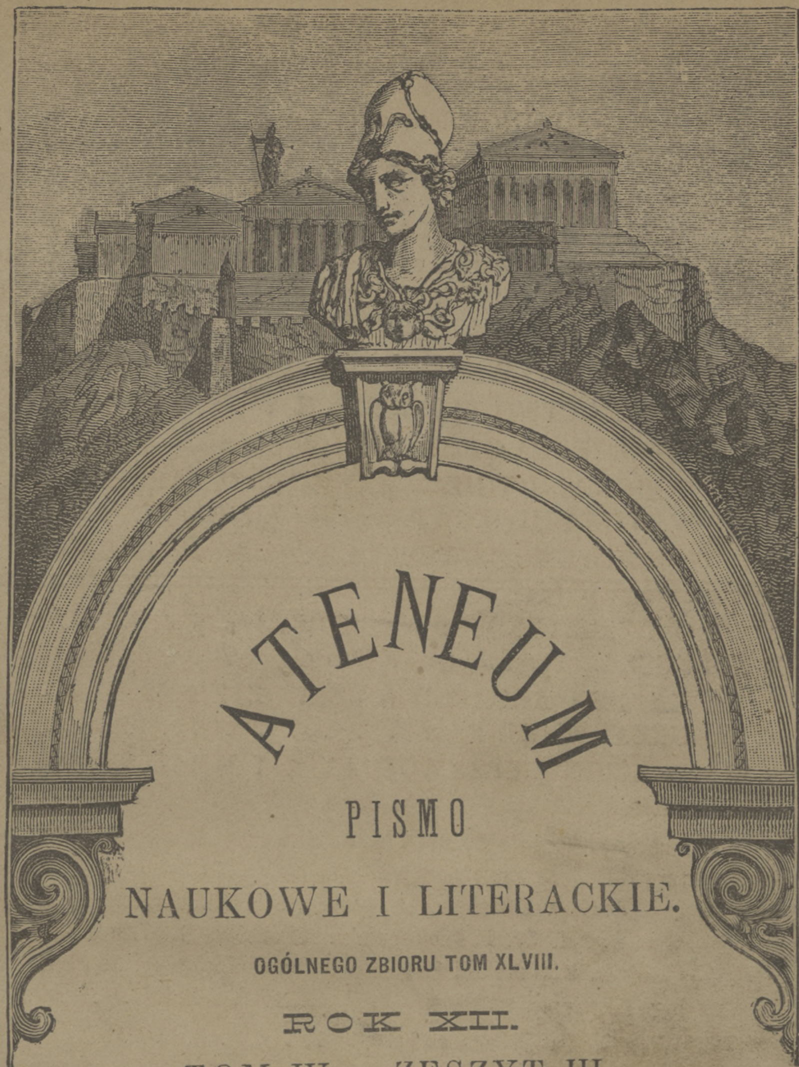


# ATENEUM

## PISMO
## NAUKOWE I LITERACKIE.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XLVIII.

ROK XII.

TOM IV. — ZESZYT III.

Grudzień.

WARSZAWA.
Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1887.

# SPIS RZECZY.



*Druk ukończono 3 Grudnia 1887 r.*



# CZEKAJ REGINKO!...

## NOWELLA.

Złota kula słońca zapadła już za czarną ścianę lasów. Zachodnia część nieba płonęła purpurowymi blaskami; zdawało się, że piekący żar dnia czerwcowego pociągnął za słońcem i niby pożar olbrzymi gorzał dokoła niego. Wraz ze zmrokiem spływał na ziemię chłód, rzeźwiący jak rosa wieczorna. Odmienne życie zadrgało wśród przydróżnego żyta i wśród siedzib ludzkich, zatętniało w lesie i na łące.

Purpura zachodu bladła, ogniste jéj barwy łagodniały, aż wreszcie z różowych stały się żółte.

Między opłotkami ogrodów dążył ku miastu kowal Jakub. Gdyby go kto zapytał, co słyszał, idąc,—odpowiedziałby, że było cicho, zupełnie cicho; a jednak dokoła dźwięczało na różne tony głosów wielkie mnóstwo. Po za płotami ogrodów skrzeczał świerszcz jeden, drugi, dziesiąty; w trzcinie bliskiéj rzeki huczał bąk; od strony miasteczka dolatywał głuchy ryk bydła, beczenie owiec, nawoływania gospodyń. Ale wszystkie te głosy, rozpocząwszy raz swoją codzienną, powszednią piosenkę, brzmiały daléj tak jednostajnie, że ucho zadumanego człowieka zapominało wnet o nich a myśli krążyły nieprzerwaném pasmem, jakby żaden dźwięk ich nie płoszył. Tak samo nie zatrzyma długo uwagi wędrowca nieprzejrzany łan dojrzałego zboża, ani jednostajny błękit pogodnych niebios. I w życiu ludzkiém to tylko pozostanie w pamięci, co brzmi odmiennie, co blask silniejszy posiada—wszystko inne przeminie i zamrze, jak ta polna kapela letniego wieczoru.

Jakub obejrzał się dokoła. Na prawo i na lewo otaczały go płoty, a po za nimi zagony kartofli, owsa, lnu, konopi, daléj—łąki i rzeka; naprost dojrzéć można było wieże i wyniosłe mury kościo-

ła, gontowe dachy domków i ciemnozielone kępy drzew w sadach. Ludzkiéj istoty, jak okiem zasięgnąć, kowal zrazu nie spostrzegł. Za chwilę jednak wpadł mu w oko wystający ponad konopie szeroki koniec grabi. Grabie podnosiły się zlekka i opuszczały, posuwając się wciąż ku drodze, widocznie spoczywały na ramieniu jakiegoś dążącego do domu, zapóźnionego pracownika. Niebawem ukazała się z poza konopi dziewczyna i miedzą od rzeki doszła do płotu. Przełożyła grabie na drugą stronę, potém, ująwszy za kołki, bosą nogę wsunęła między żerdzie. Jakub przystanął i patrzył. Wysmukła postać dziewczyny wznosiła się ku górze prosta i giętka, jak konopiana łodyga, z ruchów poznać można było, że grabiarce ochoty nie zabraknie ani przy robocie, ani przy zabawie. Chusteczka z głowy osunęła się jéj na szyję i kark, a po opalonéj i spoconéj twarzy wiły się pasma włosów, które podczas roboty zapewne oderwały się od starganych, czarnych, grubych warkoczów. Doszedłszy do samego wierzchu, prawą nogę przełożyła na drugą stronę płotu i wykręciła się; odwrócona w ten sposób twarzą do ogrodów, łąk i rzeki, zaczęła po żerdziach, jak po drabinie, spuszczać się na dół. Na twarzy Jakuba malowało się zajęcie.

Dziewczyna założyła znowu grabie na ramię i ruszyła pewnym krokiem ku miastu, nie obejrzawszy się nawet poza siebie w stronę Jakuba.

Kowal popatrzył na nią jeszcze chwilkę, potém wesoło ale z pewną zawziętością mruknął:

— Dobryś, będziesz ty się miała odemnie!... Czekaj Reginko!..

W téj chwili Jakubowi przez myśl przesunęła się cała historya jego pobytu w miasteczku. Choć tu urodzony, przez wiele lat bawił na szerszym świecie. Rok temu dopiero przyjechał wprost z Łomży, dawniéj jeszcze był aż po za Suwałkami, raz nawet w warszawskiéj kuźni pracował. Przytém był robotnik dobry i chłop tęgi zarówno w „budzień“ jak i w święto, więc posiadał szacunek i przyjaźń ludzką; wodził by też réj na każdéj zabawie, gdyby nie Regina Kamińszczanka. Póki jéj nie było, jego słuchano, gdy się ukazała, w téj chwili berło do jéj rąk przechodziło. Choć mocno zawzięty, kowal musiał uznać, że jest bardzo urodziwą i że kasowała inne dziewczęta jak słońce—gwiazdy. Na każdym wieczorku, na każdéj zabawie głos jéj brzmiał najdonośniéj, wszystkiém rządziła, wszyscy ją słuchali. Powiedziała: „grać w pierścionek“—grano, zawołała: „tańczyć“—tańczono. O Jakubie ledwie że pamiętano wtedy—to go bardzo złościło. Tyle świata zwiedził i lepiéjby przecież poprowadził zabawę niż wychowana za piecem dziewczyna. Próbował niedać się i nieraz dobrze przygryzł Reginie. Ale ona też języka

w przygodzie ostrzyć nie potrzebowała i potrafiła się odciąć. Bywało zdarzy się, że wobec całéj kompanii zgłupieje i języka w gębie zapomni, jak dziewczyna powie mu co takiego, czego się nie spodział. Ile razy spotkali się gdziekolwiek, zawsze uderzali o siebie, jak kosa o kamień.

— Czekaj Reginko!—myślał Jakub i cieszył się.

Nie wiedział jeszcze, jak sobie pocznie, ale zrozumiał, że to spotkanie jest doskonałą okazyą do zemsty. W sprzeczce bez świadków pomiędzy mężczyzną i kobietą, mężczyzna ma przewagę, gdyż kobiecie chodzi o to, żeby nie przyszło do ostatecznéj rozprawy przy pomocy siły fizycznéj. Kowal czuł to instynktownie i z góry się cieszył. Szybko dogonił dziewczynę i rezolutnie ją przywitał:

— Dobry wieczór, pannie Reginie!

Zaczépiona niespodziewanie drgnęła, obróciła się szybko i odpowiedziała spokojnie:

— Dobry wieczór.

— Komu to panna Regina tak wodę grabiła, że aż twarz mokra—zapytał Jakub, robiąc przytyk do kropli potu, błyszczących pomimo zmroku na policzkach i czole dziewczyny.

— O!.. o!.. Pan Jakub *musi*, jak kura po zachodzie słonka, wzrok traci, kiedy nie widzi, że grabie suche i siano na zębach wisi. Ale sam, to chyba chodzi tutaj żaby kuć, bo konie i wozy to do kuźni przyprowadzają.

Jakub milczał, jakby szukał odpowiedzi. Dziewczyna znów przygryzła:

— Abo może panu Jakubowi dym w kuźni na oczy szkodzi, to tak sobie spaceruje jak pan i ludzi po drogach napastuje.

— Ej, niech panna Regina lepiéj nie dogaduje tak, już ciemno, a do domu jeszcze kawał drogi.

— To co?

— Saméj nie bardzo raźno wracać.

— Ot! zawsze tu kogo spotkać można, nie tego to owego. A nie, to i sama trafię; nie taka bojąca, jak pan Jakub myśli.

— I nieboja wilki zjedzą.

— Tu wilków niéma.

— Ale może kto przestąpić.

— Żeby mnie co złego można było zrobić, to by pan Jakub pierwszy zrobił.

— Bo panna Regina to zawsze tak na mnie. A jakby panna Regina mnie dała buziaka, to ja by jak wartownik pilnował do samego domu.

Dziewczyna spojrzała na natręta z gniewem i oburzeniem i zaraz odpowiedziała:

— Pan Jakub do przyszłego świętego Wojciecha poczeka. Wtedy podobno w Ciechanowcu na końskim jarmarku to sprzedają buziaki takim, co dobrowolnie dostać nie mogą.

Kowal aż przystanął ze złości. Chciał już plunąć i porzucić hardą dziewczynę, z którą nic wskórać nie mógł, wtém spojrzał przed siebie i... mrowie go przeszło. O kilka staj od miasta, na lewo od drogi czerniała ponuro kępa drzew, z dołu spowijał je mur niby całun biały, w górze jak dwa duchy, rwące się za światy, wychylały się dwie wieże, a po nad niemi krzyże kreśliły granatowe tło nieba żałobnemi liniami... Cmentarz!... Jakub nie raz i nie dziesięć widział drzewa i mur i krzyże, a jednak mrowie go przeszło. W téj chwili powstał mu w głowie cały plan ataku.

— Czekaj Reginko! — pomyślał znowu.

Jednym krokiem zrównał się z dziewczyną, pochylił głowę ku jéj twarzy i przemówił przyciszonym głosem, nadając mu ton tajemniczy:

— A to, to nic—wskazał ręką na cmentarz. — O téj porze najwięcéj umarlaków wyłazi z grobów, żeby ludzi męczyć.

Widział, jak dziewczyna drgnęła.

— Panna Regina da buziaka, to przeprowadzę i obronię — dodał tym samym tonem, pochylając się jeszcze bardziéj.

Dziewczyna gwałtownym ruchem odsunęła twarz.

— Jaki usłużny, prędzéjbym co dała, żeby się odczepił.

— Nie, to nie. Pójdzie panna sama między umarlaków. A chciałem z dobrego serca....

— Ani proszony, ani dziękowany. Już ja się tam bez tego obejdę.

— To szczęśliwéj drogi.

Jakub usiadł na murawie pod płotem, Regina szła daléj.

— Ej, przestąpi umarlak!

— Niech pan Jakub nie bieduje — odparła jeszcze dziewczyna, ale głos jéj był już zniżony i jak gdyby niepewny. Kowal wniósł, że się boi naprawdę i postanowił czekać tu, rachując, że nastraszona wróci i warunek przyjmie.

Tymczasem ostatnie ślady dnia zgasły, zniknęły i już nie można było poznać, w którém miejscu złocista kula słoneczna stoczyła się po za lasy. Wszystko okrył jednakowo szary mrok. Zarysy dalszych przedmiotów zacierały się już, płoty i zagony, domy i sady zaczynały majaczéć jak czarne linie i plamy. W powietrzu unosiły się roje muszek, kiedy niekiedy przelatywał żuk i jak duża kropla deszczu padał na piasek. Regina oddalała się powoli, nie odwróciwszy ani razu nawet głowy. Z początku Jakub widział jéj

chustkę, osuniętą na ramiona i jéj czarne warkocze. Widział, jak grabie przełożyła w lewą rękę i poruszała niémi powoli, podpierając się niby laską. Śledził pilnie każdy ruch wysmukłéj postaci dziewczyny. Myślał, że się zatrzyma, ale ona szła i szła, tonąc coraz bardziéj w mroku wieczornym.

— I nie wróci!... Harda dziewczyna!...—mruknął kowal.

Oparł rękę o zroszoną murawę i powstał. Szybkim krokiem podążył naprzód. Miał zamiar powtórzyć atak pod samym cmentarzem.

— Czekaj Reginko!... — myślał wciąż.

Dziewczyna szła powoli, wkrótce więc ją dogonił.

— No, niech się panna Regina nie gniewa. Nie taki ja najgorszy, jak kto myśli, i nie dam, żeby tu pannę nieboszczyk Nartowicz, albo Ołdziéj przestąpił.

— Co téż pan Jakub plecie — głos Reginy drżał. — Już ja się tam nie boję. Może sobie pan Jakub siedziéć, trafię i sama.

— Tak, tak, a niby to panna Regina nie słyszała o téj kobiécie, co to ją łońskiego roku coś przestąpiło koło cmentarza, co to późniéj z przestrachu zachorowała i umarła. Niby to pannie Reginie nie mogłoby się tož samo przytrafić.

— I... i... kto tam widział. Może jéj się tak co przywidziało.

— Ja tam nie wiem, mnie tu jeszcze wtedy nie było, ale kiedy wszyscy gadają i ona sama opowiadała, jak jakaś straszna mara zaszła jéj drogę, to już musi prawda. A ja sam na własne oczy widział w tamtych stronach, za Suwałkami, to mogę pannie Reginie opowiedziéć.

— Pan Jakub nie opowiada, ja nie ciekawa — mówiła dziewczyna cichym i prawie błagalnym głosem.

— Panna Regina posłucha, to szczéra prawda. Była sobie tam, w tamtych stronach, taka jedna mieszczka dziewczyna. Idzie ona...

Regina szarpnęła się.

— Ja nie proszę i nie potrzebuję—przerwała.— Pan Jakub kiedyindziéj opowié.

Kowal widział, że resztki odwagi opuszczają dziewczynę. Teraz już od niego tak łatwo nie odejdzie. Droga ciemna, a cmentarz stoi cichy, ponury, tajemniczy jak gdyby i groźny; zda się, że ciepła woń zgnilizny bije od niego.

— Czuje panna Regina — pyta — jak nieboszczyki pachną. Szelmy dziady, płytko doły kopią. Ale o téj dziewczynie... Sam ją znałem. Ładna była, że się bywało napatrzéć nie można, kawalery do niéj lgnęli jak do miodu. Idzie ona sobie raz wieczorem drogą koło samego cmentarza, jak niby nie przymierzając panna Regina

teraz. Idzie sobie śmiało, nic nie pytając, jednym razem obróci głowę, aż tu koło bramy cmentarnéj siedzi...

Jakub urwał opowiadanie, ściemniało się już zupełnie. Gdy przestał mówić, słychać było już tylko świerszcza i szelest ich kroków, zresztą panowała cisza zupełna. Najlżejszy powiew wiatru nie burzył powietrza. Drzewa cmentarne stały przed nimi spokojne, nieme, jak nagrobki kamienne. Regina ledwie już nogi stawiała.

Po chwili kowal mówił daléj:

— Siedzi wysoki, czarno ubrany, blady, ślepie żarzą się jak węgle w popiele. Jak tylko spojrzała na niego, on zaraz wstaje. Gałami łypie, aż iskry się sypią i idzie do niéj... Chciała uciekać— noga martwa, chciała się przeżegnać — ręka martwa. Ani drgnie. Co tu robić! A potępieniec rozśmiał się tylko takim strasznym głosem, że mu sowy i puszczyki wszystkie odpowiedziały, psy w miasteczku zawyły, a echo to się aż od lasów o milę odbiło.

— Nie śpiesz się tak, piękna dziewczyno—gada do niéj — musisz się tu ze mną pobawić.

I chwycił ją wpół, przyłożył pysk do szyi z lewéj strony od serca i ssie.... Dziewczyna wtedy zemdlała. Idą na drugi dzień ludzie na pole, patrzą... pod cmentarzem lata dziewczyna jak szalona z rozwianymi włosami. Wołają na nią—nie chce przyjść. Pognali się za nią, gdzie!... ta jak wiatr, jakby ją złe nosiło. Dopiéro dali znać do księdza. Ksiądz przyszedł, przeżegnał i widać ją złe puściło, upadła jak nieżywa. Zaczął ksiądz się modlić, kropić święconą wodą i jakoś odeszło od niéj. Powiada dopiéro, że tak a tak, że potępieniec mnie przestąpił i krew ze mnie ssał. Niejeden nie wierzył, aż patrzą, a tu na szyi z lewéj strony jest znak czerwony podługowaty, jakby kto listek wierzbiny przylepił. Czego nie robili z tym znakiem! i myli i cyrulik nacinał i ksiądz kropił: i nic i nic. Późniéj to dziewczyna ta niby już i zdrowa była, ale jak przyjdzie, bywało, nów', to ucieka gdzieś, to po dachach najwyższych łazi. Przeżyła tak z rok i zachorowała. Rodzice na msze dawali, ofiarowali się do Częstochowy, nic nie pomogło — umarła. Przed skonaniem rzuciła jeszcze gromnicę, zerwała się i chciała gdzieś uciekać, musieli ją aż wodą święconą święcić. A tu sowa na dachu zawodziła, jakby dziecko płakało, aż mrowie przechodziło. Niewiadomo skąd i co, przybłąkał się jakiś kot czarny i darł się pazurami do drzwi i do okna, a wszystko do téj izby, w któréj ona leżała. Co go odpędzą, on znów wraca i gryzie i miauczy, aż póki nie skonała....

Jakub skończył opowiadanie i zamilkł. Uszli tak parę kroków. W téj chwili właśnie zrównali się z rogiem muru cmentarnego.

Kowal pochylił się bliżéj jeszcze ku towarzyszce i wyszeptał cicho ze drżeniem pewném w głosie:

— No, Reginko, buziaka... jednego... i spróbował ująć ją ręką wpół.

Dziewczyna resztką sił odepchnęła natręta.

Jakub odskoczył i zawołał ze złością:

— To idź sobie sama, głupia!

Usiadł na kamieniu pod murem. Regina stała ze spuszczoną głową. Drgnęła raz i drugi, jak gdyby chciała postąpić naprzód, ale nie poruszyła się z miejsca.

Dotąd droga wiła się wciąż szerokim pasem, wśród opłotków, po za którymi słały się rozległe ogrody i łany — oko końca ich pochwycić nie mogło. W tém miejscu stawała się nagle wąską dróżyną i wsuwała się pomiędzy mur cmentarny i parkan sadu. Rosnące nad mogiłami lipy i kasztany wychylały się wysoko i daleko po za okalającą je kamienną opaskę, rozłożyste ich konary sięgały przeciwległego parkanu i mięszały swe gałęzie z wznoszącémi się za nim drzewami. Olbrzymi wał z liści i gałęzi przykrywał drogę ciemném sklepieniem i zamieniał ją jak gdyby w loch czarny. Gdzieś aż daleko - daleko majaczało szare światełko wieczoru. Przeciskające się gdzie niegdzie przez liście jaśniejsze smugi tworzyły na piasku i na murze dziwaczne plamy, zwiększając jeszcze grozę otchłani. Wzrok zatrzymywał się na nich—ciemność i przestrzeń wydawała się tém większą. W przerażoném oku blade plamy migały jak widma.

Dziewczyna stała przy wejściu do téj ciemnicy. Zdawało się, że siła jakaś niewidzialna nie puszcza jéj naprzód, nie pozwala wsunąć nogi do lochu okropnego. Drżała całém ciałem i nie ruszała się z miejsca. Nareszcie zrobiła krok jeden, potém po chwili drugi... i poszła.

Jakub krzyknął jéj na drogę:

— Żeby cię dyabły na rogach nosili, żeby cię potępieńcy zębami szarpali, nie ruszę się stąd!

On także drżał zlekka. Dotykał niemal ustami jéj twarzy i nie dostał buziaka.. i to od kogo?—od śmiertelnéj nieprzyjaciółki; a myślał, że się zemści dziś nareszcie. Wziął go straszny gniew i złość. Widział, jak Reginą trząsł strach, niby wicher liściem osiny; widział jéj chwiejny krok; widział, jak wysunąwszy nieco grabie, szukała niemi drogi, niby ślepa; zgadywał, co się dziać musiało w głowie dziewczyny; jak każdą gałązkę, każdą plamkę brała za upiora; jak jéj się wydawało, że potępieńcy czatują na nią, otaczają, przestępują, wloką,—wszystko to rozumiał, wyobrażał sobie tak doskonale, jakby sam był na jéj miejscu, ale się zawziął i zamiast ulitować się nad biedną, powtarzał, zaciskając zęby:

— Czekaj Reginko!...

Żeby ją naprawdę złe przestąpiło! Zapragnął tego gorąco. Byłby pomszczony i uratowany.

Jak weszła w cień, zniknęła mu z oczu w jednéj chwili—bielała jeszcze nieco chustka na ramionach, dochodził go szelest kroków, ale i to przez jedno mgnienie powiek.

Postanowił trochę jeszcze zaczekać, a może... Siedział na kamieniu, objąwszy rękami kolana. W mieście zaszczekały psy i ucichły. Teraz słyszał tylko bicie serca własnego, nic więcéj.

Miał już wstać i iść, gdy doleciało go ciche, bardzo ciche, przerywane łkanie.

Zerwał się... gniew i złość odpadły go odrazu, a za to chwycił go żal. Wśród ciszy nocy spokojnéj, na tém pustkowiu, pod cmentarzem, tłumiony płacz brzmiał taką boleścią, że kowal poczuł, jakby go kto obcęgami ścisnął za serce. Rzucił się w czarne przejście jak szalony.

Regina stała oparta o parkan. O mało nie potknął się o leżące koło niéj na ziemi grabie. Wziął ją za rękę i przemówił jak mógł najtkliwiéj, ale głos jego brzmiał chrapowato, bo go coś w gardle dławiło.

— Regino, czego płaczesz?... E, daj pokój... Kaci wiedzą co.

Gniewało go, że nie mógł nic bardziéj uspakającego powiedziéć, ale nie mógł, choć chciał mocno i wysilał głowę.

Jedną ręką podniósł grabie, drugą objął dziewczynę wpół i krzepkiém ramieniem przycisnął do siebie.

— Chodź, pójdziem—mówił proszącym tonem.

Teraz oporu nie czuł żadnego; dała się prowadzić, ale wciąż łkała. Kowalowi nawet się wydało, że się przytuliła do niego. Ogarniał go niepokój i rozkosz zarazem.

— Czego płaczesz?—pytał, gdy odeszli nieco od cmentarza.

Nie otrzymał odpowiedzi, ale łkania dziewczyny osłabły i wkrótce ustały zupełnie.

— Czego drżysz?—zapytał znowu.

— Regino, czego drżysz?—powtórzył raz jeszcze.

— Boję się—odpowiedziała dziewczyna ledwie dosłyszanym głosem i znowu kowal poczuł, że się tuli do niego.

— Nie bój się—mówił śpiesznie—to szczéra bajka, co ja gadał; zmyślałem naumyślnie, żeby cię zastraszyć.

Niezupełnie uspokojoną piersią Reginy wstrząsnęło znowu łkanie, ale raz tylko.

Doszli do pierwszych domów miasteczka. Na ulicy żywa dusza się nie pokazała, tylko przez małe okienka widać było tu i owdzie w izbach ognie na kominach i krzątające się postaci ludzkie. Regi-

na wysunęła się z ramienia kowala. Szli obok siebie, jedno na drugie nie spojrzało, oboje mieli oczy wlepione w ziemię i milczeli. Nareszcie odezwał się Jakub nieśmiało:

— Panna Regina gniéwa się na mnie?

Przez chwilę czekał na odpowiedź, nie otrzymawszy, przemówił znowu:

— Niech się panna Regina na mnie nie gniéwa!

Nagabywana wciąż milczała.

Weszli w wąską niebrukowaną uliczkę i zaraz z brzegu zatrzymali się przed niską chatą. Tu mieszkała Regina z matką.

Młoda para stanęła w kłopotliwém milczeniu. Jakub chciał znowu coś powiedziéć, ale nie potrafił nic stosownego wymyślić. Nareszcie Regina weszła w podwórkowe ogrodzenie.

— Jaki ja głupi—pomyślał Jakub i natychmiast rzucił za odchodzącą jak gdyby ostatnie pożegnanie.

— Panna Regina mnie nie przebaczy!

Dziewczyna była już u samego progu i zatrzymała się.

— Reginko!—wyszeptał Jakub.

W piersiach jego zapłonęła nagle nadzieja, aż poczuł w nich ciepło i niepokój zarazem. Serce mu biło jak młotem, a w głosie drżało tyle prośby gorącéj, ile boleści w płaczu Reginy, tam, pod parkanem. To téż jak jego wtedy, tak ją widać teraz chwycił żal. Odwróciła się i stała ze spuszczoną głową. Pomimo wzruszenia kowal widział, że chce podejść ku niemu i waha się. Postąpił krok i znowu szepnął cicho, tak cicho, że ledwie sam siebie słyszał:

— Reginko!—wyciągnął ku niéj ręce.

Dziewczyna podniosła głowę, szybko podbiegła do Jakuba, zarzuciła mu ręce na szyję i wycisnęła na ustach przeciągły pocałunek. Zanim kowal zdołał przyjść do siebie, dziewczyna już zniknęła w ciemnéj sieni chaty.

Jakub wracał do domu z czapką naciśniętą na oczy, tak zajęty myślami własnemi, że nie spostrzegał napotykanych znajomych, a nawet nie odpowiadał na ich pozdrowienia, od czasu do czasu tylko powtarzał:

— Czekaj Reginko!

Ale teraz w téj pogróżce nie brzmiała ani nieprzyjaźń, ani zawziętość.

*Z. L. S.*



# OKO I MALARSTWO.

SZKIC FIZYOLOGICZNY.

Dokładne i uważne spostrzeżenia nad ogólnym rozwojem wiedzy ludzkiéj wykazują ścisłą łączność wszystkich sił natury, wszystkich zjawisk przyrody. Długo oddzielone jedne od drugich, wszystkie nauki dążą dziś do zjednoczenia się i współdziałania celem zrozumienia zjawisk bytu. To zlewanie się i łączenie nauk nie mających na pozór żadnego pomiędzy sobą związku, miało pierwsze źródło w wymaganiach antropologii, t. j. nauki o człowieku. Człowiek bowiem, wedle słów Buffona, łączy w sobie wszystkie siły przyrody; osobnik jego jest ośrodkiem, do którego wszystko się odnosi; punktem, w którym cała przyroda się odbija,—światem w skróceniu. Słowa te, które w ustach wielkiego naturalisty były raczéj owocem genialnego natchnienia aniżeli ścisłego rozumowania, nauka codziennie dziś stwierdza. I rzeczywiście potrzeba światła wszelkiéj wiedzy, aby rozproszyć ciemności otaczające tę zagadkową istotę, jak z jednéj strony bowiem różnolity jest zakres jéj działalności i jéj twórczości granice, tak téż z różnego punktu rozpatrywać można téj działalności wyniki, rozważać téj twórczości doniołość. Tak np. wobec dzieła sztuki estetyk zastanawiać się będzie nad wcielonem w niém życiowém pięknem, wyjętém z pod praw nikłości i przemienności, a opromienioném blaskiem ideału; fizyolog zaś postawi sobie przedewszystkiém pytanie, w jaki sposób przy słabych względnie środkach technicznych, jakiemi rozporządza sztuka, artysta zdołał jednak takie na nas sprawić wrażenie, i które z naszych właściwości fizyologicznych w tym celu zużytkować potrafił. A choć swoją drogą i fizyolog piękno obrazu odczuje, i estetyk w głównych zarysach techniki artystycznéj i praw życiowych jest świadomy, to

jednak każdy z nich, ze swego punktu widzenia, inne w arcydziele doskonałości spostrzeże, dzieło sztuki bowiem, inaczéj przez każdego z nich rozpatrywane, nakształt pogańskiego Janusa, każdemu z nich inne odsłoni oblicze, przed każdym z nich inne widnokręgi wrażeń, pojęć i myśli roztoczy. Jeśli zaś te różnostronnych badań wyniki złączymy,—wówczas osiągniemy dokładniejszą świadomość rozpatrywanego przedmiotu,— szerszą wiedzę, odkryć pełną i podziwu godną.

Temi kilku wstępnemi słowy chciałbym przedewszystkiém usprawiedliwić tytuł niniejszéj pogawędki, złagodzić pozorny rozdźwięk, jaki budzi zestawienie tak różnych pojęć jak medycyna i sztuki piękne. Wytłumaczywszy zaś choć w części mezalians, jaki prawdopodobnie w przekonaniu wielu osób estetyka, wchodząc w zetknięcie z fizyologią, popełnia, przechodzę do rozpatrzenia właściwéj treści zajmującego nas przedmiotu.

Technicznėm zadaniem malarstwa jest przedstawienie obranych postaci, przedmiotów, w takich kształtach i barwach, w jakichby się one w rzeczywistości wśród danych warunków w oku naszém odbiły, gdybyśmy na nie patrzéć mogli. Idzie tu więc o sprawienie pewnego optycznego złudzenia, nie w tém jednak znaczeniu, abyśmy jak owe ptaki, które niegdyś dziobać miały apellesowe winogrona, sądzili się być w obecności rzeczywistych przedmiotów, lecz aby to barwne ich odtworzenie było na tyle żywém, jasném, aby w nas za pośrednictwem wrażeń wzrokowych wywołało szereg myśli i uczuć, jakieby widok rzeczywistego przedmiotu mógł wzniecić, byśmy razem z artystą odczuli bądź urok odtworzonéj chwili, bądź grozę przedstawionego położenia, jedném słowem — myśl przewodnią jego dzieła. Uzdolniony malarz odczuwa wrażenia wzrokowe z niezwykłą dokładnością i finezyą, pamięć jego zachowuje wyjątkowo wiernie, ściśle, wywołane temi wrażeniami obrazy, sposoby zaś i środki, jakie wynaleźli i jakiemi posługiwali się znakomici artyści dla oddania, otworzenia tych wrażeń, stanowią cenny techniczny materyał, który w pewnéj części żywo fizyologa obchodzi. Istotnie rozpatrywanie dzieł mistrzów może nam rozwiązać pytanie, które z pomiędzy wrażeń wzrokowych wywołują głównie w umyśle naszym pojęcie odtwarzanego przedmiotu, a które z nich mają tylko znaczenie podrzędne, artysta bowiem stara się oczywiście o oddanie pierwszych z pominięciem drugich. Rozwiązaniem tego pytania zajmowali się oddawna najgenialniejsi artyści, jak o tém świadczy znakomity traktat „o malarstwie“ Leonarda da Vinci, językowi naszemu przez Wojciecha Gersona przyswojony. U nas kwestyę tę ze stanowiska naukowego kilkakrot-

nie poruszał prof. Szokalski, w nowszych zaś czasach przedmiot ten zwrócił na siebie uwagę najsłynniejszych współczesnych fizyologów, że wspomnę tylko rozgłośne imiona Helmholtza i Brückego, którzy poświęcili mu całe dzieła i których prac wyniki, w najogólniejszych rysach, mam właśnie zamiar tu streścić.

Wspomnieliśmy już, że malarz usiłuje oddać dokładne wyobrażenie zewnętrznych przedmiotów. Otóż przedewszystkiém musimy zastanowić się nad stopniem podobieństwa, jakie osiągnąć jest w stanie, i nad granicami, jakie mu w téj mierze natura użytych przezeń środków technicznych zakréśla. Ponieważ obraz wykonany być musi na powierzchni płaskiéj, przeto rozmaitą odległość i stosunek przestrzenny objętych nim przedmiotów, artysta zaznaczyć może tylko perspektywiczném ich przedstawieniem. Oko nasze daje nam również perspektywiczne ugrupowanie otaczających nas przedmiotów, zdawałoby się więc, że w tym względzie wrażenie wywołane przez naturę i sztukę powinnoby być identyczném. W istocie jednak tak nie jest, a przeciwnie różnica zachodząca tu jest bardzo znaczna. Spoglądając na przedmioty rzeczywiste, widzimy je zawsze nieco inaczéj prawém okiem niż lewém, umieszczenie bowiem każdego z naszych oczu w przestrzeni jest nieco odmienne. Te dwa różne nieco wyobrażenia składają się dopiéro w naszym umyśle na jeden dokładny obraz oglądanego przedmiotu, a ta niewielka różnica między tém, co widzi nasze oko lewe i prawe, służy nam właśnie do dokładnego oznaczania odległości, w jakiéj się od nas przedmioty zewnętrzne znajdują, i ich objętości. Tymczasem obraz, jakó powierzchnię płaską, widzimy zupełnie jednakowo, czy nań będziemy patrzéć prawém czy lewém okiem, a ta jednolitość wrażenia dla obu oczu ciągle nam mimowoli brak głębokości w obrazie, brak oddalenia przedstawionych na nim przedmiotów, na myśl przywodzi. Ztąd pochodzi owo znane wzmożenie się życia w obrazie jeśli nań patrzéć będziemy tylko jedném okiem, nie odczuwamy bowiem wówczas braku owego drugiego odmiennego nieco obrazu, który przed rzeczywistym przedmiotem w drugiém oku się tworzy, a którego bezwiednie, instynktowo niemal, patrząc na obraz obu oczami, szukamy,—działamy bowiem wówczas pod wpływem ślepego, ale nieprzepartego przyzwyczajenia. W obrazach przeznaczonych do oglądania z pewnéj odległości, szczególniéj jeśli przedstawiają nieco więcéj oddalone postaci, przedmioty, widoki,—złudzenie jest łatwiejszém do osiągnięcia, bo różnica obrazów w każdém oku powstających zmniéjsza się w rzeczywistości w miarę powiększania się odległości przedmiotu, tak, że dla przedmiotów bardzo od naszego oka oddalonych, jak np. dla ciał nie-

bieskich (słońca, księżyca etc.), różnica ta właściwie nie istnieje, wyrównywa się w zupełności, tak, że obrazy tych przedmiotów są dla obu czu identyczne. Naodwrót rysunki perspektywiczne zdjęte z bardzo bliskiego punktu widzenia nieuchronnie prawie sprawiają wrażenie fałszywe, wzrok nasz bowiem zbyt jest wówczas uderzony brakiem owego wizerunku przeznaczonego dla drugiego oka, przyczém mimowoli czujemy, że wizerunek ten znacznie by się różnić musiał od tego, jaki mamy przed sobą. Okoliczność ta, stanowiąc dla malarza jedną z najcięższych do pokonania trudności technicznych, powoduje zarazem pierwszą, nieuniknioną różnicę, między wrażeniem, wywartém przez przedmiot rzeczywisty, a tém, jakie sprawia jego wizerunek—choćby nawet najdokładniejszy. Różnica ta może być zmniéjszoną, ale znieść jéj zupełnie nikt nie zdoła. Przez brak możności zużytkowania dwuocznego widzenia, tracimy najnaturalniejszy i najpewniejszy sposób oceniania odległości przedstawionego na obrazie tematu. Artyście pozostaje wprawdzie jeszcze cały szereg innych środków, ale sposoby te są już drugorzędne, poczęści trudne do zastosowania, poczęści mało skuteczne. Przypatrzmy się, w jaki sposób malarz środki te zużytkowywa, aby oku naszemu owo wrażenie głębokości uwydatnić.

Wiemy z doświadczenia, że przedmioty tém się nam wogóle wydają mniéjszemi, im bardziéj są od nas odległe, a także, iż przedmioty bliżéj nas położone zakrywają przynajmniéj częściowo te, które leżą po za niemi. Otóż konsekwentne przeprowadzenie w rysunku tych dwóch elementarnych wiadomości wymaga jednak dokładnego, ścisłego zastosowania wszystkich prawideł téj części artystycznéj techniki, która w teoryi sztuki miano perspektywy linijnéj nosi. Prawidła te najłatwiéj zastosować do przedmiotów, których budowa jest foremna, a wielkość w przybliżeniu nam znana, najłatwiéj więc zachować perspektywę linijną w rysunku brył geometrycznych, domów, gmachów i t. p. To samo odnosi się do postaci ludzi i zwierząt, których kształty dobrze są nam znane, a ciała przedstawiają nadto dwie symetryczne połowy, co uwydatnienie ich kształtów znakomicie upraszcza. Naodwrót najdokładniejszy rysunek perspektywiczny nie na wiele się przyda, jeśli idzie o oznaczenie wielkości i postaci ciał zupełnie nieprawidłowych, jak odłamy skał, splecione z sobą wierzchołki drzew, rozmaicie ku sobie nachylone płaszczyzny krajobrazów i t. p., o czém możemy się najlepiéj przekonać na ich fotograficznych odbiciach, które mimo najściślejszego zachowania perspektywicznego rysunku, dają nam jednak o tych przedmiotach pojęcie bardzo niewyraźne. Dla zaradzenia téj niedogodności, artysta umieszcza obok takich przedmio-

tów inne, o kształtach dokładnie znanych. Tak rzucony na płaszczyźnie dom kierunkiem ścian swoich daje nam miarę pochylenia przedstawionéj powierzchni, a umieszczone na dalekim planie krajobrazu postaci ludzi i zwierząt, lub rozrzucone po nim drzewa, wielkością swoją objaśniają nas o głębokości krajobrazu i wzajemnéj odległości pojedynczych jego części. Cennym środkiem pomocniczym jest też w tym względzie cieniowanie przedmiotów, będące również jedną z trudniejszych części techniki rysunkowéj i malarskiéj. Delikatnie stopniowane przejścia pomiędzy światłem i cieniem, na powierzchniach zaokrąglonych, są głównym środkiem uwydatnienia kształtów objętych niemi przedmiotów, a nadto cień rzucony przez jeden przedmiot na drugi, wykazuje nam dokładnie ich względną odległość od źródła światła, — jasną jest bowiem rzeczą, że przedmiot, rzucający cień, bliżéj być musi światła, niż ten, który rzucony cień na sobie dźwiga. Dla odpowiedniego zużytkowania cieniów, nieobojętnym jest kierunek światła. Jeśli widz patrzy na przedmiot z téj strony, z któréj nań światło pada, wówczas widzi tylko oświecone części przedmiotu, a delikatna modelacya, jakąby mogły mu nadać cienie, przepada prawie w zupełności. Jeśli naodwrót umieścimy przedmiot pomiędzy światłem i naszém okiem, wówczas odbiją się w niém tylko ocienione strony przedmiotu, i to jeszcze bardzo niedokładnie, tak, że pojęcie, jakie o przedmiocie poweźmiemy, będzie jeszcze mniéj ścisłém. Dla otrzymania więc cieniów pożytecznych i malowniczych, potrzebujemy światła padającego z boku, i takie też światło znajdujemy użyte na ogromnéj większości obrazów. Jeśli nadto idzie nam o oddanie powierzchni zupełnie płaskiéj lub bardzo lekko falistéj, wówczas potrzebujemy nadto światła padającego na nią pod bardzo ostrym kątem, światła prawie do przedstawianéj powierzchni równoległego, wówczas bowiem tylko nieznaczne jéj wypukłości przez cień uwydatnione być mogą. Oto jest jedna z przyczyn, które tak korzystném czynią oświecenie krajobrazu wschodzącém lub zachodzącém słońcem. W przykładzie tym jednak uwzględnić potrzeba wpływ barwy samego światła, o któréj późniéj pomówimy, a która występuje tu jako czynnik jeszcze może ważniejszy. Nadto zauważyć musimy, że światło bezpośrednie słońca, księżyca, płomienia, daje cienie zbyt twarde o granicach zbyt ostrych, i że naodwrót światło padające od powierzchni świecącéj bardzo rozległéj, jak np. od pokrytego chmurami nieboskłonu, czyni cienie mdłemi, niewyraźnemi, a niekiedy znosi je nawet zupełnie. Unikając obu tych ostateczności, artysta szuka zazwyczaj drogi pośredniéj, a odpowiedniém umieszczeniem w pracowni okna i stosowném użyciem zasłony, dowolnie cienie

mniéj lub więcéj uwydatnia, stosując się w tym względzie do natury oświecanego przedmiotu.

Ale wyliczone przez nas środki, użyte celem oddania głębokości przestrzennéj, mniéj są o wiele doniosłe niż perspektywa powietrzna. Przez to określenie rozumiemy uwydatnienie wrażenia, jakie na oku naszém sprawia odbicie światła od warstw powietrza, znajdujących się pomiędzy widzem i oddalonemi odeń przedmiotami. Wrażenie to zależy od pewnego zaburzenia w przezroczystości powietrza, które nigdy nie bywa zupełnie przejrzystém, bo zawieszone w niém zawsze różnéj gęstości drobne cząsteczki, łamiąc i odbijając światło bardzo rozmaicie, rozpraszają je na wszystkie strony. Jeśli cząstki te nie są zbyt liczne, wówczas spostrzegamy jeszcze kształty oddalonych przedmiotów dość wyraźnie; ale ta część światła, która została odbita, załamana, rozproszona, nadaje kolorytowi oddalonych przedmiotów pewne zmętnienie. Podobny zupełnie fakt zauważymy, jeśli do przezroczystéj wody, przez którą dokładnie widzimy dno naczynia, wpuścimy parę kropli mleka. Zawieszone w mleku mikroskopijne cząstki tłuszczu, rozprowadzone po całéj warstwie wody, wywołują owo zmętnienie zupełnie w taki sam sposób, jak zawieszone w powietrzu drobne organiczne i mineralne pyłki. Aby zresztą fakt ten dokładniéj zrozumiéć, rozpatrzmy go jeszcze na innym, najprostszym przykładzie.

Jeśli do ciemnego pokoju wpuścimy przez otwór w okiennicy promień światła, wówczas zobaczymy wyraźnie cały świetlny szlak, jaki promień słoneczny, przechodząc przez ciemne warstwy powietrza, kreśli. Przyczyną tego zjawiska są właśnie owe drobne cząstki w powietrzu zawieszone, które oko nasze w tym razie nawet z łatwością dostrzega, a które odbijając słoneczne światło, przebieżony przez nie słup powietrzny oku naszemu widocznym czynią. Stwierdzić to możemy za pomocą doświadczenia. Jeśli mianowicie pod tym oświeconym snopem powietrza umieścimy płomień lampki spirytusowéj to powietrze unoszące się bezpośrednio po nad płomieniem, utoruje sobie w jasnym szlaku zupełnie ciemną drogę, powodując przerwę w oświeceniu zależną od tego, że płomień oczyścił z cząstek organicznych znajdujący się po nad nim słup powietrza. Ilość owych drobnych, przenikających powietrzną atmosferę cząsteczek, w dolnych jéj warstwach znacznie wzrasta, wskutek podnoszącego się z powierzchni ziemi kurzu, dymu i ulatniającéj się w postaci drobnych pęcherzyków pary wodnéj. Wszystkie te drobne ciałka, przenikając powietrznię i zmniejszając jéj przezroczystość, wpływają tedy na zmniejszenie natężenia, na zmętnienie barwy oddalonych przedmiotów. Oprócz tego jednak wpływają one

jeszcze i na sam rodzaj zabarwienia, odnośnie szczególniéj do przedmiotów znacznie od nas odległych, jak ciała niebieskie, górne warstwy powietrzni, odległe wierzchołki gór itp. Ażeby zrozumiéć w jaki sposób bezbarwne cząsteczki, zawieszone w przezroczystém powietrzu, nie tylko już zmieniają natężenie barwy przedmiotów, ale nadto wpływają i na ich właściwy koloryt, w jaki sposób powodują one w naszém oku wrażenie lazuru niebios i rumieni zachodzącego słońca, w jaki sposób przyoblekają w sinawe pręgi odległe górskie szczyty, a obłoki najwspanialszemi tęczowemi odbłyskami kraszą, aby zrozumiéć, powtarzam, prostą przyczynę tych wspaniałych zjawisk, musimy się znowu uciec do przykładu. Wyobraźmy sobie belkę pływającą po wodzie. Jeśli w pobliżu jéj wrzucimy do wody kamyczek, wówczas w tém miejscu powstaną owe znane współśrodkowe falisto rozszerzające się koła, które dochodząc do belki, jak od stałéj zapory od niéj się odbiją. Ale ta sama belka, rzucona na morze, nie tylko ruchu długich fal morskich nie wstrzyma, ale nawet na zmianę jego kierunku nie wpłynie, a przeciwnie sama przez fale morskie uniesiona zostanie. Otóż światło słoneczne, złożone, jak wiemy, z barwnego akordu promieni wszystkich kolorów tęczy, jest właśnie takim falistym ruchem, drganiem eteru wypełniającego przestrzeń. Promienie światła czerwone i żółte mają fale dłuższe, większe, promienie niebieskie krótsze. Zrozumiemy teraz, że drobne cząstki, zawieszone w powietrzu, odbijają łatwiéj mniéjsze fale niebieskie, podczas gdy większe fale żółte i czerwone przejdą daléj. W ten sposób odbite niebieskie światło, dochodząc do naszego oka, ciemnię nadpowietrznéj przestrzeni w lazur niebios przyobleka. Ta sama sina barwa w ten sam sposób powstaje w warstwach powietrza oddzielających oko nasze od rozległych płaszczyzn, lub wyniosłych szczytów, tylko wówczas przegląda przez nią właściwy kolor okolicy lub skały i dlatego owa sina barwa mniéj tu jest czystą niż na sklepieniu niebios, którego tło pozaświatowa ciemność stanowi.

Im powietrze jest rzadsze, czystsze, czyli im przenikające je cząstki są mniéjsze, drobniéjsze, tém wyłączniéj tylko krótsze fale niebieskie odbija, co się w oku naszém silniejszém natężeniem niebieskiéj barwy uwydatnia. Dlatego w południowych krajach, szczególniéj kiedy powietrze jest suche, lazur niebios dosięga owego ciemnego kolorytu, który na włoskich krajobrazach razi nienaturalnością tych, co południowego nieba nie oglądali. Dlatego także na szczytach gór wyniosłych, w pogodny dzień, firmament ma kolor ciemnego granatu, tak, że wedle słów Libelta, ciemnością swoją nieomal zastrasza, — człowiek bowiem przenika, że tam wyżéj w prze-

paściach niebios, kędy żaden promień się nie zatrzymuje i nie odbija, straszna czerń bezmiernéj przestrzeni wyziera.

Jeśli teraz weźmiemy na uwagę, że światło idące wprost do naszego oka od bardzo oddalonych świecących przedmiotów, przejść musi przez grubą warstwę atmosfery, przyczém odbijając się od zawieszonych w niéj cząsteczek traci po drodze znaczną część swoich promieni o krótszych falach, t. j. niebieskich, to zrozumiemy, że musi się nam ono wydać żółtawém, jeśli powietrze jest rzadsze a jego warstwa cieńsza, żółtém zaś lub nawet purpurowém, jeśli powietrze będzie gęstsze a grubość warstwy jego znaczniejsza. Dlatego słońce i księżyc przy wschodzie i zachodzie, t. j. w chwilach, gdy idące od nich równolegle prawie do powierzchni ziemi promienie, najdłuższą drogę przez atmosferę powietrzną przebywają, rodzą ów poetyczny złoty brzask rozmarzonego świtu, lub jaskrawszą czerwień drzémiącego wieczoru.

Artysta tedy oddając na płótnie wrażenie wywarte na naszém oku przez perspektywę powietrzną, stosownie do chęci oddala lub zbliża przedstawiane przedmioty, przez większe lub mniejsze zaburzenia w przezroczystości warstw powietrza, które nas od oglądanego przedmiotu oddziela. Środek ten jest najważniejszym ze wszystkich, jakiemi malarstwo rozporządza, dla oddania głębokości odtwarzanego krajobrazu. Że jednak, jak widzieliśmy, od oddalenia przedmiotów zależy też po części ich barwa, przeto perspektywa powietrzna wywiera też ważny wpływ i na koloryt, tak dalece, że Leonardo da Vinci perspektywę powietrzną perspektywą barwy *(perspettiva dei colori)* mianuje. Łatwo pojąć, że te różnice w natężeniu i wyrazistości barw wystąpią najjaśniéj tam, gdzie odległość przedstawianych przedmiotów jest największa, a więc np. w rozległych krajobrazach. Jeśli jednak różnice te mniejsze są w obrazach rodzajowych lub historycznych, to nie należy przeto sądzić, aby mniéj ważném było ich uwydatnienie. Naodwrót, delikatne ich stopniowanie może jedynie sprawić na oku widza wrażenie dokładnie oznaczonéj względnéj odległości danych przedmiotów,— wrażenie, które w sztuce miano „powietrza" w obrazie nosi. Im stopniowanie to jest drobiazgowsze, im te różnice są delikatniejsze (co już od wymagań tematu zależy), tém uwydatnienie, odwzorowanie ich trudniejszém się staje. Dla pokonania zaś tych trudności, najdokładniejsza świadomość technicznych prawideł, jak zawsze zresztą w sztuce, sama przez się nie wystarcza, na nic się nie przyda. Wchodzi tu już w grę indywidualność samego artysty, jego talent, który te różnice intuicyjnie odczuwa,— pierwéj nim racyonalnie wytłómaczyć je potrafi.

Wszystko cośmy dotąd powiedzieli, odnosi się do różnicy wrażenia, jakie na wzrok nasz sprawiają kształty i oddalenie przedmiotów rzeczywistych i malowanych, tudzież do sposobów, jakich używa sztuka, aby różnice te zatrzéć. Nasuwa się teraz pytanie, czy pod względem światła,—barw i cienia, dzieło sztuki może na nas sprawić wrażenie identyczne z tém jakie na nas wywierają rzeczywiste przedmioty. Jeśli zechcemy rozpatrzéć do jakiego stopnia malarstwo jest wstanie wymaganiom takim podołać,—to natrafimy tu na tak olbrzymie różnice,—na tak szalone trudności, że wydałyby się nam one zgoła niepodobnemi do przezwyciężenia, gdybyśmy z góry nie wiedzieli, że je talent oddawna pokonał. Zacznijmy od kwestyi najprostszéj, tj. od stosunków w natężeniu światła. Aby malarz mógł ściśle oddać wrażenie wywarte przez barwę na naszém oku, potrzebowałby módz użyć w obrazie tego samego stopnia jasności i cienia, jaki dany przedmiot w naturze przedstawia. Artysta jednak, któryby sobie taki cel postawił,—uganiałby się za niedościgłą mrzonką. Przekonajmy się o tém na przykładzie. Każdemu z nas zdarzało się spotykać w galeryach zawieszone na jednéj ścianie, obrazy, przedstawiające bardzo różny stopień światła, jak np. karawanę beduinów przeciągającą w dzień słoneczny przez skwarną pustynię,—i poetyczny widok księżycowéj nocy. Otóż podług najściślejszych obliczeń Wollastone'a, światło słoneczne ma dla naszego oka natężenie 800,000, razy silniejsze niż światło najjaśniejszéj nocy księżycowéj. Tymczasem różnica natężenia światła między skrajnemi barwami, jakiemi paleta malarska rozporządza, ma się zaledwo jak 1 do 100. Jeśli nadto weźmiemy pod uwagę, że przedstawiony na obrazie skwarny żar słonecznego południa i cieniste przezrocze księżycowéj nocy oglądamy zarówno przy umiejętnie przysłoniętém świetle dzienném, tak od obu tych oświetleń różném, to zrozumiemy, że malarz słonecznéj pustyni używa farb bez porównania ciemniejszych, a autor nocy księżycowéj barw nierównie jaśniejszych, niż te, któremi przyroda w rzeczywistości obrazy te na siatkówce oka naszego dzierzga. I rzeczywiście, gdybyśmy mogli, nie zmieniając oświecenia, przenieść biały płaszcz beduina na obrazie pod skwarne niebo pustyni, wówczas w porównaniu z białym przedmiotem oświeconym tam przez słoneczne promienie, wydałby się nam ciemno-szarym, prawie czarnym—i naodwrót najciemniejsza farba jakiéj artysta użyć jest wstanie, oświecona światłem dziennem, jest zaledwie dość ciemną, aby oddać rzeczywistą jasność przedmiotu białego oświeconego przez pełnię księżyca. Cyfry te i fakty tak są wymowne, że mogłyby się wydać przesadzonemi, gdyby wielokrotnie nie były najściśléj stwierdzone. Jeżeli jednak tak jest

wistocie, to zapytujemy, w jaki sposób rozporządzając tak różnemi od natury, tak w porównaniu z nią nieudolnemi technicznemi środkami, — artysta jest jednak w stanie sprawić na nas tak potężne wrażenie, że wobec mistrzowsko wykonanego dzieła, zapominamy nieomal na chwilę o rzeczywistości, przenosząc się myślą tam, gdzie nas genialnemu artyście przenieść się podobało, żyjąc wrażeniem chwili, którą dzieło jego wciela? Aby zdać sobie choć w przybliżeniu sprawę, w jaki sposób, na zasadzie naszych fizyologicznych właściwości powstają w nas wrażenia i uczucia, wywołane przez sztukę, która jak widzimy, tak ubogiemi względnie do bogactwa natury rozporządza środkami,—aby zrozumieć, powtarzam, te podniosłe wrażenia, zwróćmy się znowu do poziomego przykładu. Podług obliczeń Wollastone'a, światło pełni księżycowéj równa się światłu zwyczajnéj świecy o 12 stóp od oświecanego przedmiotu odległéj. Otóż, gdybyśmy z pokoju, oświetlonego przez słońce, weszli nagle do piwnicy, w któréj się pali jedna świéca, to w pierwszéj chwili zdawałoby się nam, że jesteśmy pogrążeni w zupełnych ciemnościach w których zaledwo płomień palącéj się świécy rozeznać zdołamy. W każdym razie nie dostrzeżemy żadnego śladu przedmiotów o 12 stóp od świécy oddalonych, choć przedmioty te są równie jasne jak te, które księżyc w pełni swego blasku opromienia. Po pewnym czasie, oko nasze oswoi się z ciemnością, zastosuje do niéj i rozezna wówczas z łatwością pojedyncze części przedmiotów, których kształt ogólny nawet był dlań w pierwszéj chwili niedostrzegalnym. Gdybyśmy teraz nagle powrócili do światła dziennego, które pierwéj było dla nas zupełnie przyjemném, to wydawałoby się nam ono obecnie tak rażącém, że mimowolnie przymkniemy oczy, które zbytni blask jego nuży. Oba te fakty zależą od różnego stopnia osłabienia wzroku, jakiego pod wpływem działania nań światła doznajemy, a które nazywamy znużeniem. Im wrażenia świetlne będą silniéjsze, tém znużenie zwroku będzie większém. W miarę wzrostu tego znużenia wzrok nasz staje się coraz na światło obojętniéjszym, tak że wrażenia świetlne mocne działają nań słabo, wrażenia zaś słabe nie odbijają się na nim zupełnie. Jeśli te okoliczności weźmiemy w rachubę, to zobaczymy że zadanie artysty zupełnie się zmienia, w rzeczywistości bowiem wzrok widza, patrzącego w pustyni na przeciągającą w skwar słoneczny karawanę, pod wpływem oślepiającego blasku podzwrotnikowego słońca musi być niepomiernie znużonym, i naodwrót podczas spokoju księżycowéj nocy, wypoczęte oko w téj względnéj ciemności staje się szczególniéj wrażliwém. Od tych obu stanów, oko widza, oglądającego obraz w stosownie oświeconéj galeryi, różnić się będzie jednakowo

pewnym stopniem średniéj wrażliwości, malarz więc powinien usiłować wywrzéć swojemi barwami, na owém średnio wrażliwém oku widzā, ten wpływ, jaki skwarna pustynia słoneczna sprawiłaby na oku znużoném,—a cicha noc księżycowa, naodwrót, na oku doskonale wypoczętém. Artysta więc w dziele swojém nie usiłuje nawet kopiować światła danego przedmiotu, ale je raczéj tłómaczy, przekładając wrażenie wywarte przez dany przedmiot rzeczywisty,—na inną skalę czułości wzroku, odpowiadającą warunkom, przy jakich widz na obraz patrzéć będzie. Wytłómaczymy to sobie jeszcze dokładniéj jeśli zrozumiemy, że wzrok nasz tylko przy średniém oświeceniu zdolen jest odczuwać drobne różnice w jasności przedmiotów,—w świetle zaś bardzo jaskrawém, tak samo jak przy oświetleniu bardzo słabém, te drobne różnice dla naszego oka znikają. Tak przy świetle słoneczném, wszystkie przedmioty bardzo jasne, wydają się nam prawie jednakowo oświetlonemi, choćby w istocie różnice stopnia ich jasności były znaczne; malarz więc, chcąc oddać blask słoneczny, daje wszystkim jasnym, oświetlonym przezeń przedmiotom prawie jednakowy stopień światła, jasności, — przez co zapomocą barw słabego względnie natężenia, osięga wrażenie wywarte na olśnionem oku przez słoneczne promienie. Jeśli naodwrót, dane ciało oświetlone jest tak słabo, że je zaledwo jesteśmy w stanie dostrzedz, wówczas nie możemy wcale rozpoznać, które części jego są mniéj, a które więcéj zacienione, wszystkie bowiem zacienione jego części nikną, a widzimy tylko te, na które bezpośrednio ów słaby blask pada. Dlatego malarz, przedstawiający na płótnie noc księżycową, oświeci tylko blaskiem księżyca przedmioty najjaśniejsze, jak np. błyszczącą powierzchnię wody, lub polerowanego metalu, odbijające najlepiéj promienie światła, resztę zaś pogrąży w ciemności, w któréj zaledwo pojedyncze przedmioty rozeznać możemy. W obu więc przypadkach artysta osięgnie cel swój, wywrze pożądane wrażenie, przez wierne oddanie uczucia względnéj nieczułości naszego oka na różnice, zachodzące w świetle zbyt natężoném lub nadmiernie słabém.

Z temi różnicami w natężeniu światła idą w parze pewne zboczenia saméj barwy, zależące od tego, że skala czułości naszych oczu różną jest dla rozmaitych barw. Rozpatrzenie téj kwestyi wprowadza nas właściwie w dziedzinę kolorytu w sztuce. Wiemy, że wszystkie wrażenia barwne, jakie umysł nasz za pośrednictwem wzroku odczuć jest zdolny, powstają z połączenia i kombinacyi trzech barw pierwotnych, pojedynczych, zasadniczych,—a mianowicie: żółtéj, czerwonéj i niebieskiéj. Z połączenia tych barw po dwie powstają barwy pochodne, pomarańczowa, fioletowa i zielona.

Ze zgęszczenia, ściemnienia barwy niebieskiéj powstaje szafirowa. W ten sposób otrzymujemy wszystkie kolory tęczy, na jakie się biały promień słonecznego światła rozpada. Z mięszaniny tych kolorów, różnolitego natężenia ich pojedynczych części składowych, i większéj lub mniéjszéj przymieszki światła, rodzi się tak bogata rozmaitość świetlnych pobudzeń, że np. w fabryce mozaik, istniejącéj obecnie w Rzymie, używają 16.000 odcieni barw, które wprawne oko rozpoznaje z łatwością, w rzeczywistości zaś rozmaitość ta jest jeszcze bez porównania większa; widzieliśmy bowiem jak nikłą cząstkę naturalnéj skali barw—sztuka odtworzyć jest wstanie, możemy więc powiedziéć, że zestawienia i stopniowania barw w przyrodzie idą nieomal w nieskończoność. Otóż trzy wymienione zasadnicze, pierwotne barwy, podług zdania znakomitéj większości współczesnych fizyologów, odczuwamy za pośrednictwem trzech oddzielnych gatunków włókien nerwowych. To nam tłómaczy różnicę czułości naszego oka na stopniowanie odmiennych kolorów. Ta zdolność odczuwania przez nas drobnych różnic świetlnych, małych zmian natężenia, największa jest dla odcieni koloru niebieskiego, najmniejsza—dla odmian barwy czerwonéj. W barwie niebieskiéj wzrok nasz odczuwa różnicę światła o $^1/_{200}$ a nawet o $^1/_{265}$ część jego natężenia, w czerwonéj, oko nawet wypoczęte odczuje zaledwo zmianę odcienia, gdy siła światła zmaleje lub powiększy się o $^1/_{16}$ część swéj mocy,—a po długiéj i usilnéj wprawie dojdzie najwyżéj do ocenienia $^1/_{70}$ części stopniowania w natężeniu barwy.

Z tego wypływa, że stopniowy wzrost natężenia barwy czerwonéj mniéj się na naszém oku odbije, niż takież wzmożenie natężenia w barwie niebieskiéj. Jeśli teraz przypomnimy sobie, że kolor biały jest mieszaniną trzech barw zasadniczych, tj. czerwonéj, żółtéj i niebieskiéj, to zrozumiemy, że przy silném oświeceniu białego przedmiotu przez promienie słońca, oko nasze z początku odczuje wzrost natężenia barwy wszystkich odcieni, składających się na kolor biały, że jednak dokładniéj odczuwa ono ów wzrost blasku w kolorze niebieskim; więc téż przeznaczone do odczuwania tego wrażenia, włókna nerwowe prędzéj nużą się, męczą i stają się nieczułemi, niż te, które przyjmują wrażenia barwy czerwonéj i żółtéj, tak że przy dłuższém zatrzymaniu oka na takim przedmiocie, wydaje się on nam nieco żółtawym, co się nawet w mowie wyrażeniem „jaskrawéj białości“ zaznaczyło. Jeśli więc malarz chce wywrzéć na oku naszém wrażenie białego przedmiotu, oświeconego przez słońce, to oprócz ustosunkowania świateł, o którém mówiliśmy wyżéj, barwie jego nada on nadto ów żółtawy odcień, który w rzeczywistości oko nasze w tych okolicznościach odczućby musiało. Inaczéj

zupełnie będą się miały rzeczy przy oświetleniu bardzo słabém, za typ którego przyjęliśmy światło księżyca. Przy takiém oświetleniu, oko nasze nie odczuwa już wcale wrażenia barwy żółtéj i czerwonéj, na stopniowanie ich bowiem jest mniéj wrażliwe, przez co przedmiot biały, którego światło, jak raz jeszcze przypominam, z trzech zasadniczych promieni się składa, wyda się nam niebieskawym. Mając to na uwadze artysta, oddając na płótnie urok księżycowéj nocy, osrebrzy owym błękitnawym odcieniem wszystkie jaśniejsze przedmioty,—jestto bowiem jedyna barwa, którą oko nasze przy takiém natężeniu światła odczuć jest zdolne, tym więc jedynie sposobem, sztuka możliwego z naturą zbliżenia dosięgnie. Samo przez się wynika, że gdyby artysta mógł rozporządzać barwami równie świetnemi i równie słabemi jak te, któremi się przyroda w oczach naszych mieni, krasi, przyodziewa, to nie potrzebowały uciekać się do téj modyfikacyi zabarwienia,—wobec jednak niedostatecznych środków technicznych, musi się zwrócić do takiego obiektywnego, przedmiotowego uwydatnienia tego, co podmiotowo, subiektywnie odczuwa, nieudolnéj bowiem siły barwy sztuczne, wrażenia takiego same przez się wywołać by nie mogły.

Zupełnie analogiczne uwagi i wnioski nastręczy nam rozważanie zjawisk, znanych pod nazwą kontrastu, przeciwieństwa barw, które polegają na tém, że barwa lub światło danego przedmiotu, ulegają zmianie dlatego, że obok niego znajduje się bądź pole innego świetlnego natężenia, bądź powierzchnia inaczéj zabarwiona. W takich warunkach, pierwotna barwa danego przedmiotu stanie się ciemniejszą tam, gdzie dotyka pola lepiéj oświeconego, jaśniejszą, jeśli występuje na tle ciemniejszém, a przeciwną czyli dopełniającą, wobec silnie barwnego sąsiedztwa. Zjawiska te zachodzą bardzo często, bardzo pospolicie. Tak np. znamy wszyscy owe ciemne plamy poruszające się na polu naszego widzenia, jeśliśmy przedtém, przez parę chwil spoglądali na zachodzące słońce. Fizyologowie nazywają te plamy następczym czyli ujemnym obrazem słońca. Przyczyna ich leży w tém, iż część siatkówki, która odbijała jasny obraz słoneczny, znużona pracą, nie odczuwa wcale, a przynajmniéj odczuwa bardzo niewyraźnie inne świetlne wrażenia, wskutek czego jeśli będziemy spoglądać tém częściowo znużoném okiem na jednakowo oświeconą powierzchnię, np. na sklepienie niebios,—to na tych zmęczonych miejscach siatkówki blask oglądanéj powierzchni ginie, zaznaczając się w umyśle naszym ciemnią, odpowiadającą kształtem tarczy słonecznéj. Taki obraz ujemny rysuje się też w naszém oku i po wrażeniach świetlnych daleko słabszych niż oglądanie tarczy słonecznéj; tylko, abyśmy go mogli wówczas zauważyć,

potrzeba, abyśmy się przez czas dłuższy w dany przedmiot wpatrywali. Jeśli takim przedmiotem będzie krążek ponsowego papieru, wówczas obraz następczy, ujemny, będzie barwy zielonawéj, — zielony kolor bowiem jest dla ponsowego dopełniającym, jako złożony z barw niebieskiéj i żółtéj, które wraz z czerwoną dają promień biały. Dla téj saméj przyczyny, po barwie żółtéj, obraz ujemny będzie fioletowym, a po barwie niebieskiéj — pomarańczowym. Otóż w rzeczywistości, oglądając jasne i zabarwione przedmioty, nie wpatrujemy się w nie zazwyczaj tak długo, aby się ich odbicia ujemne wyraźnie następnie w oku naszém zaznaczyć mogły. Niemniéj przeto te odbicia ujemne, następcze istnieją, tylko czas ich trwania jest daleko krótszy, a ich kształty niedokładnie, mglisto, zarysowane, wskutek czego na oku naszém odbijają się one tylko w taki sposób, że jeśli np. rzucimy okiem na przedmiot ponsowy, leżący na tle szarém, to części tego tła, w pobliżu czerwonego koloru będące, przyjmują lekki zielonawy odcień. Otóż artysta, chcąc sprawić wrażenie świetlne danego przedmiotu, oddając obiektywnie to, co subiektywnie odczuwa, musi odmalować nietylko barwę samą, ale nadto i owo wrażenie kontrastu, farby bowiem, jakich używa, nie są dość silne, aby same przez się wrażenie to wywołać mogły. Dlatego odtwarzając na płótnie powierzchnię jednolicie oświetloną, zacieniować ją musi nieco mocniéj tam, gdzie się z jaśniejszém tłem styka, dlatego malując przedmiot szary, zabarwi kontury jego żółtawą barwą w miejscach, gdzie z po za nich niebieskie tło wyziera, a da im różowawy odbłysk, jeśli jasna zieloność za tło przedmiotowi służy; dlatego téż chcąc zgodnie z naturą przedstawić wrażenie światła dziennego, wpadającego przez szparę do pokoju oświeconego żółtym płomieniem świecy, promieniowi światła słonecznego nada odbłysk niebieskawy, choć w rzeczywistości jest ono białém.

Do tego szeregu zjawisk podmiotowych, które artysta przedmiotowo przedstawiać musi, należą jeszcze zjawiska irradyacyi czyli promieniowania, a właściwiéj rozpraszania światła. Pod tém określeniem rozumiemy zjawisko polegające na tém, że im przedmiot jest jaśniéjszy, im mocniéj świeci, tém linie, ograniczające jego kształty mniéj ostro, mniéj ściśle, w oku naszém się rysują. Zjawisko to napotykamy co chwila. Tak np. tarcza słoneczna przedstawia się nam w postaci kręgu, od którego na wszystkie strony rozchodzą się strzelisto promienie; gwiazdy będące, jak wiadomo, ciałami sferycznemi, migają również współśrodkowemi linijnemi błyskami; płomień lampy elektrycznéj, a nawet i świécy, na tle ciemném szczególniéj, tracąc kształt swój właściwy, ukazuje się nam jak gdyby w świetlnym obłoczku,—a na szachownicy z równych pól bia-

łych i czarnych złożonéj, pola białe wydają się nam większemi. Przyczyna tych wszystkich zjawisk, podobnie jak i zjawisk perspektywy powietrznéj, spoczywa w rozproszeniu światła przy przejściu jego przez warstwy niezupełnie przezroczyste; tylko w perspektywie powietrznéj zaburzenia w przezroczystości zależą od warstw powietrza, leżących pomiędzy okiem i przedmiotem świecącym, podczas gdy zjawiska irradyacyi mają źródło we właściwościach budowy samego oka ludzkiego. Dlatego téż perspektywa powietrzna uwydatnia się w miarę oddalenia przedmiotu, podczas gdy rozpraszanie światła zauważyć możemy odnośnie przedmiotów bardzo oddalonych i bardzo bliskich — dotyczy ono zarówno słońca i świécy. Istotnie, tkanki naszego oka, przez które przechodzi światło, nie są zupełnie jednolite, nie przedstawiają przezroczéj budowy kryształu, a nadto ograniczające je krzywizny nie są matematycznie prawidłowe. Otóż najmniejsze zaburzenie w jednolitości téj budowy, powoduje pewną różnicę w odbiciach zewnętrznego świata, jakie się na siatkówce naszego oka kształtują. Dla oka idealnie dokładnego zjawiska rozpraszania nie istniałyby wcale; ale bezwzględnéj doskonałości w naturze nie bywa, artysta więc zjawiska rozproszenia, zachodzące w normalném oku, zaznaczyć musi również na obrazie zamgleniem konturów świécącego przedmiotu, a przeto powiększeniem, pewném, że tak powiem, rozlaniem jego kształtów, i w tym bowiem względzie użyte przezeń barwy nie są dość silne, aby same przez się wrażenie to na naszém oku wywarły.

Celem wytłómaczenia rozmaitych różnic kolorytu i oświecenia w naturze i sztuce, zwracaliśmy się ciągle do porównywania światła słonecznego z księżycowém, z powodu, iż stanowią one niejako krańcowe stopnie naturalnéj jasności, wskutek czego różnice tu zachodzące najwybitniéj się ujawniają, a przeto wykazać je i wytłómaczyć tutaj najłatwiéj. W mniéjszym jednak stopniu, różnice te ujawniają się na każdym przedstawionym przez sztukę przedmiocie, tylko uwydatnienie ich przekroczyłoby o wiele ramy nam zakreślone. Te różnice artysta koniecznie musi w dziele swojém uwzględnić, zaznaczyć, jeśli chce wrażenie prawdy na widzu sprawić; ale nadto mocen jest na niektóre z nich położyć pewien odrębny, szczególny nacisk, zależnie od swego upodobania i natury odtwarzanego przedmiotu. Wolno mu więc w pewnych granicach wybrać stopniowanie światła i jasność barw, jakich dla oddania swéj myśli użyje. Może to stopniowanie wzmocnić, jak Rembrandt, celem otrzymania większéj wypukłości, przez zestawienie cieniowych kontrastów, lub zmniejszyć je, jak Fra Angelico, aby złagodzić ziemskie cienie przy odwzorowaniu scen mistycznych. Może

jak mistrze szkoły holenderskiéj, okazać nam światło rozlane w powietrzu to jaskrawém i ciepłém, to bladém, zimném i zamglonéın, budząc z kolei w myśli widza wrażenia, jakie wesołe promienie letniego słońca, lub wilgotny dzień jesienny na nas sprawia. W ten sposób z różnicy w wyborze przedmiotów, w ich oświetleniu i układzie, rodzi się niesłychana rozmaitość, w któréj zawsze odbijają się indywidualne upodobania artysty, które kojarząc się z pewnemi właściwościami w sposobie oddawania jego myśli, stanowią to, co się w sztuce *stylem* nazywa.

W naszéj fizyologicznéj wycieczce w świat barwy, nie możemy pominąć dziedziny jéj harmonii. Harmonią barw nazywamy takie ich zestawienie, które w nas wywołuje poczucie estetycznego zadowolenia; dysonansem zaś barwnym będzie takie skojarzenie kolorów, które na nas sprawi wrażenie przykre, rażące. Wogóle jednostajność barwy nuży wzrok nasz, tak, że odmiana barwnych wrażeń jest dla nas przyrodzoną potrzebą. Oko nasze nie znosi długotrwałych pojedynczych pobudzeń barwnych, lecz domaga się wzajemnego ich uzupełnienia, stosownie do ich udziału w wytworzeniu białego światła. Wynika ztąd, że wrażenie harmonijne w zestawieniu barw ma miejsce wtedy, jeśli te barwy połączone, wzięte razem, stanowią światło białe; że zaś takiemi zasadniczemi barwami są, jak wiemy, czerwona, żółta i błękitna, więc skojarzenie tych trzech barw, stanowi właściwie typ harmonijnego połączenia kolorów. Takie harmonijne i śmiałe zarazem zestawienie odnajdujemy np. w obrazach Pawła Veronese, którego uczta w Kanie Galilejskiéj, znajdująca się w muzeum Luwru, uznana jest powszechnie za jedno z największych arcydzieł kolorytu, jakie geniusz artystyczny stworzył. Nie tylko jednak kombinacya barw zasadniczych, pierwotnych, daje nam harmonijne poczucie kolorów. Otrzymujemy je również przy zestawieniu bądź barwy zasadniczéj z mieszaną, bądź barw mieszanych—pomiędzy sobą,— byle tylko te barwy w przybliżeniu przynajmniéj nawzajem się dopełniały. Tak np. mistrze szkoły weneckiéj, jak Tiepolo, Tintoretto, a szczególniéj Tycyan, którego koloryt takiéj dosięgnął potęgi i uroku, lubują się w częstém zestawieniu barw pąsowéj z zieloną i fioletową. Naodwrót, im zestawione barwy bliżéj są sobie pokrewne, tém mniéj się uzupełniają, tém więcéj rażą i wykluczają się nawzajem. Tak np. kolor czerwony i pomarańczowy, lub fioletowy i niebieski, nie znoszą swojego sąsiedztwa, o czém wié równie dobrze artysta, jak i każda estetycznym smakiem obdarzona kobiéta. Pochodzi to ztąd, że dla odczucia tych barw potrzebujemy czynności tych samych włókien nerwu wzrokowego, podczas gdy inne są bezczynne, a ten nierówny podział pracy

nietylko że się w oku naszém znużeniem zaznacza, ale nadto delikatnych odcieni obu barw, dokładnie rozeznać nie pozwala. Tak więc poczucie harmonii barw ma główne źródło w fizyologicznych właściwościach naszego wzroku, do których ściśle stosować się winno. Prócz tego jednak należy tu wziąść pod uwagę i inne niemniéj ważne czynniki, z któremi artysta rachować się musi. Tak np. jeśli w obrazie przeważa jedna barwa, to ta świetlna przewaga dostrojona być musi do natury przedmiotu, do treści dzieła, co się szczególniéj do koloru światła, do rodzaju oświecenia odnosi. Rozpatrzenie téj kwestyi ma bezpośredni związek z symboliką barw, która także w dziedzinie fizyologicznéj poczęta, głównie już jednak estetyki dotyczy, zakres więc naszego zadania właściwie przekracza. Bliższe wyjaśnienia i wyczerpujący rozbiór tego przedmiotu znaleść można u Libelta i Kremera, a z nowszych dzieł w „Estetyce barw“ prof. Struvego, w któréj i kwestya harmonii barw obszernie jest omówiona; dla uzupełnienia jednak obrazu, charakterystykę przynajmniéj barw zasadniczych w kilku słowach przytoczę.

I tak, barwa czerwona pełna jest siły, energii, życia. Ze wszystkich barw widma słonecznego posiada ona najwięcéj cieplikowych promieni, skąd może i pochodzi pierwotnie wrażenie ciepła, jakie na nas sprawia, skąd téż i wszystkie barwy pochodne, w których przeważa, a nawet cienie, którym za tło służy, w których np. tak lubuje się Rubens — w sztuce „ciepłemi“ się mienią. Pozostaje ona w związku z najelementarniejszemi wrażeniami wzroku, wpada w oko przed wszelkiemi innemi: dzieci i dzicy ją przedewszystkiém rozróżniają, a najstarsze pomniki sztuki malarskiéj t. z. monochromy, t. j. jednobarwne malowidła Chaldejczyków i Etrusków, tą właśnie barwą wykonane były. Czerwoność przywodzi na myśl krew ożywczą, bo przyroda używa jéj wszędzie, gdzie pełniejsze objawia się życie. Pobudza ona naszą wrażliwość, podnieca życiowe tętno; jest barwą siły i namiętności, wyróżnienia i przepychu, bogactwa i majestatu, jest symbolem miłości i władzy, i krwawego rzemiosła znamieniem.

Barwa żółta, nie mając siły i jaskrawości poprzedniéj, najwięcéj jednak ze wszystkich kolorów światła w sobie zawiera, najwięcéj jasnością do białego promienia się zbliża. Promienie słoneczne, zanieczyszczone w dolnych warstwach powietrzni domieszką pyłu ziemskiego, zazwyczaj do oka naszego w żółtawéj osłonce dochodzą, skąd i w umyśle pojęcie pokrewieństwa żółtéj barwy z blaskiem słonecznym powstaje. Że jednak jest ona właściwie w ten sposób blasku słonecznego ujmą, przyćmieniem, skalaniem, więc do pojęcia jéj wkradają się pewne ujemne cechy. W tém może leży przy-

czyna, że barwę żółtą wzięto za symbol fałszu, zdrady, ułudy. Stanowiąc tło metalicznego odbłysku złota jest barwą zbytku i dumy. Słoneczny połysk złotawy, w zestawieniu z tłem żółtém, nadaje dopiéro téj barwie estetyczną krasę, która się w językowéj przenośni wyrażeniami „wiek złoty“, „złote marzenia“ zaznacza. Tak pieśniarz ukraiński woła:

„Święć się — święć się wieku młody,
Śnie na kwiatach — śnie mój *złoty*....“

Pozbawione żółtawego odbłysku, wszystkie odcienie barwy żółtéj tracą estetyczną doniosłość, stają się krzykliwe i pospolite, — ztąd z pomiędzy tkanin żółtych do stroju używanych, tylko jedwabne odpowiadają warunkom estetycznym, jako najwięcéj blasku barwie nadające.

Trzecia barwa zasadnicza widma słonecznego—błękitna, brak ciepła i światła poprzednich wynagradza spokojem, powagą, stałością. W skali barw zajmuje ona ostatnie miejsce, — najciemniejsze jéj odmiany w zupełny niemal brak światła przechodzą; po za nią przegląda ciemność, będąca wyrazem spokoju, ciszy, ale zarazem i chłodem śmierci. Wszystkie ludy pierwotne barwę czarną i niebieską jednym mianują wyrazem, a w starożytnych zabytkach piśmiennych Indów i Persów, niéma odrębnego słowa na oznaczenie błękitu. Czystość i stałość koloru, wdzięk w każdym niemal jego odcieniu są znamieniem niebieskiego światła, ale z po za nich wyziera smutek, tęschnota — tém dotkliwsza, że z pojęciem stałości złączona. Pięknie uczucie to wypowiedział Słowacki pod lazurem wschodniego nieba, w „Hymnie o zachodzie Słońca“:

„Jak puste kłosy z podniesioną głową
Stoję rozkoszy próżen i dosytu,
Dla obcych ludzi mam twarz jednakową:
Ciszę *błękitu*....
Ale przed Tobą głąb' serca otworzę
*Smutno* mi Boże!...“

Taki jest charakter i znaczenie barw zasadniczych. Charakterystykę innych barw, pochodnych, pomijam, zaznaczając tylko, że z barw mieszanych zielona ma najwięcéj odrębności i względnéj samodzielności. Kolor biały i czarny nie są właściwie barwami. Ze stanowiska fizyki kolor czarny jest brakiem światła, tak samo jak kolor biały jest wyrazem najwyższej jego potęgi, jego jasnością — światłem samém. Estetyka jednak inaczéj się na tę kwestyę zapatruje, bo bezpośrednie, wrażenia naszych zmysłów, z codziennego życia zaczerpnięte nie przyznają na pozór słuszności teoryi fizycznéj. Estetyka tedy nie tylko przyjmuje barwę czarną i białą, ale nadto zalicza je do barw zasadniczych. Kolor czarny jest barwą

tajemniczości i mistycyzmu: czarne są głębiny, przepaści i otchłanie,— czarno wyziera otwór jaskini i każda jama czarną paszczękę ku światłu roztwiera. Dla tej czarnej ciemności przejmują nas strachem głębie i pieczary podziemne, a wyobraźnia ludu zapełnia je smokami i potęgami piekła zaludnia. Że zaś umysł nasz za światłem goniąc, ciemności nienawidzi, więc barwa czarna staje się żałoby, rozpaczy i śmierci symbolem, a poeta się skarży, że

„...gdy się troski do duszy wkradną,
Huczą w niéj chmury *czarnemi*..."

Barwa biała jest krańcowém przeciwstawieniem pojęcia i wrażenia wywartego przez barwę czarną. I nic dziwnego, bo barwa biała to światło samo, a wszystkie żyjące twory na wszystkich szczeblach organicznego istnienia za światłem, w rzeczywistém i przenośném jego znaczeniu, tęschnią i do niego dążą. Tak wyhodowana w ciemności roślina wyciąga blade łodygi ku promieniowi słońca, który się przez szparę do ciemnicy zabłąkał, a jeden z najpotężniejszych geniuszów, których wydaniem ludzkość się szczyci, w przedśmiertném konaniu, ostatniemi wyszeptanemi słowy: „światła, więcéj światła" pożąda. To téż kolor biały uważany jest oddawna za symbol niewinności i czystości ducha, bo jak wedle porównania Libelta, w białym promieniu nie rozstrzeliło się jeszcze widmo kolorowych świateł, tak w czystém i niewinném sercu nie ma jeszcze rozkładu myśli na wiadomość złego i dobrego. Niemniéj przeto, w konkretném znaczeniu, w codzienném życiu, w barwie białéj odczuwamy pewien brak charakteru, indywidualności, pewną nieokreśloność i próżnię, domagającą się uzupełnienia. Któż piękniéj od Mickiewicza zdołał wyrazić to uczucie, gdy szkicując bezbarwną, rozległą okolicę, powiada:

„Kraina *biała*, pusta i otwarta,
„Jak zgotowana do pisania karta,—
„Czyż na niéj pisać będzie palec boski
„I dobrych ludzi użyywszy za głoski,
„Czyliż tu skreśli prawdę świętéj wiary,
„Że miłość rządzi plemieniem człowieczem,
„Że trofeami świata — są ofiary?"

---

Kończąc, pozostaje mi streścić pokrótce wyniki powyższych spostrzeżeń. W omówieniu naszego przedmiotu zwróciliśmy przedewszystkiém uwagę na ograniczenie w wierności odtworzenia wrażeń wzrokowych, jakiemu sztuka malarska podlega ze względu na materyał techniczny, jakim rozporządza. Widzieliśmy, że najważniejszy środek dla ocenienia wrażeń odległości, t. j. widzenie dwuoczne, nietylko przez malarza nie może być zużytkowanym dla od-

dania głębokości obrazu, lecz przeciwnie zwraca się przeciw artyście, przeszkadzając powstawaniu złudzenia; poznaliśmy środki, jakich sztuka używa celem zwalczenia téj przeszkody, a jednym z najdzielniejszych z pomiędzy nich okazało się zachowanie prawideł perspektywy powietrznéj. Daléj przekonaliśmy się, że skala natężenia światła w naturze i sztuce jest zupełnie odmienna i że właściwe wrażenie barwy otaczających nas przedmiotów, w nieznacznéj tylko części osięga się w dziele sztuki przez nałożenie odpowiedniéj farby; głównie zaś otrzymujemy je przez znaczne modyfikacye w podziale światła i cieniów, i przez nałożenie odpowiednich świetlnych odbłysków.

Z tego wszystkiego wynika, że artysta, jakeśmy to już zresztą wspominali, nie może wiernie kopiować natury, że ją tylko oczom naszym w dziele swojém tłómaczyć jest w stanie. W tłómaczeniu tém jednak może on nietylko dać nam jasny i wyraźny obraz odtwarzanych przedmiotów, ale nadto dokładnie odwzorować nieskończenie rozmaite natężenia światła, w jakich te przedmioty widzimy. Zmieniona skala natężeń świetlnych w wielu razach może się okazać bardzo korzystną, znosi bowiem wszystko, co w rzeczywistości wzrok nasz nuży i razi zbytecznie. Ztąd wypływa, że to naśladowanie natury może nam dać wrażenia zmysłowe przyjemniejsze niż natura sama. Dzieła sztuki możemy rozpatrywać spokojniéj, wolniéj, dokładniéj niż przedstawione na nich widoki i sceny z życia w rzeczywistości. Artysta może przez odpowiednie oświecenie, uwydatnić najsubtelniejsze odcienie barwy, położyć nacisk na charakterystyczne właściwości kształtów danego przedmiotu. Może nakoniec przedstawić nam świetną rozmaitość wspaniałych barw, a jednak umiejętném ich zestawieniem, utrzymać wrażliwość wzroku w pożądanéj równowadze. Jeśli z tych wszystkich możliwości skorzystać potrafi, — jeśli je wszystkie na płótnie uwydatnić zdoła, wówczas w dzieło swoje tchnienie swéj myśli wcieli i w arcydzieło je przetworzy. Dzieło takie zwróci i zatrzyma naszą uwagę, wznieci bogatą rozmaitość drzémiących w nas wrażeń, wraz z przywiązanemi do nich uczuciami, zespoli je w jednym kierunku, zestrzeli ku jednemu celowi, a dla naszkicowania swéj myśli pozbiera pojedyncze rysy z różnych zakątków naszéj wyobraźni i pamięci, gdzie nakształt rozproszonych szczątków leżały mgłą zapomnienia owiane, pleśnią przypadkowych zdarzeń porosłe. I to nam tłómaczy potęgę wrażenia, jakie na nas widok arcydzieła sprawia. Wrażenie to tém będzie silniejsze, wpływ ten tém będzie potężniejszy, im wrażenie fizyczne, które ma ten szereg myśli i uczuć wywołać, będzie bliższém prawdy,— prawda bowiem jedynie, jasności utworom sztuki udziela.

Tak więc właściwości techniki artystycznéj wiążą się najściśléj z najwyższemi zadaniami sztuki. Powiem więcéj — kto wié, czy ostateczna tajemnica artystycznéj piękności, owo rozkoszne umysłowe zadowolenie, jakiego wobec dzieł sztuki doznajemy, nie leży w znacznéj części w poczuciu łatwości, harmonii i szybkości, z jaką wywołane przez nie wrażenia przesuwają się przed oczyma naszéj wyobraźni, kierując się wszystkie ku jednemu celowi, odkrywając nam nieznane dotychczas a niezłomne prawidła, i pozwalając zapuścić badawcze spojrzenie w najskrytsze głębiny myśli naszéj.

Zresztą, w dziedzinie sztuki napotkamy wyjątkowe uzdolnienia: geniusz obejść się może bez teoretycznéj znajomości jakichkolwiek prawideł. On znać ich nie potrzebuje, bo je przeczuwa, odgaduje i wciela, a potomność, z rozpatrywania dzieł jego, prawa te dopiéro poznaje. Ale geniusz wymyka się i z pod wszystkich innych rządzących zwyczajnemi umysłami prawideł. Dziwny, rzadki, wyjątkowy, niepodległy i nieodgadniony stoi on dotąd zupełnie po za obrębem naszego pojęcia. Jest-to olbrzymie drzewo, którego korzenie rozsadzają spleśniałe skorupy uświęconych wiekowém trwaniem uprzedzeń i błędów, którego owoce służą za pożywienie stuleciom, a które rośnie w takich okolicznościach, że ani warunków jego powstania i rozwoju określić, ani płodności obliczyć nie jesteśmy w stanie. I geniuszowi jednak świadomość praw bytu się przyda. Umiejętności, wedle wyrażenia Kremera, winny być pierwszą geniuszu kąpielą, a im lepiéj się na nich wyrobi, zaprawi, uszlachetni, tém silniéj urosną skrzydła natchnienia jego.

*Dr. K. Zagórski.*





# Pamiętniki Beusta.

(Dokończenie).

W układach przedwstępnych między Austryą a Prusami, podjętych w Nikolsburgu, nie uczestniczył Beust, dzięki niechęci osobistéj i politycznéj, z jaką na jego osobę spoglądał Bismark. Jeżeli już niewinnéj stosunkowo osobistości, jaką był bawarski minister von der Pfordten, dostała się ze strony Bismarka, za przybyciem do głównéj kwatery pruskiéj, groźba aresztowania, byłaby Beusta, o czém on sam nie wątpi, spotkała w takim razie jego rzeczywistość. Co się tyczy stosunkowéj względności, jaka jeszcze czy to w owych negocyacyach, czy w późniejszym traktacie pokoju pragskim, spotkała Austryę i Saksonię, przypisuje ją autor wpływowi i postawie Napoleona III, w czém najlepszy dowód, iżby Francya w razie energiczniejszéj akcyi była mogła w owéj chwili stać się rozjemczynią losów Niemiec i Europy, a saméj sobie oszczędzić zawczasu klęski i upokorzeń r. 1870. Beust sam zadowolniony, jak powiada, tym względnie korzystnym rezultatem, uważał rolę swą polityczną za skończoną, zwłaszcza, że jednym z warunków ocalenia Saksonii było jego ustąpienie. Czuł się dotknięty postępowaniem dygnitarzy austryackich, mianowicie ministra spraw zagranicznych, hr. Mensdorffa, myślał na seryo o porzuceniu Austryi i jéj stolicy, opuścił nawet Wiedeń i wyjechał do Gasteina. „Jak wielkiém tedy—powiada—było moje zadziwienie, gdy w tydzień późniéj, ówczesny dyrektor kancelaryi von Braun wszedł pewnego wieczoru w Gasteinie do mego pokoju i zakomunikował, że cesarz ofiaruje mi ministerstwo spraw zagranicznych.“ W ten to sposób, nie bez żalu za swoją ojczyzną saską, jak powiada, zyskał nareszcie Beust, przez dziwaczny kaprys wrogiéj mu początkowo fortuny, stanowisko pierwszorzędne, widownię odpowiednią swym pretensyom, swéj ambicyi, do

pewnego stopnia, można powiedziéć, i zdolnościom. Złośliwi, na których Beustowi jak nie zbywało za życia, tak nie zbywa dotąd, po śmierci, posługują się przeciw niemu konceptem, iż jeżeli Saksonia była dlań za małą, była przeciwnie Austrya za wielką. Lepszy w tém koncept, aniżeli prawda. Nie ma co mówić, Beust nie był człowiekiem wielkiego zakroju, miękka jego, być może, sybarycka nieco natura, przeznaczała go raczéj na dyplomatę, aniżeli na kierującego losami państw męża stanu. Patrząc na Beusta, nie można mimowolnie, jak to już wyżéj powiedziano, obronić się paraleli między nim a jego poprzednikiem ks. Metternichem, jakkolwiek paralela ta wypadnie, co bądźby różni pp. Lisiccy powiedzieli, na korzyść rozumu, znajomości rzeczy, a nadewszystko pracowitości Beusta. Jakikolwiek będzie sąd o Beuście, nie zaprzeczy nikt, że pośród chaosu i upadku ducha, jaki wywołała katastrofa r. 1866, że wobec bezmyśli i mierności ludzi politycznych, jakimi Austrya naówczas posłużyć się była w stanie, Beust jeden przynosił jéj jakiś organiczny program, jakąś myśl przewodnią, wskazywał jakąś drogę przyszłości, która ostatecznie nie okazała się zbyt mylną i błędną. Powołany do rady cesarskiéj w charakterze najprzód ministra spraw zagranicznych, które to stanowisko miał niebawem zamienić na naczelne stanowisko kanclerza państwa, spotkał się z trzema kolegami, lepiéj powiedziawszy, przeciwnikami, których trzeba było usunąć lub ubezwładnić, jeżeli chciał rzeczywiście zdobyć powodzenie własnemu programowi. Byli nimi hr. Maurycy Esterhazy, hr. Mensdorff i hr. Belcredi. Beust skreśla nie bez pewnego humoru, ale i nie bez pewnéj złośliwości przeprawy swe z nimi, jak i swe ostateczne nad nimi zwycięstwo. Trzeba je zaś było odnieść w łonie gabinetu, aby sięgać po dalsze zdobytki w dziedzinie organicznego ukonstytuowania monarchii. Pod tym względem przedstawiał się Beustowi program równie racyonalny, jak uczciwy a wskazany samą naturą poliglotycznego państwa. Trzymać monarchię w centralistycznych kleszczach tradycyi Metternichowskiéj, bawić się w niedołężne odnawianie jéj eksperymentów za przykładem Bacha i Schmerlinga, nie było ani na czasie, ani praktycznie po ciężkich klęskach lat 1859 i 1866, wobec rozbudzonego uczucia narodowego wszystkich składających Austryę żywiołów. Jedynym możliwym cementem utrzymania w ładzie i składzie podobnego konglomeratu, stawało się zadowolnienie wszystkich jego pierwiastków. Beust zrozumiał tę prawdę, niekoniecznie jeszcze jasną jego poprzednikom czy współzawodnikom, a w tém cała zasługa, w tém częściowe przynajmniéj i początkowe powodzenie jego polityki. Ze źródła tego-to jego jasnowidzenia politycznego popłynęły jedne po dru-

gich ustępstwa dla Węgier, dla Galicyi, obok pewnéj, istnie teutońskiej niechęci do Czechów, jakkolwiek Beust przeczy, aby był kiedykolwiek powiedział przypisywane sobie słowo „o przyparciu Czechów do muru“, a na dowód swéj względności dla nich, przytacza fakt, iż mimo natarczywych insynuacyi, dochodzących go z różnych stron, nie dopuścił wytoczenia procesu Braunerowi, Riegerowi i Palackiemu z powodu ich słowiańskiéj pielgrzymki do Rosyi i mów wygłoszonych przy téj sposobności w Moskwie. Pierwsze, naturalnie w dziejach wewnętrznéj polityki téj Beusta trzyma miejsce słynna ugoda węgierska z r. 1867, akt stanowiący dotąd, a prawdopodobnie na długą jeszcze przyszłość, zasadniczą podstawę istnienia monarchii Habsbursko-Lotaryńskiéj. Doświadczenia przeszłości austryackiéj, próba pruska z r. 1866 poruszenia Węgrów przeciw panowaniu austryackiemu, częściowe jéj powodzenie przez utworzenie legionu pod dowództwem generała Klapki,—wszystko to uwydatniało konieczność wejścia w jakiebądź porozumienie z opozycyą węgierską, potrzebę zamknięcia téj wiecznie otwartéj w organizmie państwa rany. Beustowi należy się zasługa i chwała, że trudne to zadanie potrafił szczęśliwie rozwiązać, że pogodził Węgrów z Austryą, że zręczną i uczciwą razem akcyą polityczną potrafił odwiecznego żarzenia we wnętrzu austryackiém żywioł zamienić na czynnik potęgi i siły zreformowanéj monarchii. Nie dziwmy się, jeżeli miłość własna autora wznosi temu uznania godnemu dziełu pomnik sławy osobnego rodzaju, jeżeli Beust opisuje z lubością rozkoszującego się samym sobą człowieka owacye, jakie go z powodu szczęśliwego przeprowadzenia ugody austryacko-węgierskiéj spotykały w Peszcie, jeżeli opowiada, z jakim to entuzyazmem ludność peszteńska wykrzykiwała na jego cześć *Elien Beust*, z jak ujmującą kokieteryą damy węgierskie obdarzały go wieńcami i bukietami. Po tym pierwszym tryumfie miał przez kilka lat następnych odbywać się nieprzerwanym ciągiem szereg innych powodzeń, opisywanych przez autora z niemniejszą rozkoszą niewinnéj miłości własnéj, zepsutych w opowiadaniu przez dosłowne przytaczania rozwlekłych często mów i depesz. Taką sposobnością nowego tryumfu było dla Beusta zniesienie konkordatu w r. 1868, takąż samą, nieco późniejszy traktat handlowy z Anglią, takiemi daléj publiczne wystąpienia jego czy to na kongresie telegraficznym, czy na uroczystości strzeleckiéj w Wiedniu. Były to istnie miodowe miesiące jego politycznych w Austryi rządów, kiedy każda mowa, każde publiczne wystąpienie opłacały mu się wiwatami tłumu i owacyami graniczącemi z entuzyazmem. Z tego téż czasu datuje się (1868) powzięty początkowo, zarzucony późniéj zamiar podróży cesarza Franciszka Józefa

do Galicyi. Beust opowiada, potrącając w swych wspomnieniach o ten fakt, dla czego owa wycieczka nie przyszła do skutku. Zaręcza, czemu skłonni jesteśmy wierzyć, że interes jego próżności, czy miłości własnéj, podróży galicyjskiéj niezawodnie wymagał, bo nigdzie z pewnością nie byłby mógł liczyć na entuzyastyczniejsze osobiście przyjęcie, aniżeli we Lwowie. Przeszkodziły jednakże owéj podróży: raz, rezolucya sejmu galicyjskiego, domagająca się od rządu centralnego niemożliwéj autonomii, następnie postawa rządu rosyjskiego, który zapowiadał uważać ową podróż jako demonstracyą przeciw sobie. Mimo to wspomina ciągle z wielką sympatyą o Polakach, o Galicyi, nawet i w téj epoce, a z tego téż czasu datuje się powołanie Klaczki na sekretarza czy redaktora depesz do ministerstwa spraw zagranicznych. Dodajmy téż zaraz, że Beust żywi dla znakomitego publicysty przez cały ciąg swych pamiętników jak najwyższe uznanie i współczucie a mianowicie oddaje sprawiedliwość jego delikatności, jakiéj dał dowód, podając się sam do dymisyi po mowie wypowiedzianéj w sejmie galicyjskim na rzecz Francyi.

Wracając do przedmiotu karyery Beusta, zapiszmy jeszcze, że w r. 1869 zyskuje stanowisko kanclerza i tytuł hrabiowski. Pogodę tych świetnych dni Beusta zamącała jedynie tylko objawiająca się od czasu do czasu przy najrozmaitszych sposobnościach niechęć dawnego antagonisty, jakim pozostał niezmiennie ówczesny hr. Bismark. Nie zbywało na wycieczkach z jego strony przeciw Beustowi, bądź to w notach dyplomatycznych, komunikowanych królowi Janowi saskiemu, bądź w artykułach *Norddeutsche Allgemeine Zeitung*, bądź w pomnikowém dziele generalnego sztabu pruskiego o wojnie r. 1866. Beust nie pozostawiał tych zaczepek bez odpowiedzi, dawał je bądź to na drodze dyplomatycznéj, bądź dziennikarskiéj, a jedna z nich jest zbyt charakterystyczną i zbyt ważną historycznie, abyśmy jéj nie mieli zakomunikować w dosłownem brzmieniu. Organem, za pośrednictwem którego Beust na ten raz (17 kwietnia 1869) przemówił, była wiedeńska *Neue Freie Presse* a obrona jego czy odpowiedź odsłaniała fakt następny: „Świat był dotąd przekonania, że król pruski Wilhelm wybrał się tylko z najwyższym wstrętem na wojnę przeciw Austryi w r. 1866 i że ten monarcha tylko z ciężkiém sercem po bitwie pod Königgrätz zgodził się na wcielenie ostateczne Hanoweru, elektoratu Heskiego, księstwa Nassauskiego i wolnego miasta Frankfurtu. Pruskie relacye przedstawiały hr. Bismarka jako duszę i inicyatora tych wydarzeń a opowiadały, że ministrowi przyszło staczać najcięższe walki, aby opór królewski przeciw wojnie przełamać i gruntowne wyzyskanie militarnego powodzenia przeprowadzić. Według tych przedstawień, znajdował się

król ciągle w zapasach z przykazami boskiemi, nim go się udało skłonić do ostatecznych postanowień, a gdy się już wszystko zdawało osięgnioném, miał jeszcze wahać się długo i długo. Wpojono następnie w świat przekonanie, że Prusy zawarły z Austryą pokój, nim jéj jeszcze zupełnie sztylet wraziły w serce, jedynie z tego powodu, że z rozwiązaniem niemieckiego związku i wykluczeniem Austryi, zdawało się dosyć być zdziałanem dla jedności i wielkości ojczyzny niemieckiéj. Są to jednakże wszystko fałsze. Hr. Bismark nie zawsze był twórczym i kierującym, wszystkie przeszkody usuwającym duchem. Królowi samemu, królowi wyłącznie należy się zasługa stworzenia wielkich Prus. A nie jest to może jaki złośliwy żartowniś, który z podobném twierdzeniem występuje. Hr. Bismark czyni to sam w depeszy z d. 20 lipca do hr. Goltza, w depeszy owéj, która ujrzała światło dzienne dzięki oficyalnemu przedstawieniu bojów austryackich z r. 1866. Depesza ta zaś wywołała z pewnością nie mniejsze wrażenie, aniżeli swego czasu depesza Usedoma. Autentyczność brzmienia téj nadzwyczaj ciekawéj depeszy z 20 lipca 1866 nie może być podawana w wątpliwość a z dokumentu tego pokazuje się, że cały świat został wprowadzony w błąd co do udziału osobistego króla pruskiego w ówczesnych wypadkach. Pokazuje się téż nadto z téj depeszy, że król Wilhelm byłby najchętniéj prowadził walkę daléj i jak to projektowano w depeszy Usedoma, wykonał cios w serce przeciwnika. Spowodowała zaś króla pruskiego do zgody na zawieszenie broni nie okoliczność, że po zgnieceniu Włochów pod Custozzą i Lissą plan podania im ręki w sercu Austryi stał się niewykonalnym, ani racya, że Austrya po Königgraetzu mogła jeszcze niezaprzeczenie po za Dunajem wystawić armią 200000 ludzi. Decydującym tu jedynie był wzgląd na cesarza Napoleona. Wpływ Francyi tedy tylko powstrzymał króla pruskiego w jego zwycięzkim pochodzie, cesarz Napoleon jedynie tylko ocalił Austryą od zupełnego zniszczenia przez Prusy. Wszystko to jednakże jest dyametralném przeciwieństwem tego, co osoby dobrze poinformowane w Prusach dotychczas twierdziły i przeczyły. Depesza Bismarka do Goltza zawiera jednakże jeszcze wiele innych rzeczy, o których się dotąd światu nie śniło. Nie Bismarka polityka usunęła monarchów Hanoweru, Hesyi elektoralnéj i księstwa Nassauskiego; nie, król Wilhelm chciał tego, on, który znaczenie związku północno-niemieckiego bardzo nisko cenił, główną zaś wartość pokładał na anneksye. Aby zaś p. Goltz nie myślał, że hr. Bismark pisze to, aby wobec Napoleona swoję zaborczą politykę zakrywać osobą królewską, dodaje minister w zupełném zaufaniu, że król Wilhelm oświadczył, iż będzie wolał raczéj abdykować, aniżeli powrócić do

Prus bez znacznych nabytków terytoryalnych. Powołał też król do boku swego następcę tronu, aby go mieć na wszystkie wypadki przy sobie.“ W sprawie owych anneksyi przytacza też jeszcze Beust charakterystyczny dyalog między pewnym mężem stanu austryackim a sekretarzem ambasady pruskiéj w Paryżu. Na odebraną wiadomość o zgonie króla Jerzego hanowerskiego, zauważył pierwszy wobec drugiego, że wiadomość o zgonie zdetronizowanego króla nie będzie z pewnością obojętną dla serca cesarza Wilhelma. „Ach nie“, odpowiedział urzędnik pruski, „Cesarz przecież *mu* (królowi hanowerskiemu) oddawna *przebaczył.*“

Prócz tych powodzeń Beusta w wewnętrznéj polityce, prócz korespondencyi z biskupem Linzskim Rüdigerem w przedmiocie konkordatu, prócz pewnych nieporozumień z ks. Gorczakowem, stał się ostatni ów rok przed wojną francuską pamiętnym w zawodzie politycznym Beusta przez wycieczkę na Wschód i na otwarcie kanału Sueskiego, odbytą wraz z cesarzem Franciszkiem Józefem i późniejszym prezesem gabinetu Andrassym. Opis téj podróży mógłby w pamiętnikach zajmować bardzo ciekawe miejsce, gdyby autor nie był w nim położył głównego przycisku na wypadki i przejścia polityczne, spychając wrażenia interesującéj podróży na drugi plan. Podróż monarchy obróciła się przez Węgry, Rumunią, Warnę, do Konstantynopola. Tutaj to miał Beust posłuchanie u sułtana, następnie konferencyą z wezyrem Ali Baszą, który, co rzecz najciekawsza z wszystkiego, wyrzucał Austryi jako nieprzebaczony błąd, iż podczas wojny wschodniéj z r. 1855 nie sięgnęła po księstwa Naddunajskie. Dalsze szczegóły téj podróży, powtarzamy, mogły były mieć wiele interesu, wiele zaciekawienia, gdyby sprawy polityczne, gdyby nie nieszczęśliwa metoda wydawnictwa pamiętników, gdyby nie ciągłe wplatanie długich not dyplomatycznych i korespondencyi treści sucho-policznéj nie psuły ciągłości opowiadania i wrażeń, którym autor skłonny niekiedy się oddawać. To też nie zawiera nic szczególnie ciekawego opis wyprawy do Jerozolimy i kilkudniowego tamże cesarza Austryackiego pobytu. O wiele więcéj zajmującym jest epizod téj podróży, w którym autor skreśla straszliwe niebezpieczeństwo, na jakie cesarz był narażony, wsiadając w łódź w porcie Jaffy, wśród niesłychanie wzburzonego morza. Gospodarzem domu jakoby i przewodnikiem podróżnych austryackich za przybyciem do portu Said i około kanału Sueskiego był jego twórca Lesseps, któremu za niekoniecznie szczęśliwą oryginalność poczytujemy, jeżeli przed Beustem wynosił niezmiernie Arabiego Baszę i nazywał go *l'étoile qui se lève sur la mer Rouge.*

Po obejrzeniu kanału Sueskiego przewiózł admirał Tegethoff cesarza wraz z Beustem i całém otoczeniem do Aleksandryi. Ztąd wybrali się do Kairu, gdzie ich ze strony Izmaela Baszy spotkało jak najświetniejsze przyjęcie. Dodajmy przy sposobności, że towarzyszem cesarza w téj podróży, jak we wszystkich wycieczkach Beusta czy to po Kairze, czy do piramid, czy w mniéj zasługujące na wzmiankę w podobnéj publikacyi miejsca, był późniejszy prezes gabinetu austryackiego hr. Andrassy. Mówiąc o miejscach czy rozkoszach pobytu egipskiego, o których może lepiéj było nie wspominać, mamy na myśli zbyt szczegółowy opis wycieczki, jaką w wilią właśnie wyjazdu z Kairu, Beust, Andrassy, i Sefer Basza (Kościelski) urządzili, aby się przypatrzéć pod opieką dodanéj przez Kediwa straży, narodowemu tańcowi egipskiemu, znanemu pod nazwą „tańca pszczoły“ *(danse d'abeille)*, *solo* wykonywanemu przez tancerkę zrzucającą z siebie wszelkie ważniejsze części odzienia. Mniejsza, że, jak powiada Beust, taniec ten sprawił mu zupełny zawód. Nam zdaje się, że lepiéj było o podobnéj wycieczce wcale nie wspominać, jako o rzeczy, którą się może w razie dobrego humoru zrobić, ale o któréj się nie pisze. O rychłym poranku, po nocy na podobnéj zabawie spędzonéj, opuścił Beust Kairo. W kika dni późniéj wsiedli podróżni austryaccy w porcie Aleksandryjskim na statek i zawinęli po kilku dniach żeglugi do portu Tryestyńskiego. Za powrotem do Wiednia, opowiada Beust, czekały go ciężkie przeprawy z tak zwaném *Bürgerministerium*, mianowicie Bergerem i Hasnerem, zatargi, których ostateczném następstwem było wezwanie hr. Potockiego do utworzenia nowego gabinetu, na którego czele on sam miał stanąć. „Mówiłem“, powiada, „w ostatnim rozdziale o niepowodzeniu, jakiego doznałem z Bergerem; teraz przechodzę do innego, na jakie miałem być wystawiony z Potockim. Z pierwszym wydarzyło mi się nieszczęście, że człowiek odpowiedni sytuacyi, nagle stał się niezdolnym do pracy. Z drugim wydarzyło mi się, że ktoś, kogo uważałem za męża odpowiadającego sytuacyi, takim się nie okazał. Alfred hr. Potocki nie był dla mnie, gdy przybyłem do Wiednia, nową znajomością. Przed dwudziestu laty byliśmy w Londynie, ja jako saski minister rezydent, on jako towarzysz ambasady ze swoim szwagrem, hr. Dietrichsteinem. Poznałem tam i nauczyłem się cenić nie tylko jego znakomite formy towarzyskie, ale i swobodniejsze wyobrażenia, aniżeli te z jakiemi się było można spotkać w jego sferze towarzyskiéj. Wrażenia, jakie na mnie sprawił, nie mogę charakteryzować lepiéj, jak nazywając go austryackim whigiem. Taki człowiek, który równocześnie posiadał wielki majątek i szerokie włości ziemskie, a dla tego téż odpowiadał wszelkim warunkom

uznania godnéj niezależności, zdawał mi się właściwym na podobne stanowisko. Był bliski zarówno sferom arystokratycznym, jak kościelnym; mimo to nie mógł jednak być posądzonym ani o reakcyjność, ani o klerykalizm. Co z jego strony, po rozmowach z nim, zdawałem się módz przypuszczać, to stanowczość i wytrwałość a pod tym względem znalazłem się okrutnie zawiedzionym. Nie będę ztąd hr. Potockiemu tém mniéj robił zarzutów, ponieważ sam wolny od wszelkiéj ambicyi, zdecydował się na przyjęcie prezydentury ministerstwa, skoro odwołano się do jego patryotyzmu. Czysto przedmiotowo na rzeczy patrząc, nie mogę jednak zaprzeczyć faktów, które nie pozostały bez ważnych następstw." I tutaj opowiada Beust jednym zamachem wahania się Potockiego w utworzeniu nowego gabinetu, w zaprowadzeniu ogólnego głosowania, w ocenieniu sytuacyi zewnętrznéj. Takiego to prezesa gabinetu zastały wypadki 1870 r., których Beust, jak się sam przyznaje, nie przewidział a w których stanowisko Austryi i swoje własne, skreśla w sposób noszący najwidoczniéj cechę wszelkiéj wiarogodności. Otóż mimo stosunków, jakie się wyrobiły późniéj między Prusami a Austryą, mimo owego stosunku aliansowego, za którego już istnienia Beust swoje wspomnienia kreśli, nie odgrywa wcale, mówiąc o sobie i swych usposobieniach w r. 1870, roli jakiegoś przyjaciela Prus i późniejszego cesarstwa niemieckiego. Przeciwnie, wyznaje, że wtenczas był jedynie tylko dobrym Austryakiem, że myślał o interesie Austryi, że sympatye ciągnęły go daleko bardziéj w stronę Francyi, aniżeli w stronę Prus. Całém staraniem jego ówczesném, jak powiada, było nie dopuszczać wojny, miéć zawsze Francyą na pogotowiu, jako potęgę zdolną zrównoważyć Prusy, w ostateczności przerzucić się na jéj stronę, w razie nieprzewidzianych wydarzeń. Zaręcza téż, że od pierwszéj chwili zatargu między Prusami a Francyą z powodu kandydatury księcia Hohenzollerna, zastosował swe postępowanie do powyżéj wyrzeczonéj zasady; ale że wypadki postępowały zbyt szybko, że Francya pozwoliła się zwyciężyć zbyt prędko, aby jakabądź czynna interwencya ze strony Austryi była mogła liczyć na widoki powodzenia, zwłaszcza wobec czujności Rosyi. Co Beust w sprzeczności z ks. Grammontem, nie przestającym wyrażać swe żale przeciw Austryi, twierdzi, to że przesłał do Paryża *przed* wypowiedzeniem wojny radę, aby się zadowolnić cofnieniem kandydatury ks. Hohenzollerna ze strony Prus, aby odwrót ten ich uważać za własne dyplomatyczne zwycięstwo, które należy wyzyskać, a tymczasem przygotowywać się do wojny i zawierać alianse.

Po wypowiedzeniu wojny, przed klęskami Francyi, Beust chciał, jak powiada, pozostać na stanowisku mocarstwa zdolnego zaważyć

na szali ważących się losów; zażądał i uzyskał kredyt 24 milionów złr. na uzbrojenie armii i oświadcza dość bezogródkowo intencyą, jako w danym razie był już gotów podać Francyi rękę. Klęski jéj jednakże były zbyt szybkie i zbyt ciężkie, aby nie były miały przeszkodzić równie interwencyi Austryi, jak interwencyi Włoch. Prawdę podobną i konieczność jéj rozumieli sami doradcy Napoleona, przypominając mu maksymę: „*on ne s'allie pas avec un battu.*“ Cokolwiekbądź, wyraża Beust, mimo zaręczeń uczuć jak najgorętszego patryotyzmu niemieckiego, żal z powodu grzesznie bezczynnéj postawy mocarstw neutralnych w czasie wojny prusko-francuskiéj, postawy, która pozwoliła urość Prusom w potęgę ciążącą wszystkim narodom i państwom Europy. Żal ten objawia się wcale nie dwuznacznie: „Widać z powyższego opowiadania — mówi Beust — że żelaznéj ręce, która, według historyków niemieckich, przeszkodziła europejskiéj interwencyi, zadanie jéj bardzo ułatwiono. Owa żelazna ręka cieszy się wobec neutralnych mocarstw zupełnie tąż samą dozą historycznéj prawdy, co powstrzymująca ręka Rosyi wobec Austryi. I tutaj nie przeczę wcale, że gdyby neutralni zadanie swoje chcieli brać na seryo, byliby może uczuli razy żelaznéj ręki, ale przebieg, jaki rzeczy wzięły, pozostawiły owéj żelaznéj ręce dość czasu, aby się zajmować ważniejszemi zadaniami, aniżeli miarkowaniem neutralnych. Dla czego ich postawa była tak niewinną, okazuje się dostatecznie z powyższego opowiadania. Natomiast jest trudniejszém do odpowiedzi pytanie, czy zbiorowe ich wystąpienie byłoby miało skutek, mianowicie skutek korzystny dla interesu europejskiego. Bezwarunkowo nie można temu przeczyć. Już po Sedanie były chwile, kiedy w głównéj kwaterze pruskiéj nie było wcale jeszcze pewności, nie powiem, w przedmiocie ogólnego rezultatu wojny, ale w przedmiocie ofiar, których rezultat ten jeszcze będzie wymagał. Sam ks. Bismark mówił mi podczas naszych miodowych miesięcy w Gasteinie (po wojnie), że oblężenie Paryża było zakwestyonowaném, gdyby Metz był się trzymał jeszcze dwa tygodnie. Że jakokolwiek skuteczna interwencya neutralnych, jak to powiedziałem w przytoczonéj wyżéj depeszy, samym swym pojawem byłaby podziałała nie tylko miarkująco na zwycięzcę, ale przekonywająco a stanowczo na zwyciężonego, że na fizyonomią Europy po wojnie byłaby wpłynęła daleko inaczéj, aniżeli się to bez niéj stało,—któż temu może zaprzeczyć? Zbyt przeważne, panujące stanowisko jednego członka rodziny państw europejskich wobec innych, nie może być nigdy uważane za szczęście. Mądrość cesarza Wilhelma i jego kanclerza zdołała wprawdzie uniknąć błędnych dróg Napoleona I, a cesarstwo niemieckie usprawiedliwiło dotąd

pretensyą zostania mocarstwem pokoju. Co jednakże przyniesie przyszłość, jest jeszcze zakryte, jakkolwiek zaspokojającemi mogą być rękojmie, których dostarczają powołane następnie do panowania osobistości. Dla Niemiec samych jednakże, jak i dla pokoju europejskiego, byłoby nie wzgardy godném bezpieczeństwem, gdyby interwencya neutralnych była ich samych zobowiązała solidarnie, a tém samém udaremniła z góry wszelki ich czynny czy bierny udział w jakiembądź odwetowém przedsięwzięciu francuskiém. Że i wzgląd ludzkości w téj sprawie miałby prawo zaważyć cokolwiek, nie będzie zapewnie nikt przeczył. O ileż to mniéj w takim razie kosztownéj krwi byłoby wylanéj, o ile mniejszą byłaby ujma dobrobytu, nieuniknione następstwo wojny, przez które Niemcy, mimo miliardów, ucierpiały więcéj od Francyi."

Jeżeli w powyższém orzeczeniu odzywa się aż nazbyt wyraźnie żal Beusta z powodu upadku Francyi i przewagi prusko-niemieckiéj nad Europą, przemawia toż samo uczucie w sposób o ile możności jeszcze więcéj stanowczy w uwagach nad borusomanią, jaka po zwycięstwie odniesioném przez Prusy nad Francyą, ogarnęła nagle Niemców austryackich. Beust nie szczędzi téj manii zasłużonego sądu, nie pojmuje entuzyazmu i wdzięczności Niemców austryackich dla potęgi, która ostatecznie wyrzuciła ich z Niemiec i pozbawiła dotychczasowéj łączności z wielką ojczyzną niemiecką. „Mimo wszelkiego — mówi — uznania dla potęgi i czynów cesarstwa niemieckiego a pruskiego państwa w szczególności, pozostaje faktem niewątpliwym, że w razie, gdyby dzieci boleści austryackiéj przyjęto na łono lepszego (prusko-niemieckiego) życia, odezwałaby się w nich po takiéj metamorfozie cicha tęsknota za życiem dawniejszém. Pozwoliłem sobie raz, wobec cesarza (Franciszka Józefa), gdy rozmowa zeszła na przedmiot pruskiego kultu, następnych słów: Znam sposób, któryby był skutecznym, ale którego użyć nie można. Każ w. c. mość sprowadzić dwóch pruskich naczelnych prezesów, czterech pruskich radców regencyjnych, dwudziestu pruskich landratów, dwustu pruskich urzędników celnych, a zakładam się, że w przeciągu trzech miesięcy wszystko na kolanach będzie prosiło, aby tylko rzeczy pozostały w dawnym stanie. Znam moich Austryaków. Nie przeszkadza to, że niemieckie słupy graniczne stoją bliżéj od rosyjskich, że wypadki są silniejsze od ludzi, że wcale niemała część mieszkańców cesarstwa niemieckiego zalicza się do uszczęśliwionych mimo własnéj woli." Z tego wszystkiego, jak z wielu późniejszych jeszcze zapisków widać, że Beust nie należał aż po ostatnie dni życia do podbitych sukcesem pruskim, że w gruncie rzeczy pojmował inne Niemcy, aniżeli jedność niemiecką stwo-

rzoną przez podbój pruski, że w głębi duszy pozostał tém, czém był zawsze, federalistą niemieckim, że kultu Niemców austryackich dla Prus nie podzielał, że go przeciwnie uważał za wyraźne niebezpieczeństwo dla całości i istnienia państwa austryackiego. Cokolwiekbądź, nastąpił na znanych warunkach traktat pokoju frankfurcki, stwierdzający ową przewagę prusko-niemiecką, jaka miała światu europejskiemu zaciężyć, a jaka nie przestaje być powodem niepokoju przedewszystkiém dla kanclerza austryackiego. Z obawą tą, mającą swe nader racyonalne powody, będziemy mieli jeszcze sposobność spotkać się niżéj, a tymczasem powiédzmy, że bezpośrednio niemal po ukończeniu wojny i zawarciu pokoju, być może, że pod rozpromieniającém choćby najpoważniejsze organizmy wrażeniem sukcesu, odbywa się wycieczka cesarza Wilhelma i jego kanclerza do wód Gasteinskich, dokąd równocześnie i Beust przybywa.

Pobyt wspólny cesarza niemieckiego, ks. Bismarka i Beusta trwał blisko cztery tygodnie, a jeśli go cechuje coś charakterystycznie, to dziwna jakaś, wylana, zapominająca najzupełniéj przeszłość i roku 1866 serdeczność niemieckiego kanclerza dla swego dawnego przeciwnika, serdeczność tego rodzaju, że Beust mówiąc o niéj, nazywa te chwile wspólnego pobytu swemi miodowemi miesiącami z księciem Bismarkiem, jego samego najprzyjemniejszym w świecie towarzyszem, skoro nim być zechce. Czy był i chciał być zawsze szczerym, inne pytanie, na które jeszcze odpowiemy niżéj. To tylko pewna, że opis właśnie owego pobytu w Gasteinie stanowi w pamiętnikach Beusta najciekawszy pod względem anegdotycznym ustęp. Pod wrażeniem tedy rozszerzającego serce i ufność sukcesu czynił książę-kanclerz niemiecki Beustowi najrozmaitsze, może nie zawsze dyskretne zwierzenia. Nie wahał się obdarzać epitetem „*skończonych głupców*“ różne osobistości, będące na stanowiskach urzędowych, często nawet na stanowiskach dość wysokich, skoro tylko wyszły po za progi komnaty kanclerskiéj. Hr. Harry Arnim nie był już wtenczas, według opowiadania Beusta, w łaskach u kanclerza. Przybywszy do kanclerskiéj willi w Gasteinie w godzinie obiadowéj, a spostrzegłszy Bismarka i Beusta na werendzie już przy stole, kazał etykietalny dyplomata zatrzymać się swemu powozowi w pewnéj odległości, by zrobić za powozem potrzebną „toaletę.“ Widząc to Bismark, odezwał się z akcentem zgorszenia do Beusta: „I z takimi to ludźmi przychodzi mi traktować politykę!“ Nie najmniéj ciekawemi były zwierzenia Bismarka z dziejów ukończonéj dopiéro co wojny. Wspomnieliśmy już wyżéj, że według niego trzeba tylko było dwutygodniowego jeszcze trzymania się Bazaine'a w Metzu, aby zmusić Prusaków do odstąpienia od murów Paryża.

Daléj zaręczał Beustowi, że gotów poprzestać na zaborze Strasburga i Alzacyi, nie byłby nigdy sięgał po Metz, gdyby go do podobnego kroku nie było zmusiło stronnictwo wojskowe, które mu tłómaczyło, że posiadanie Metzu równoważy dla Niemiec utrzymywaniu stutysięcznéj armii przeciw Francyi.

Nie zbywa też na innych jeszcze z owéj epoki opowiadaniach Bismarka, z których jedno, nader charakterystyczne dla opowiadającego, powtórzmy słowami samegoż pamiętnikopisarza: „Mówił (Bismark) wiele o wojnie francuskiéj i swych negocyacyach z Thiersem i Favrem. Zawieszenie broni dochodziło do końca i tak téż rzekłem (Bismark) do Thiersa: *Ecoutez, Monsieur Thiers, voilà une heure que je subis Votre éloquence, il faut une fois en finir; je Vous prèviens, que je ne parlerai plus français, je ne parlerai qu'allemand.* „*Mais Monsieur*—odpowiedział Thiers—nie rozumiemy ani jednego słowa po niemiecku.“ Wszystko to jedno, odpowiedziałem, będę tylko mówił po niemiecku. Na to odezwał się znów do mnie Thiers w bardzo pięknéj mowie. Spojrzałem nań z życzliwością i odpowiedziałem mu po niemiecku. On i Favre chodzili następnie tam i sam, załamując ręce, przez może pół godziny, nareszcie przyszli i zgodzili się na to, o co mi chodziło. Natychmiast téż przemówiłem po francusku do nich. Wszystko to opowiadał Bismark w najweselszym tonie, jak przygodę myśliwską. O bezsercowości, która mniéj może jeszcze leżała w samém tém wydarzeniu, aniżeli w żartobliwém o niém opowiadaniu, nie zdawał się miéć żadnéj świadomości, bo jakież tortury duszy przechodzili naówczas obaj ci nieszczęśni ludzie! Powodzenie daje absolucyą wszystkiemu. Co do mnie, winienem jednak powtórzyć za Schillerem słowa Pozy: Wiem, że to uczynić musisz; że to uczynić możesz — przejmuje serce moje pełnym wstrętu podziwém! Tém korzystniéj przedstawiało mi się inne jego opowiadanie. Bismark wyjechał wraz z wojskami niemieckiemi na rewią pod Longchamps. Wtedy to przystąpił doń człowiek w bluzie i powiedział: *T'es une fameuse canaille!* Mogłem go—mówił Bismark — kazać przyaresztować, ale odwaga jego podobała mi się.“ Nie dość na tém, znajdowała bieżąca i przeszła polityka szerokie miejsce w gasteinskich rozmowach obu mężów stanu. Tak np. zwierzył się Bismark Beustowi, że w r. 1865 przed znaną konwencyą Gasteinską, ofiarował Austryi pruską pomoc ku odzyskaniu Lombardyi, w zamian ustąpienia Prusom praw do Szlezwigu i Holsztynu. Daléj opowiadał kanclerz niemiecki Beustowi, jak tuż po wojnie francuskiéj ofiarował Piusowi IX przez arcybiskupa Ledóchowskiego, jako nową stolicę papiestwa, Kolonią, ale że po odrzuceniu téj propozycyi ze strony Rzymu, nie pozostaje Prusom nic

innego, jak podjęcie walki z kościołem katolickim, walki, która ostatecznie wyrodziła się w późniejszą, zapieraną dzisiaj przez kanclerza jako własne dzieło, walkę kultury. Jaką w tych zwierzeniach, poufnych pogadankach, obiadach, wieczorach, rautach, rolę odgrywała szczerość i dobra wiara kanclerza niemieckiego, niechaj dowodzą następne szczegóły. „Zwróciła się téż rozmowa — powiada Beust—na przedmiot niemieckich krajów Austryi. Ks. Bismark odrzucił z wszelką stanowczością myśl nabycia ich dla cesarstwa niemieckiego, kładąc przycisk na okoliczność, że tak Wiedeń, jak słowiańska katolicka ludność, składałyby się tylko dlań na same kłopoty i przykrości. O szczerości tych zaręczeń (dodaje Beust nie bez ironii) nie wątpię. Nie mogę jednakże przepomniéć jednéj okoliczności. Myślelibyśmy raczéj — dodał Bismark — o Holandyi. Gdy w kilka miesięcy późniéj objąłem stanowisko moje jako poseł w Londynie, stanął tam także równocześnie znany mi już poprzednio nowy poseł holenderski, który dotąd był posłem w Berlinie. Pierwsza rzecz, którą mi opowiadał, była, że Bismark uspokoił jego przypuszczenie co do zamiarów na Holandyą uwagą, iż raczéj należałoby mu pomyśléć o niemieckich prowincyach Austryi.“ Jakże téż wybornie cała ta mozajka opowiedzianych tu szczegółów składa się na charakterystykę niemieckiego kanclerza, jakże owo orzeczenie o konieczności zniszczenia nieprzyjaciela, którego się ma w ręku, jakże owa niemiecka rozmowa z nieumiejącymi po niemiecku Favrem i Thiersem, charakteryzuje jego serce, jak owa rozmowa z Beustem o Holandyi, z posłem holenderskim o niemieckich krajach Austryi — dowodzi jego szczerości i dobréj wiary politycznéj! Nie można daléj twierdzić, aby kanclerz austryacki pozostał ślepym na niebezpieczeństwa, jakie okazywały mu się nieubłaganie same przez się ze zwierzeń Bismarka, w przedmiocie niemieckich krajów Austryi. Niebezpieczeństwa te zdawały się być tém widoczniejsze, im wyraźniejszą i dotykalniejszą postać im dały orzeczenia samegoż cesarza niemieckiego w konferencyi odbytéj z Beustem. Zwierzenia te i orzeczenia zdawały się Beustowi dość ważnemi, by na podstawie ich ułożyć osobny, ostrzegający memoryał i przesłać takowy cesarzowi Franciszkowi Józefowi. Między innemi znajdujemy w tym dokumencie następne, charakterystyczne ustępy: „Interesującém było orzeczenie j. c. mości (prusko - niemieckiéj), że Francya zginęła wskutek wypadków r. 1866, ponieważ Napoleon III mógł i powinien był wpaść nam (Niemcom) na tyły. W r. 1866 nie chciał on nam (król czy cesarz) wierzyć w neutralność Francyi i zezwolił po długim dopiéro oporze na to, aby odsłonić prowincyą nadreńską. Zachowuje też ztąd dla cesarza Napoleona wielką wdzięcz-

ność. Opowiedział mi następnie cesarz wszystkie szczegóły zajść pruskich w roku 1870; pomijam to jednakże milczeniem, ponieważ opowiadanie cesarza zgadza się z tém, co już jest rzeczą znaną z urzędowych sprawozdań pruskich. Nowym jednakże dla mnie był fakt, że kiedy on, król, żegnając się przyjaźnie z Benedettim na kolei żelaznéj, podał mu rękę, powiedział do niego: Żegnam cię, panie ambasadorze. Udajesz się do Berlina; ja będę tam w przeciągu dni kiku, a rzecz nie będzie się traktowała między tobą a mną, ale między obu rządami. To jednakże, co nie należy do przeszłości, ale do teraźniejszości, a dlatego tém więcéj na uwagę zasługiwać mi się zdawało, jest rzecz następna: Cesarz (Wilhelm) powiedział, że dał W. C. Mości (Franciszkowi Józefowi) w Ischl zapewnienie, iż nikt nie myśli zabierać austryacko-niemieckie prowincye. Prawda jednakże, dodał zaraz następnie, iż powiedziałem twemu cesarzowi to samo, co już oświadczyłem cesarzowi Aleksandrowi, to jest *że niczego więcéj nie pragnę i pragnąć nie chcę, jak tego tylko, aby Niemcy w Austryi, równie jak Niemcy w Rosyi czuli się zadowolnionymi i nie byli zmuszeni zwracać swych głów ku nam i sprawiać nam przez to kłopoty.* Orzeczenie podobne, dodaje Beust, zwróciło na siebie tém więcéj moję uwagę, że przybyły wczoraj dopiéro generał Schweinitz w zupełnie ten sam sposób się odezwał. Nie omieszkałem wskutek tego odpowiedziéć cesarzowi (Wilhelmowi), że do podobnego uspokojenia Niemców w Austryi, możnaby się ze strony niemieckiéj (w cesarstwie niemieckiém) bardzo skutecznie przyczynić. Nie chcielibyśmy, mówiłem, czynić rządu pruskiego odpowiedzialnym za jakie bądź agitacye, ale téż agitacye właśnie doznałyby mocnego złagodzenia, skoroby oficyalne pióra w Niemczech przekonały Niemców austryackich, że mieszkają w różnojęzycznem państwie i że winni żyć w zgodzie z innemi narodowościami, jeżeli Austrya, uważana ze strony niemieckiéj jako konieczność, ma istniéć. Jakkolwiek na tymczasem nie mam zamiaru mieszać się w obecną wewnętrzną akcyę, jest przecież moim obowiązkiem zwrócić uwagę na poważną stronę tych orzeczeń i przestrzedz usilnie, aby chwilowa kryzys nie przybrała rozwoju sięgającego może bardzo po za zamiary rządu (pruskiego). Mam na względzie fakt szczerego i lojalnego usposobienia gabinetu berlińskiego i pozostawiam na uboczu możliwość przeciwnéj akcyi, a w takim razie wolno mi zapewnie przypomniéć, jak w Wiedniu, gdzie z pewnością nie panowało nigdy żadne anti-duńskie usposobienie, obróciły się jednakże rzeczy w ten sposób, że trzeba było dać posłuch sztucznemu wobec światła dziennego okrzykowi boleści Niemców (pod panowaniem duńskiém). Nakoniec rozmawiał ze mną cesarz (Wil-

helm) dłuższy czas o internacyonale i o konieczności wspólnéj obrony, przy któréj to sposobności rozwinąłem moję myśl w przedmiocie utworzenia asocyacyi przeciwnéj internacyonałowi. Po półtoragodzinnéj rozmowie zostałem przez cesarza łaskawie zwolniony z posłuchania.“ Wogóle nie można zaprzeczyć, aby Beust nie był miał otwartych oczu na niebezpieczeństwo grożące monarchii austryackiéj ze strony niemieckiéj, aby nie widział, jak dążąca ostatecznie do zespolenia się z cesarstwem niemieckiém ludność niemiecka Austryi, zmusi prędzéj czy późniéj rząd pruski do wzięcia Niemców austryackich przeciw własnemu rządowi w podobną opiekę, w jaką poprzednio wziął Niemców szlezwickich i holsztyńskich przeciw rządowi duńskiemu. Żywym dowodem podobnie jasnowidzących obaw i świadomości Beusta, jest inny jeszcze, późniejszy jego memoryał z jesieni r. 1871, przesłany monarsze austryackiemu do Ischl. Niektóre jego ustępy są zbyt charakterystyczne, zbyt ciekawe, zbyt prawdziwego, politycznego proroctwa cechę noszące, abyśmy im ze względu na ich wagę nie mieli dać miejsca w naszém sprawozdaniu. Są one ze stanowiska specyficznie austryackiego istnym aktem oskarżenia przeciw stronnictwu, które przybrawszy początkowo nazwę wierno-konstytucyjnego, zamieniło się na stronnictwo narodowe niemieckie, a dopełniwszy na sobie téj metamorfozy, wyszło na najlepszy czynnik wszechgermańskiéj propagandy i anneksyjności. Odsłonienie téj prawdy przynosi jasnowidzeniu politycznemu Beusta i jego odwadze cywilnéj tém więcéj zaszczytu, że prawda ta zapomina się dzisiaj umyślnie i rozmyślnie wśród *hosanna* wznoszonego na cześć nieprzerwalności i nienaruszalności „przymierza prusko-austryackiego“, sam zaś memoryał i stanowisko w nim zajęte przyczyniły się nie mało do ustąpienia Beusta i zepchnięcia go z pierwszorzędnéj pozycyi, jaką zajmował. „Książe Bismark — mówi Beust w tym drugim memoryale — powtarzał mi, jak to w. c. mości wiadomo, ubiegłego lata i przy osobistém spotkaniu, a jak się zdaje, z zupełną szczerością postanowienie, aby uważać wewnętrzne kwestye Austryi jako obszar dla siebie zamknięty i wyrzec się wszelkiego wspierania pojedynczych stronnictw. Nie mniéj przypomni sobie jednakże w. c. mość, że cesarz Wilhelm nie wahał się wypowiedzieć, że nie życzy sobie niczego goręcéj, aniżeli widzieć niemieckich poddanych w. c. mości zadowolnionymi, siebie samego zaś nie wystawionym przez ich niezadowolnienie na przykre położenie, a nie wolno mi najwyższéj uwagi w. c. mości nie zwrócić z najgłębszą czcią na prawdę, jak dalece zasadniczéj natury postanowienia nie rozstrzygają wobec prądu nagłych i gwałtownych wypadków, że z takiemi prądami wchodzą nie tylko w kom-

promisy, ale że się pod ich naciskiem zamieniają w najzupełniejsze przeciwieństwo. W. c. mość raczy sobie najłaskawiéj przypomnieć, że najuniżeniéj podpisany najpoddańsze swe sprawozdanie o długo trwającém posłuchaniu u cesarza Wilhelma w Gasteinie zakończył słowy, że winien bez chęci mieszania się w wewnętrzne sprawy koniecznie radzić, aby w dalszych krokach rządu wobec niemieckiéj ludności z jaknajwiększą postępować ostrożnością.... Z szybkością rzeczywiście zastraszającą spełniła się przemiana stronnictwa wierno-konstytucyjnego na niemiecko-narodowe; od dnia do dnia silniéj zawiązują się węzły, które stronnictwo to uczuciami narodowéj, językowéj i historycznéj wspólności łączą z Niemcami i Prusami. Teraz już dostarczyło odbyte w Dreznie zgromadzenie ludu dowodu, że bezpośrednio nad naszemi granicami zwracają wytężoną uwagę na narodowy ruch Niemców austryackich i że się okazuje gotowość słuchania głosów wołających o wsparcie i pomoc nawet przedtém jeszcze, nim się odezwały. Jeżeli podobnemu stanowi wątpliwości dostarczy się nowego żywiołu, jeżeli mu się zawczasu nie zagrodzi, natenczas wypadnie być gotowym, że owe nieprzyjazne Austryi w Niemczech żywioły, oczy swe i nadzieje zwrócą na niemiecko-austryackie kraje, ale już nie na austryacko-węgierską monarchią, a—wypowiedzmy i to otwarcie—katolickie nawet żywioły w Niemczech zwrócą się bez względu na swe sympatye, ku temu najnowszemu prądowi, a znajdą najściślejszy polityczny związek z podobnemi sobie pierwiastkami w niemieckich prowincyach Austryi dla sprawy swojéj korzystniejszym, aniżeli stosunek, którego wyzyskanie będzie pociągało za sobą ciągłą walkę między narodowym i państwowym obowiązkiem a religijném sumieniem. Nie ulega zaś żadnéj wątpliwości, że nie osłoniony wyraz tych zmienionych sympatyi znajduje znów i tutaj (w Austryi) odpowiednie echo. Wzajemność ta narodowych i politycznych objawów będzie działała nie tylko z siłą rozkładającego kwasu na pojęcia o dynastycznéj wierności i patryotycznym sposobie myślenia, wywoła nie tylko polityczne widoki i plany, którym teraz jeszcze zdrowy i we wnętrzu swém nietknięty zmysł ludu się opiera. Co najgorsza przecież, to, że sam rząd pruski, nawet w razie dobréj woli, trwale wpływowi podobnych stosunków nie będzie się mógł oprzéć. W przypomnianém łaskawéj pamięci Gasteinskiém sprawozdaniu, pozwolił sobie najuniżeniéj podpisany zwrócić uwagę na szlezwicko-holsztyńskie okrzyki boleści, wobec których nawet w Wiedniu nie można sobie było uszu zatknąć. Rzeczą zaś godną uwagi w tym rzucie oka na przeszłość pozostanie, że ani finansowy ucisk, ani jakieś gorszące pokrzywdzenia ustawy, nie były przyczyną wywołania

owych głosów boleści, ponieważ kraje owe cieszyły się wielkim dobrobytem a rzekome pogwałcenia konstytucyi były bardzo wątpliwéj natury i małego znaczenia. Okoliczność raczéj, że nie istniejące w czasach króla Fryderyka VI, rozpoczęte za Chrystya VIII, przeprowadzone dopiero za jego następcy w najbezwzględniejszéj formie zaopiekowanie się Niemcami przez obce plemię, stało się przyczyną rozdrażnienia umysłów, powodem, że rządowi duńskiemu nie udało się nigdy zapobiedz stosunkom z Niemcami ludności niemieckiéj w Księstwach Zaelbiańskich, odłączonych od nich przez prawa i uchwały związkowe.“

Trudno, powtarzamy, rozumiéć lepiéj teraźniejszość, patrzéć trafniéj w przyszłość, a nieraz zapewnie, obecnie kiedy już Beust nie żyje, przyjdzie zastanawiającemu się nad losami Austryi myślicielowi zgodzić się po cichu, mimo wszelkich pozorów chwilowo inaczéj mówiących, na prawdziwość jego głębokich spostrzeżeń. Wracając do zjazdu w Gasteinie, powiedzmy jeszcze tylko, że, jak na tymczasem, miał Beust wszelki powód być zeń zadowolnionym, że cesarz niemiecki obdarzył go najwyższą, jaka istnieje w Prusach, dekoracyą Czarnego Orła, że kanclerz niemiecki zdawał się być jego najszczerszym przyjacielem, że on sam, odwdzięczając się za tę przyjaźń, poczuwał się do obowiązku odprowadzenia go z Gasteina do Reichenhall, gdzie bawiła kanclerska rodzina. Ów zjazd Gasteinski wraz ze wszystkiemi swemi przyjemnościami i zaszczytami, miał jednakowoż być istnym śpiewem łabędzim zawodu politycznego Beusta. Jeźli spytamy o istotną przyczynę jego upadku ze stanowiska kierownika nawy państwa, wypadnie nam odpowiedziéć, że przyczyną tą było w gruncie rzeczy zbyt dobre i trafne zrozumienie sytuacyi, zbyt jasne pojmowanie stosunku Austryi do Niemiec, czego powyższe memoryały dają najlepszą próbę. Nie winą Beusta, jeżeli brana za dobrą monetę przéz symplicyuszów politycznych *fable convenue*, każe uważać podobną sytuacyą za stosunek serdecznego jakiegoś przymierza.

Sukcesorami jego władzy i stanowiska byli, podzielić się niemi mieli hr. Juliusz Andrassy, hr. Hohenwart i hr. Belcredi, by następnie, z kolei rzeczy, ustąpić znów innym. Względny i wyrozumiały dla wszystkich, nie oszczędza Beust jednemu hr. Andrassemu jeżeli nie nazwy, to kwalifikacyi przynajmniéj intryganta, który działał przeciw niemu w gabinecie cesarskim, który go podkopywał u Bismarka wtedy jeszcze, kiedy on, Beust, był przy władzy. „Dzień wyjaśnienia wszystkich tych wątpliwości“, mówi Beust, „nie pozwolił długo na siebie czekać. Było w tém coś dziwnie wzruszającego, że ten sam radzca stanu Braun, który mi w r. 1866, całkiem

niespodzianie nominacyą ministeryalną przyniósł, teraz stawił się u mnie z poleceniem odmiennėm. Według jego słów, nie powinienem cesarzowi utrudniać jego zadania. Mogło to tylko znaczyć, że wypada mi się podać do dymisyi. Jako powód przytoczył baron Braun naówczas dwie tylko przyczyny: pierwszą, że tytuł kanclerza państwa sprawia wiele trudności, drugą, że mam zbyt wielu nieprzyjaciół. Jakiéj bądź innéj przyczyny mojéj destytucyi nie zakomunikowano mi późniéj nigdy a mianowicie ze strony cesarza. Natomiast wspomniał baron Braun o dwóch orzeczeniach cesarza, które mi były nowym dowodem jego szlachetnego sposobu myślenia a mojemu sercu ulgę przynosiły. Brzmiały one w ten sposób: Teraz jest znów popularnym, zadanie jego będzie łatwiejszém. Drugie: Będzie dla mnie rzeczą pożądaną, jeżeli zostanie ambasadorem, bo w takim razie go nie stracę... Stosownie do zakomunikowanego mi życzenia, udałem się dnia następnego do j. c. mości. Cesarz wyszedł przyjaznie naprzeciw mnie, ścisnął mnie za rękę i rzekł: Dziękuję ci, że mi ułatwiłeś moje zadanie; wystawiło mnie to na ciężką walkę. Jestem jednakże zmuszony zrezygnować z twoich usług. Otóż ściśle zgodne z prawdą opowiadanie tego, co istotnie było powiedziane. Uważałem je za potrzebne przytoczyć ze względu na to, co wtenczas gadano o rzekomych uniesieniach, o różnych scenach i tym podobnych rzeczach. Cesarz poprosił mnie następnie siedzićć i mówił jeszcze o różnych rzeczach, przy któréj to sposobności, nie padło przecież ani jedno słowo o przyczynie mego ustąpienia a tém samém i o niczém, coby leżało po za obrębem bieżącéj kwestyi dnia. Słowa te polecam *Peszteńskiemu Lloydowi*, ku sprostowaniu uczynionéj przezeń w późniejszych latach, innéj, daleko sięgającéj insynuacyi o odmiennéj całkiem przyczynie. Natomiast wyświadczył mi cesarz wysoki honor, zaszczycając mnie w kilka dni późniéj swemi odwiedzinami i przedłużając takowe aż do półgodziny. Ze strony, która mi nie była przychylną, usiłowano łaskę tę osłabić twierdzeniem, że tu chodziło o przegląd i zwrot dokumentów, jak gdyby cesarz był potrzebował udawać się dla tego do mego mieszkania urzędowego."

W listopadzie tedy 1871 skończyła się właściwie wielka rola polityczna Beusta. Odtąd odgrywa podrzędną jako ambasador austryacki czy to w Londynie, czy w Paryżu, aż do r. 1882, w którym się udaje na stan wypoczynku i osiada w Wiedniu. Zapiski jego z epoki pobytu londyńskiego i paryskiego, nie są ani zbyt obszerne, ani zbyt interesujące. Nie brak i z téj epoki jednakże, niektórych ciekawych szczegółów, z których jeden dotyczy osoby i zamiarów Napoleona III. Beust opowiada, że przez pamięć przeszłości za-

chowywał z nim stosunki na ostatniéj emigracyi w Anglii, i że wyznawał mianowicie cześć dla małżonki upadłego cesarza, która umiała swe nieszczęście znosić z odwagą i rezygnacyą. Usposobienie to Beusta dla byłéj cesarzowéj, przynosi mu tém więcéj zaszczytu, że jak sam wyznaje, nie był u niéj za dni powodzenia i szczęścia dobrze zapisanym, a rada jego dana swego czasu, aby poświęcić Rzym i kosztem téj ofiary zyskać przymierze włoskie przeciw Prusom, została odrzuconą nie bez pewnego zgorszenia, jako „rada godna heretyka". Dzięki tym dobrym stosunkom z osobą i otoczeniem upadłego cesarza, dowiedział się Beust, że w pierwszych tygodniach r. 1873 był ze strony Napoleona III ułożony zamach przypominający powrót jego stryja z wyspy Elby, lub własne awantury w Strasburgu i Boulogne. Zachęcała go do wykonania podobnego przedsięwzięcia małżonka, nie dopisywało mu jednakże zdrowie. Aby módz je osobiście podjąć i wykonać, poddał się bolesnéj operacyi, która się nie udała i na którą skończył.

Co się tyczy aforyzmów, któremi się Beustowe pamiętniki kończą, nazwalibyśmy je nieco pretensyonalném polowaniem na dowcip i efekt. Niektóre z nich są mniéj, niektóre więcéj trafne; ze wszystkich razem przegląda widoczna autora do czytelnika pretensya, aby uważał go za człowieka świetnego i dowcipnego pióra, za „*un homme d'esprit*": miłość własna pisarska góruje tutaj nad ambicyą polityka.

Wypada nam teraz po tém zdaniu sprawy z jego pamiętników, po sprawozdaniu, w którém staraliśmy się uwydatnić raczéj sens moralny polityczny, aniżeli część anegdotyczną, uczynić pewien zwrot rekapitulacyjny, odnoszący się nie mniéj do osoby autora, jak do jego dzieła. Co do dzieła, pozostanie ono niezaprzeczenie ważnym materyałem do dziejów współczesności europejskiéj, jakkolwiek je niekoniecznie szczęśliwa metoda wydawnictwa i literacka pretensyonalność autora nieco popsuły. Autor chciał być w nich równocześnie politykiem i pisarzem w rodzaju jakiego księcia de Ligne i pamiętnikopisarzy XVIII wieku. Ztąd dzieje się, że pamiętniki te są niekiedy przez dosłowne przytaczanie mów, instrukcyi, memoryałów niesłychanie rozwlekłe, gdzieindziéj znów noszące cechę pewnéj, nie będącéj na swém miejscu Faublasowéj lekkości. Cokolwiekbądź, pozostaną, jak rzekliśmy, ważnym materyałem do dziejów współczesnych, a jeżeli jest osobistość, która z nich wychodzi skreślona z wierném obliczem, jest nią z pewnością książę kanclerz niemiecki. Beust charakteryzuje go w tych pozagrobowych zapiskach, nieprzekupiony ani dekoracyą Czarnego Orła, ani uprzejmościami pobytu Gasteinskiego. Polityka kanclerza niemieckiego jest tu od-

słoniona w całéj swéj bezwzględności środków w dążeniu do celu, jaki jéj chwilowy interes czy racya stanu wskażą. Pod tym względem nie zdołały wpłynąć na sąd Beusta ani kanclerskie grzeczności, ani blichtr przymierza prusko-austryackiego. To, co przytoczyliśmy wyżéj, starczy najzupełniéj do charakterystyki jego sądu o *prawdzie* wzajemnych stosunków między Niemcami a Austryą.

Nie mniéj cenny materyał stanowią pamiętniki do ocenienia fałszywéj wielkości, która tak długie lata uwodziła sąd opinii europejskiéj ku nieszczególnemu zaszczytowi jéj jasnowidzenia i bystrości. Mówimy tu o Napoleonie III. Spotykamy się nierzadko z jego osobą w pamiętnikach Beusta, a zawsze po wojnie włoskiéj z r. 1859, już tylko jako z okazem najdoskonalszego krótkowidztwa politycznego. Najzupełniejsza niedołężność w przededniu wypadków r. 1866, najzupełniejsza bezopatrzność wśród nich i wobec ich niespodzianego rezultatu, najzupełniejsza bezmyśl w przededniu wypadków r. 1870, dziwna nieporadność w przygotowaniach nie mniéj dyplomatycznych, jak wojennych. Do kategoryi owych zagadkowych bezmyślności polityki napoleońskiéj należy, według Beusta, zaliczyć całą sprawę meksykańskiego cesarstwa biednego arcyksięcia Maksymiliana. Interwencya francuska w sprawy Ameryki przyczyniła się tylko do bardzo szkodliwego Francyi podkopania jéj kredytu u Stanów Zjednoczonych, rozprzęgła jéj siły militarne, ubezwładniła jéj akcyą w Europie, skompromitowała ją wreszcie przez tragiczny koniec poświęconego i opuszczonego Maksymiliana. Osoba samego Maksymiliana nie powiemy, aby była szczególnie sympatyczną Beustowi, jak nie była również sympatyczną cesarzowi Franciszkowi Józefowi. Przyczyny dowiadujemy się podobnież z pamiętników Beusta. Maksymilian grzeszył niepomierną ambicyą, wychodzącą na jaw ani dyskretnie, ani taktownie. Zamiary swe ukrywał tak mało, że gdy po nieszczęśliwéj wojnie włoskiéj z r. 1859 powrócił do Wiednia, pozwolił, aby na jego widok odzywały się okrzyki: „Niech żyje cesarz Maksymilian". Cesarz Franciszek Józef miał abdykować, aby ustąpić miejsca bratu, który rozumiał się powołanym do zajmowania pierwszorzędnego w rodzinie i państwie stanowiska. Ztąd to wyrodziła się pomiędzy cesarzem a jego bratem pewna zimnota, która jednakże, według zapewnienia Beusta, trwała ze strony pierwszego tylko tak długo, dopóki drugiemu nie zagrażało żadne niebezpieczeństwo. Za odebraniem wiadomości o uwięzieniu i skazaniu Maksymiliana na śmierć, nie zaniedbywał cesarz austryacki żadnych możliwych usiłowań, aby brata ocalić, wołając przy jednéj z takich sposobności, kiedy o Maksymilianie była mowa: „Przecież tu chodzi o życie ludzkie!" Wiadomo niestety, że starania te nie

odniosły pożądanego skutku, a że jedynym ich ruzultatem było wydobycie zwłok rozstrzelanego arcyksięcia z rąk meksykańskiego rządu, aby je odstawić na miejsce wiecznego spoczynku w podziemiach wiedeńskiego kościoła Kapucynów.

Co się tyczy wartości pamiętników Beustowych jako materyału do ocenienia różnych innych dyplomatów i mężów stanu europejskich, można by chyba tylko powiedzieć, że stwierdzają o nich nie bez widocznéj słuszności prawdę wyrzeczoną przez kanclerza szwedzkiego Oxenstiernę do jego syna: „*Miraberis*, *fili mi*, *quantilla sapientia mundus regitur*!“ mierności, które, nie dziw, że silniejszy rozum, silniejsza wola i charakter. przy bezwzględności i obfitości środków mogła, według potrzeby, zmiażdżyć lub zmusić do milczenia. Czyż zaliczyć może do ich zastępu samegoż Beusta? Bez wątpienia—*nie*, a podobném rzuceniem jego osoby i pamięci do takiéj „*fosse commune*“ wyrządzilibyśmy krzywdę jemu, a co ważniejsza, prawdzie historycznéj. Beust, jak tego i pamiętniki jego dowodzą, był inteligencyą znakomitą, był nie mniéj znakomitą siłą pracy, był mężem bystrego politycznego oka, nadto szlachetnym charakterem. Wiele bezwątpienia przymiotów, którym jednakże do odniesienia ostatecznego sukcesu przeciw człowiekowi i stosunkom, z jakiemi mu walczyć przyszło, nie dostawało *innych*, nie mniéj ważnych, jakoto siły woli, siły nerwów, bezwzględności w środkach. Beust był tém, co Niemcy nazywają „*Schöngeist*“, trochę muzykiem, trochę poetą, estetykiem, lubownikiem rozkoszy życia i płci pięknéj, naturą miękką, czemś, co, jak już poprzednio powiedzieliśmy, przypomina Metternicha i księcia de Ligne na przemian. Takiéj to organizacyi fizycznéj i psychicznéj przyszło w najkrytyczniejszéj chwili reprezentować ideę federalizmu niemieckiego przeciw występującemu w masce unitaryzmu militaryzmowi. Posąg dłuta Praksitelesowego wystawiony na ciosy kamieni miotanych ręką ostrogocką. Nie trudno odgadnąć, kto w takiéj walce mógł zwyciężyć, kto mógł być zwyciężonym, zwłaszcza, że na ten raz już bez winy swego reprezentanta, idea federalistyczna nie była zdolną zdobyć się na zasób materyalnych środków, jakie miała na swe zawołanie idea przeciwna. Cokolwiek bądź, należy się Beustowi uznanie, że zwyciężony, jak inaczéj wśród danych warunków być nie mogło, na widowni niemieckiéj, rzucił przeniesiony na widownię naddunajską, zdrowe i trwałe podwaliny nowéj Austryi, że zrozumiał jéj naturę, że jéj wskazał drogi przyszłości, że ją pogodził z Węgrami, że się poznał na wartości dla niéj tego, co dzisiaj paraduje pod nazwą przymierza niemiecko-austryackiego, że testamentem jakoby politycznym przekazał jéj równowagę i równouprawnienie składających

ją pierwiastków narodowościowych, jako warunek bytu. Niewdzięcznością też wreszcie z naszéj strony byłoby nie pamiętać o usposobieniu, jakie długoletni kierownik polityki austryackiéj wyznawał względem nas. Galicya zawdzięcza mu w znacznéj części swe odrębne, samorządne stanowisko, obronę nadto przeciw wszelkim zwracającym się na nie z różnych stron zamachom. Nie mniéj spotkać się można tylko w jego pamiętnikach z sympatycznemi wzmiankami o ziomkach naszych, z którymi wchodził w stosunki. Alfred hr. Potocki, książę Sanguszko, Zyblikiewicz, Ziemiałkowski, Klaczko,—wszyscy oni znajdują tylko sympatyczne i przyjazne wspomnienie. Źle zaś byłoby nie umiéć oceniać wartości podobnie objawionego współczucia, zwłaszcza w smutnéj i ponuréj chwili, w któréj go się zkądinąd wyczekuje nadaremnie, a nie odbiera wcale!

*Kazimierz Jarochowski.*





# Z MAŁO ZNANYCH STREF.

## SZKIC LITERACKI.

### IV.

Po za ogólnemi, narodowemi podstawami, które pomagają nam zrozumiéć dzieło sztuki, w życiu, wychowaniu, otoczeniu rodzinném, temperamencie samego pisarza, znajdujemy zwykle klucz do jego dzieła. W tym razie i gdy idzie o Alarcona, klucza nie potrzebujemy szukać długo, ani się gubić w domysłach. Owszem, krytycy hiszpańscy zarzucają mu zbytnią subiektywność i jego poezyą *(Poesias serios y humoristical.* Madryt 1870) nazywają „autobiograficzną.“ Sam Alarcon, w niedawno ogłoszonéj „Historyi swych książek“ upewnia, że zawsze czerpie z rzeczywistości. W niektórych utworach, jak *Sui un cuarto* (Bez grosza), *Mujer alta* (Wielka kobiéta) i innych, nie ma jakoby rysu, któryby nie był podpatrzonym, słowa, któreby nie było podsłuchaném. Większą i najlepszą część jego dzieł stanowią wrażenia i wspomnienia osobiste, w szybkie, lecz mistrzowskie zaklęte szkice, lub téż nowelle. W nowelli *Per que era rubia* („Dla czego była blondyną“) własne jakoby opisał dzieje, a z innéj jego nowelli „Szczęśliwy połów“, wiemy, że uważa blondynki za uosobienie wszelkich ponęt. Wszak opisuje piękną Carmen, jako zdolną skusić samego pustelnika z Padwy, a cóż dopiéro „błędnego rycerza“, za jakiego sam siebie gdzieś — jak to wkrótce zobaczymy—poczytuje. „Blondyną była — dodaje — jak to zwykle w podobnych bywa razach.“

Istotnie, tylko z pod pióra naocznego świadka *un testigo* wyjść mogą opisy podobne tym, jakiemi na każdéj niemal stronicy połyskuje dzieło Alarcona. Tysiąc razy oczarowany widywać musiał *fantango* tańczone przez tancerki „z samego Albacinu“. Takich

procesyi, jak te, które w parafii Panny Maryi de la Caleeza, wyprawiało bractwo dzieciątka z globem, musiał widzieć niezliczone skręty rozwijające się śród róż, dymu kadzideł, pod olśniewającą powodzią słońca „w przecudne wiosenne popołudnia.“ Na takie właśnie patrzał w wiośnie swego życia, gdy nakształt Manuela wzrastał w cieniu nawy kościelnéj. Przeznaczony do stanu duchownego, rósł w ciszy głuchéj głębokiéj prowincyi.

„Guadix! ukochana mieścino moja! — woła właściwym sobie rzewnym patosem—z tronu strącona królowo! Niegdyś osada rzymska, w zaraniu wieków średnich stolica królestwa maurytańskiego, biegiem czasu sprowadzona do skromnego stanowiska wioski niemal. Książęta i margrabiowie, którym królowie katoliccy rozdzielili na Maurach zdobyte ziemie, a których ciężkie, zębem czasu poszczerbione pałace po dziś dzień sterczą głuche i nieme, wzdłuż głównéj ulicy, dawno przenieśli się do Madrytu. Zakony zniesiono. *Ajantamente* straciło dawne przywileje! W zapomnienie popadły *Corrigimentas*, dawne prawa i obyczaje! W ruinach legła *Alcabaza*, piękna forteca maurytańska i z całéj dawnéj świetności jeden się ostał pomnik—katedra! Katedra zawsze piękna, zawsze wspaniała, rządzona przez szlachetnych prałatów, przez mądrą kapitułę, była jedynym zamieszkałym pałacem, jedynym dotykalnym śladem dawnéj wielkości— życiem i duszą Guadix'u.“

Wszystko minęło tedy i poszło w ruinę—wszystko, oprócz katedry. „Tam to — pisze Alarcon — doznałem pierwszych artystycznych wrażeń. Katedra wtajemniczyła mię w piękno i w sztukę.“ Zbyteczne wyznanie! Ślady tego wtajemniczenia pozostały niestarte na całéj artystycznéj działalności Alarcona. Nawet oswojona z podobnemi śladami, krytyka hiszpańska zarzuci mu zbytnią religijność, nadużycie opisów ceremonii i pomp kościelnych. Na zarzut mógłby odpowiedzieć „piszę co widzę“, ale też mógłby dodać: „piszę jak czuję.“ Kto wié, czy i w nim jak w Manuelu „zabobonność nie przeżyła wiary“? Nawet na pewno twierdzić możemy, że w nim wiara przeżyła i burze młodości i dojrzałego wieku doświadczenia. Wiara ta wzrasta pomimo gruzów maurytańskich, które pociągają jego artystyczną wyobraźnię, przemawiają w nim głosem dalekiego, lecz potężnego atawizmu. Wierzy on głęboko, wierzy szczerze, gorąco. Już to szczerość pisarzy hiszpańskich, w tym jak i w innych względach, nie ulega nigdy powątpiewaniu. Jest ona jedną z najsympatyczniejszych ich zalet. I don Pedro Alarcon wierzy w tezę, z większą szczerością przekonań niż talentem postawioną przez się w ostatniéj swéj powieści *El Esclando* (Zgorszenie), że tylko w ciszy klasztornéj znajduje się ukojenie i prawda. Sam

w prawdzie uchylił się od téj ciszy, lecz uniósł z niéj zapas podobnych, niezłomnych przekonań i coś więcéj jeszcze: wiedzę nabytą w zbutwiałych, pyłem zaniedbania i zapomnienia pokrytych księgach, walających się na poddaszach klasztornych. Tam, bez niczyjéj pomocy, posługując się tekstem łacińskim, wyuczył się po włosku i po francusku historyi, filozofii... alchemii nawet. Z przygodnéj retorty samouctwa talent pozwolił mu wydzielić złote poezyi i artystycznéj twórczości ziarno. I jego, jak Manuela wobec „Dzieciątka słodkiego imienia“, zdejmowały dreszcze wobec pamiątek lat dziecięcych. Święte to były dreszcze najczystszych natchnień. Spowiadał się z nich w tak skończonéj artystycznéj formie, że pozwolimy sobie przytoczyć cały ten, aczkolwiek dłuższy i całość stanowiący ustęp, a to tém chętniéj, że ustęp ów da pewne wyobrażenie o beletrystycznym rodzaju, w którym Alarcon celuje.

## WIGILIA BOŻEGO NARODZENIA.

Dawno temu! siedém lat miałem zaledwie, na dworze panowała zima i mrok już zapadał, gdy mi ojciec niezwykle uroczystym głosem oznajmił: „Pedro, nie pójdziesz dziś spać z kurami, wychodzisz już z niemowlęctwa i zasiądziesz do stołu ze starszymi. Trzeba uczcić wigilią Bożego narodzenia.“

Nigdy nie zapomnę radości, jaką mi sprawiły ojcowskie słowa. Miałem wreszcie choć raz pójść spać późno, jak starsi! Z góry nagłego mego wywyższenia spoglądałem na młodszych, nie odznaczonych jak ja zaszczytnie mych braci, a w skrytości serca cieszyłem się zazdrością, jaką za dni parę obudzę w szkółce, opowiadając towarzyszom przygody uczty, mającéj niby wtajemniczyć mnie w życie społeczne.

O! ten wieczór wigilii Bożego narodzenia!

Zadzwoniono właśnie w kościele na wieczorne pacierze za umarłych, jak tam u nas, o sto mil od Madrytu, o tysiąc od świata.... w głuchym załomie Sierra Newady mawiają.

Zdaje mi się, że wszystko to mam jeszcze przed oczyma! Ogromny kloc dębu żarzył się i trzeszczał w ogromnym kominie, którego obszerny, okopcony okap spowijał swym cieniem wszystkich zebranych u ogniska członków rodziny. Po obu stronach, na przeciw siebie, usiedli dziadkowie, pozostali śród nas wieczora tego dla przewodniczenia uczcie rodzinnéj. Przy nich miejsce zajęli rodzice, my przy rodzicach, a daléj słudzy, w dniu tym, jako domownicy i członkowie rodziny do wspólnego zawezwani ogniska. Tylko mężczyźni, pamiętam, stali na uboczu, a kobiéty przycupnęły przy saméj ziemi, gdyż nikt z nich, przez uszanowanie, nie ośmieliłby się usiąść wobec panów. Pośrodku, przy samym piecowisku wylegały się koty, podwijając łapki, wygrzewając przy ogniu puszyste grzbiety. Czasem śnieżne, zabłąkane płatki wpadały przez szeroki otwór komina, szlakiem ubitym, jak wiadomo, przez złe i dobroczynne wróżki, przez wszelakie duchy, a jęk wiatru na dworze przypomniał nieobecnych, ubogich, tułaczy....

Ojciec z siostrą grali na harfie, ja zaś, wbrew zapewne ich życzeniom, wtórowałem im na bębnie, przed samym wieczorem sporządzonym z rozbitego garnka. Znacie kantyczki, któremi po wsiach witają dzień Bożego narodzenia? Wypełniały one wieczoru tego cały nasz muzykalny program. Słudzy śpiewali chórem:

„Na ziemię zapadł mrok szary,
Zbawiciel nam się narodził!

Maryo! wypełń nam czary,
Bo Chrystus nam się narodził!“

I wszyscy byli weseli, zadowolenie na wszystkich odbijało się twarzach. Pierniki kruche, w kształcie wianuszków, ciastka, owoce i bakalie, sporządzone przez dobre siostrzyczki przysmaki, doskonałe likiery, wyborne nalewki, przechodziły z rąk do rąk. Mówiono o udaniu się do kościoła na pasterkę, o złożeniu o świcie u żłobka pokłonu, o przygotowaniu sorbetów na rok cały z zaścielającego dziedziniec śniegu, o zwiedzeniu jasełek. które wiejska dziatwa wystroiła pod dzwonnicą.... Wtém z wesołych tych gwarów wydzieliła się i w ucho mi wpadła następna, drżącym głosem dziadka nucona zwrotka:

„Nadszedł ów dzień pożądany,
Nadszedł i niebawem minie....
Pielgrzymki kres nam nieznany,
Już bliski w życia dolinie.“

Słowa te ścisnęły mi serce, pomimo zwykłéj dzieciom lekkomyślności. Odsłoniły mi one naraz wszystkie ciemne, nieznane przedtém życia i czasu zagadnienia.

Przebłysk to był nagły, wiek mój dziecięcy przechodzący, wtajemniczenie przeczuciem we wszystkie smutki, mające zalać kiedyś duszę poety. Było to jednem słowem, pamiętam, pierwszém mém poetyczném natchnieniem. W przedziwném, cudowném niemal jasnowidzeniu objąłem naraz koleje trzech dokoła mnie zgromadzonych, rodzinę moję stanowiących pokoleń. Dziadkowie moi, rodzice i rodzeństwo zdali mi się wojskiem w pochodzie, którego przednie straże wchodziły już w zagrobowe mroki, a ostatnio zaciężni wyłaniali się zaledwie z zarania życia. Trzy te razem wzięte pokolenia przedstawiały zaledwie jedno stulecie, w nieskończonym stuleci szeregu, a i owo stulecie minąć musiało jak minęły inne, przeszłe, ustępując miejsca przyszłym.... co także przejdą i miną z kolei.

„Nadszedł ów dzień pożądany,
Nadszedł, niebawem znów minie....

Czas upływa! wskazówki wielkiego zegaru poruszają się nieustannie, nie wstrzymują się, nie cofają nigdy, a miarowy, nieomylny bieg dni i godzin, lat i stuleci, wyraźnie znaczy nasze szybkie przez istnienie przechody:

„Pielgrzymki kres nam nieznany,
Już bliski w życia dolinie.“

Myśl straszna! wyrok okrutny, nieodwołalny. Objawiając mi się nagle, niespodzianie zrobił na mnie wrażenie dłoni śmierci, grożącéj z mroków przyszłości pierwszém swém ku mnie skinieniem.

Przed oczami memi powstały, roztoczyły się tysiące podobnych obecnéj a już ubiegłych wigilii Bożego narodzenia, tysiące wygasłych ognisk, rodzin, które łączył stół wspólny, a które rozpierzchły się, znikły. Otoczyły mię tłumy innych, a takich jak ja, z tém samém co ja przeznaczeniem dzieci innych, podobnych naszym pociech.... Usłyszałem inne, ucichłe już nazawsze piosenki. Przedstawiły mi się ubiegłe dni młodości mych dziadków, dawne ich mody i zalecanki, miłość i radość rodzinne, zgoła wszystkie te wspomnienia, które w dniu tym głośniéj odzywać się w sercach ich musiały. Przedstawiło mi się dzieciństwo rodziców moich, pierwsza ich wigilia Bożego narodzenia pod wspólnym dachem, wypadki poprzedzające moje zjawienie się na świecie i pamiętne mi z siedmiu przeżytych lat wieku.... Z kolei przedstawiła mi się przyszłość i tysiące nowych, do obecnéj podobnych a z biegiem czasu nadejść mających wigilii, z których każda unieść coś z sobą miała, jakiś atom nadziei, jakiś życia odłam. Przedstawiło mi się rozwianie rodzinnego mego gniazda, rodzeństwo idące w rozsypkę, rodzice wyprzedzający nas do grobu.... Przedstawił mi się wiek dwudziesty, usuwający w przeszłość nasze stulecie.... Ujrzałem wygasłe popioły ognisk wielu, własną młodość zwiędłą, smętną starość, imię idące w zapomnienie, niewdzięczną obojętność spadkobierców karmiących się pracą moją

w ówczas, gdy w łonie ziemi robak zniszczenia toczyć już będzie czaszkę, pod którą tyle tak lotnych wirowało myśli.... Tego już nadto było! Potok łez wytrysnął mi z oczu, że zaś na pytanie: czego płaczę? nie mogłem — sam sobie z tego jasnéj nie zdając sprawy — zadawalniającéj dać odpowiedzi, zadecydowano żem senny i położono spać.

Podwoiło to jeszcze żal mój i bynajmniéj łez nie osuszyło. I oto jak ostatnie łzy me dziecięce zmieszały się z pierwszemi łzami poety. Dziś upewnić mogę, że ów wieczór, w którym z łóżeczka przysłuchiwałem się dolatującym mnie z dala odgłosom rodzinnéj biesiady, z któréj wyłączony zostałem, bom był, jak sądzono, nadto jeszcze, a jak się dziś domyślam, nie dość już dzieckiem, ten wieczór wigilii Bożego narodzenia jest jednym z najsmutniejszych, jakie pamiętam.

Musiałem jednak zasnąć w końcu, gdyż nie potrafię już powiedzieć, czy tam u stołu rozmowa toczyła się daléj o pasterce, o jasełkach, czy o sorbetach ze śniegu.

Tak to wrażenia z domu ugrzęzły w pamięci Alarcona niby w cudownéj kamerze-obskurze i pod jego piórem skrystalizowały się w brylanty czystéj wody. Wspomnienia miłe mu były, kochał je jako zawsze świeże swych natchnień źródło, lecz cicha ta, zapomniana w głębi Andaluzyi mieścina i powołanie księdza nie wystarczały młodemu, do życia rwącemu się poecie. I w nim, jak w każdym Hiszpanie drgała narodowa żyłka awanturnicza, co go z pod rodzicielskiego dachu popychała w świat szerszy, na nieznane drogi. Dla zdobycia téj kochanki, którą mu była sława, ta sama sława, którą przez usta jednego z późniejszych swych bohaterów nazywa „dymem“, puścił się, jak to sam przyznaje, na awanturnicze szlaki. Miał lat dwadzieścia, ani jednego włoska na brodzie, ani złamanego szeląga w kieszeni, bez przyjaciół, bez doświadczenia, „błędny — jak sam mówi — szalbierz rewolucyi i skandalu“, porwał się i zmierzył „z największą w kraju potęgą“ (w demokratycznym dzienniku *El Latino* (Bicz) — napadał wściekle na królowę i sfery rządzące), by się pewnego zimowego poranku znaleść opuszczonym wobec przeciwnika, przed którym nie umiał nawet osłaniać życia, zmuszony korzystać ze szlachetności wroga.

Zrażony pierwszém tém a tak niefortunném doświadczeniem, przez lat dziesięć, przez całą swą młodość, trzymał się zdala od polityki. Sztuka na tém nie traciła. Listy z wystawy paryskiéj 1885 r. dały go poznać szerszéj publiczności, ale dopiéro żołnierska w Afryce karyera dostarczyła wrażeń, które patryota i artysta zaklął w „Dzienniku naocznego świadka wojny afrykańskiéj“ *(Diario de un testigo de la guerra de Africa)*. Odtąd zdobył sobie sławę szkicowego pierwszéj wody pisarza. Alarcon, jakeśmy się o tém z wyż przytoczonéj „Wigilii Bożego narodzenia“ przekonać mogli, posiada w najwyższym stopniu, potrzebną do tego rodzaju roboty, lekkość i wytworność pióra. Posiada nadto wiele poetycznego liryzmu, werwę i humor. Zalety te ujawnił nie tylko w fejletonach:

*Cosas que fueron* („Rzeczy przeszłe“ 1871) ale i w *Novelas cortas. El Sombrero de tres pitos* („trójgraniasty kapelusz“ 1874) uchodzi za arcydzieło i jeden z najgłośniejszych hiszpańskich krytyków, Manuel de la Revilla, utwór ten porównywa z Gil Blasem. Opowieść ta, czerpana w miejscowéj kronice, posiada istotnie zacięcie le Sage'a: ścisłość obserwacyi, szczęśliwie namotaną intrygę, niezrównaną werwę i śmiałość pocisku. Jest tam sporo téj przyprawy, którą francuzi „*gauloise*“ mianują, a która i za Pireneami, pomimo mistycyzmu a tu i owdzie cynicznéj lubieżności, wytwarza rodzaj pośredni, nie przeznaczony w prawdzie ku budowaniu pensyonarek, lecz pod utalentowaném piórem, posiadający istotne zalety w lekkiéj swéj żartobliwości; a za-ryzykowne sytuacye i za-śmiałe przedstawienie takowych ratujący zwykle niewinném, komiczném lub i wcale moralném rozwiązaniem.

Takiém właśnie jest rozwiązanie zalecanek, przedstawiciela miejscowéj władzy, *corregidora*, właściciela owego trójgraniastego kapelusza, do pięknéj, silnéj, świeżéj jak wiosna, jak Rubensowskie kobiety silnéj młynarki Frasquity. Rzecz dzieje się w czasach „błogosławionych, jak u wstępu pisze autor, w których kraj jego cieszył się pełném posiadaniem wszystkich nietkniętych swych pajęczyn kurzu, moli, powag, wierzeń, tradycyi, zwyczajów, uświęconych przez wieki nadużyć i hierarchicznych stopni.“ Te to hierarchiczne, ściśle jeszcze przestrzegane stopnie, pozwoliły podłym alguazilom, pragnącym zasłużyć się staremu i rozkochanemu corregidorowi, więzić niewinnego młynarza, lecz nieprzeszkodziły temuż powoływać się ni mniéj ni więcéj jak na biblijne odwetu prawo. A corregidor był stary, żona jego piękna, młynarz przystojny i młody. Skończyło się jednak na strachu i śmiéchu. Postaci i sceny klasycznéj téj powiastki występują z plastyczną wypukłością, na tle najpiękniejszego, jaki sobie wyobrazić można, krajobrazu skłonów Andaluzyi.

Jeśli już idzie o krajobrazy, to przepyszną ich galeryą znajdziemy w *La Alpujarra*. Tu pisarz w historyi, wspomnieniach, wyobraźni, nietajonych wcale sympatyach, inne, lecz niemniéj bogate od uprzednich gromadzi barwy i tony. Barwy nie Rubensa już lecz Ribejry i Dominichina i te liryczno-tragiczne tony, o które nasz mistrz potrącił w Alpuhary baladzie. Na tym to bowiem historycznym stajemy tu gruncie. Tak się zowią po za Grenadą skłony Sierry-Newady, które Alarcon przebiega z uczuciem synowskiéj miłości, zrywając kwiaty historyi, legendy, poezyi, osobistych artystycznych wrażeń, botaniki i wszystko to splatając w wiązankę prozy, jeno brakiem rytmu i rymu różniącą się od poezyi, w najlepszém tego słowa znaczeniu. Natchnienie bierze, gdzie je znajduje:

„Canto al par en el templo
Y en la mezquita.
Y risa y clanto
Dicenme á un tiempo mismo;
Cántame! — Y canto.“

Mógłby powtórzyć tę strofę Zorrili. Śpiéwa bo téż i w kościele i w meczecie, a łzy i uśmiechy jednocześnie wołają nań „śpiéwaj“! i — śpiéwa.

Kocha przyrodę! Pędzlem artysty i kochanka okwieca nawet nagie ponure tła, jak to np. gdzie Ebro rozrywa dwie przeciwległe sobie skały („Szczęśliwy połów“). Na jednéj sterczy do rudery podobny zameczek don Jaime de Mequinenza, na drugiéj chata rybaka Damiana, a skały u dołu łączy wązka, przez rzekę przerzucona kładka. Na ponurém tém tle rozkwitłém kwieciem jest drobna pulchna, biała, jasnowłosa Carmena, która, wierna zadaniu kobiety i „przejęta ważnością swego powołania, stroiła się codzień jak na „święto, codzień siadywała na progu swéj chaty, gdzie ją podziwiały nadpowietrzne wróble, kwiaty w ogródku, przelotne chmurki, nieba szafiry... i tyle? Carmelita wyczekiwała cierpliwie, aż godzina jéj przeznaczeń wydzwoni.“

I wydzwoniła z ognistém, w jéj stronę zwróconém spojrzeniem, o pustéj kiesce lecz płomiennném sercu, bezczynnego hidalga. Porozumienie nastąpiło szybko—wszak jesteśmy w szybkich porozumień krainie—a chociaż same mówiły oczy, wiedziano doskonale, że spotkanie nastąpi tam, na téj drżącéj, nad tonią Ebru kładce. Lecz jeśli jesteśmy w krainie szybkich porozumień, jesteśmy zarazem w krainie zazdrości i Damian, wielbiąc żonę, chował ją na swéj skale „tam, gdzie niby murami niezdobytéj twierdzy oddzielona od reszty świata, nie mogła we dnie żadnych przyjąć odwiedzin, nie zwróciwszy oczu całéj wioski, doliny, okolicy całéj, a w nocy nikt się zbliżyć do chatki nie mógł, jak chyba o 1,500 stóp, pod skałą.“ Zazdrość domyślna bywa. Wieczorem Damian odszedł, czule pożegnawszy żonę. Zrana, o jasnym wschodzie słońca, z piosenką i uśmiechem na ustach, szedł z towarzyszami zbierać w wilią rozpięte sieci. Ciężkie bo były, a kładka nad Ebrem znikła przepiłowana... Ciężkie bo były... Zbyt ciężkie, jak na jeden połów. Okrzykowi zgrozy rybaków towarzyszył rozpaczny krzyk Damiana: „i ona także! tegom nie chciał.“ Szczęśliwy to był połów... Damian oszalał.“

Owa Carmen jest doskonałém dopełnieniem bohaterki z „Dziecięcia Globa.“ Takich kobiet, nie tylko zresztą w Hiszpanii, bywa istotnie najwięcéj. Są jednak inne, godne następczyni wielkiego serca świętéj z Awili, i Alarcon, raniony pod Tetuanem, w potrzebie

marokańskiéj, spotkał był właśnie podobną i poświęcił jéj pełną wzruszeń i uwielbień stronicę:

„Widzicie tę świętą kobietę, co się skłania nad wezgłowiem rannych, podając orzeźwiającego kordyału czarę? Przemawia nieznanym wielu językiem, lecz wszyscy rozumieją przynoszącą ulgę w ich cierpieniu melodyą jéj głosu. Kobieta ta jest francuską. Nie markietanka to, nie siostra miłosierdzia, jak to się zrazu zdawać mogło, lecz niewiasta poświęceń heroicznych, co towarzyszy krok w krok mężowi, na pola bitew, na widownie wojen. Była w Krymie a teraz właśnie z Włoch powraca. Czy dokonywa ślubu, czy cichéj jakiéj pokuty? W dzień, widziéć można, jak nieugięta pod strzałów gradem, prześlizga się śród zwartych szeregów wojska, czarę z kordyałem chyląc do ust rannym, tylko rannym. W nocy, w ambulansach téż same tajemnicze spełnia zadanie. Lat ma może i za trzydzieści, postać kształtną, twarz szlachetną, piękną nawet. Odziana w długą, ciemną suknię, wysławia się wytwornie a wszystko w niéj jest miłosierdziem, słodyczą, anielskością. Tylko cześć, jaką budzi, równa się, skwapliwości z jaką się uchylać zwykła z chwilą, gdy przestaje być potrzebną. Spotkać ją można zawsze śród krwi i łez, gotową wówczas, i wówczas tylko, służyć, piastować, pocieszać.“

Żywy ten, pełen wzruszenia ustęp daje nam miarę jednéj z głównych w szkicach, a nie istniejącéj wcale w powieściach jego szerszych rozmiarów, zalet Alarcona: prostoty. Taką prostotą, śród innych, odznacza się historya „Grajka“. Gdy frakcye niesnasek domowych rozszarpią łono narodu, zwykły pokrywać porozrywanym sztandarem tysiące większych i mniejszych, wcale częstokroć nie patryotycznych interesów i namiętności, zwykły otwierać szerokie pole chciwości, ambicyi, chęci łatwego i znikomego wyniesienia się. Obraza osobista, duma, zazdrość, nienawiść, stroić się zwykły w krwawe ich okrawki. Odstępstwa stają się chlebem powszednim, wynoszone jako zasługa przez werbujące sobie zwolenników partye. Każda partya wywiesza znamiona z wzniosłém hasłem „miłości ojczyzny“. Czasem w dobréj, często bez dobréj wiary, każda podaje się za jedyną w téj mierze powagę i hojnie mianem „zdrajcy“ szafując, piętnuje niém każdego, co się jéj nie ima proporca. W takim stanie zamętu wyobrażeń, śród takich bolesnych i rozdzierających kolizyi, brat staje się z dnia na dzień wrogiem brata, przyjaciel przyjaciela. W Hiszpanii, dla zbuntowanych przeciw Izabeli karlistów, obrońcy istniejącego porządku zostali naraz zdrajcami, że zaś wojna, a zwłaszcza już domowa, nie przebiera w środkach, bywały chwile w których karliści jeńców swych, dla uproszczenia rzeczy, skazywali na rozstrzelanie. Bazyli i Rajmund, dwaj nierozdzielni przy·

jaciele, wczoraj jeszcze towarzysze u wspólnego obozowego ogniska, spotkali się, w obozie karlistów na—placu egzekucyi. Tylko, Bazyli stał w szeregu skazanych na śmierć jeńców, a Rajmund, pokryty znakami dostojeństwa, uwijał się śród sztabu, odstępstwem bowiem opłacił rozkosz zemszczenia się i odebrania życia uprzedniemu swemu dowódcy, który go był obraził. Teraz walecznością usiłował zetrzéć z czoła plamę, bo—na to już rady nie ma—wszelkie odstępstwo jest plamą, nawet, a może i zwłaszcza już, w oczach nowych sojuszników.

„Stójcie“! woła zrozpaczony Rajmund, widząc wymierzone w piersi przyjaciela karabiny. Stójcie! czémże obroni Bazylego? Karlistom właśnie brakło muzykantów: „To muzyk, woła, odpowiadam za to własną głową“. Odpowiedzialność to nie na żart była, a tu Bazyli wcale muzykantem nie był. Od czegoż wola. Szło o wyratowanie życia dwojga ludzi, o spłacenie długu wdzięczności. Bazyli grać nie umiał, ale „chciał się wyuczyć i wyuczył“. „Niemy, mówi, byłbym przemówił, sparaliżowany odzyskałbym władzę, przejrzałbym ślepy, bom chciał a wola wszystko zwycięża. Chciéć to módz. Chciałem, oto wielkie słowo! Chciałem, więc mi się udało... Dzieci zapiszcie sobie dobrze w pamięci tę prawdę.“

Udało mu się, po dwu tygodniach grał na flecie: „nie mówił nie myślał, nie jadł, jedna go tylko myśl trawiła: muzyka, fletnia“. Tylko, że, taki wysiłek woli wychodzi z ram przyrodzonych, narusza równowagę i Bazyli zwaryował. „Przez trzy lata, mówi, nie wypuściłem z rąk ani na chwilę fletni. Do, re, mi, fa, sol, la, si, do, w tém się dla mnie zawarł świat cały. Całe me istnienie przelewałem w instrument. Rajmund nie odstępował mię ani na chwilę... Wyemigrowaliśmy do Francyi a ja wciąż grałem. Ludzie zbiegali się, aby mię słyszéć, byłem fenomenalném, cudowném zjawiskiem, fletnia pod mém tętnieniem jęczała, błagała, wzdychała, naśladowała śpiew ptaków, ryk dzikich zwierząt, głos ludzki. Żelazne miałem płuca. Dwa lata tak jeszcze upłynęły. W tym czasie umarł Rajmund. Widok martwego ciała przyjaciela wrócił mi przytomność. Lecz kiedym ujął fletnię i chciał zagrać—nie odpowiedziała. A teraz, dzieci, czy chcecie jeszcze tańczyć?“

Don Pedro Alarcon głęboko odczuł niesnaski, szarpiące łono jego ojczyzny. Z wiekiem zmieniły się wprawdzie i utemperowały krańcowe zasady, którym hołdował za młodu. Wiemy już, że był żołnierzem a wypada dodać, że nieodrodny syn swego wieku, nie zdołał poprzestać na żołnierskiéj i artystycznéj karyerze. Ojczyzna, wieczystą rozrywana niezgodą, niejednostronne wkładała nań obowiązki, nie jednokrotnie powołując go do służby obywatelskiéj. Raz

mu ją nawet za swych zmiennych rządów, w 1868, zapłaciła wygnaniem do Burgos. Długo téż don Pedro, nie chciał piastować żadnego urzędu, lecz pokilkakroć deputowany w kortezach, w dzienniku swym *la Epoca* a potém w *la Politica*, dzielnie służył Unii liberalnéj, do któréj wszedł z dawnym swym w Afryce wodzem: O'Donnell'em. Dziś jeszcze, Alfonsista, jest tejże partyi filarem i licząc mało co więcéj nad lat pięćdziesiąt wieku, może spocząć na różnorodnych laurach. Niektórzy téż utrzymują, że chociaż zawsze pozostaje gotowym odpowiedzieć na pierwsze ojczyzny wezwanie, uchylił się z szerszéj widowni publicznéj i chroniąc się na łono przyrody i rodziny, złamał polotne swe pióro.

Szkoda.

A może i nie szkoda. Ostatnia, jeśli się nie mylimy, jego powieść, *El Escandalo*, daleko odbiegła od swych poprzednic. Utwór ten, znany czytelnikom z polskiego przekładu, blady, rozwlekły, treścią i formą zapada w na prawdę już zwietrzały romantyzm i sentymentalizm. Ale i tu, choć nie spotykamy ani zwykłych zalet pióra autora, ani ożywczych prądów chwili bieżącéj, które w pewnéj mierze muszą przenikać każde dzieło, by mu użyczyć żywotności, spotykamy jeszcze niektóre specyalne cechy hiszpańskich powieści, te właśnie na które powyżéj kładliśmy nacisk. Ile tu pojedynków, intryg, awantur, gwałtownych zmian losu! Tylko mury klasztorne posiadają kojące balsamy a długie kazania spowiednika przypominają niefortunną dyalektykę z „Nowych pamiętników kwestarza“, tego poronionego dziecięcia starości, jednego z lepszych naszych prozaików: Ignacego Chodźki. Łazarz, jako typ dodatni, zakrawa na męczennika a w jego zaparciu się siebie jest więcéj niż chrześciańska pokora, jest niczém pochwytném nie umotywowana i nie uzasadniona don-kiszotowska przesada. Szkoda, że w antytezie Łazarza, w przesadnie zapalczywym Diego, nie ma ani jednego grubego, lecz żywcem pochwyconego rysu pachołka rycerza z Manchy, a ckliwa, banalna, drewniana, mniéj od Soledat żywa, gdyż nawet namiętnością ani razu nie zelektryzowana Gabryela, nie posiada ani jednéj z tych zalet istotnych, któremi z taką rozrzutnością Alarcon obdarzył piękną młynarkę, z „Trójgraniastego kapelusza“. Daleko jéj, daleko do biernéj, lecz typowéj Carmeny, żony rybaka Damiana.

Najtrudniejszém pono dla talentu zadaniem, nieprzekroczenie téj nieuniknionéj dla każdego artysty mety, po za którą talent, często nawet gieniusz—jak to naprzykład widzieliśmy nie dawno jeszcze na Wiktorze Hugo—chyli się ku skłonom zachodu. Każdy człowiek, a tém bardziéj wrażliwszy od zwykłych przeciętnych śmier-

telników, artysta i pisarz, wplecionym bywa w cykl idei, przekonań, zamiłowań, ruchu téj doby swego życia, na którą przypada najsilniejszy popęd jego twórczéj dzielności. Po za tą dobą widzi mniéj jasno, nie tak dokładnie, powtarza się, a zwracając ku słońcu swego południa, wpada w manierę, która powołanie zmienia w rzemiosło, traci miarę, usiłuje dowieść z nieodpowiednim zapałem rzeczy dawno dowiedzionych, wydzwania dawno przebrzmiałe godziny, a czyni to w dogmatycznym, przez długie powodzenie użyczonym sobie tonie. Dla współczesnych i dla potomnych nie ma nic smutniejszego nad te przedwczesne nieraz skłony, a wrażenie bywa tém bardziéj pognębiające, im talent pisarza i artysty żywsze budził uznanie. Autor „Trójgraniastego kapelusza", „Alpuhary", „Dziennika naocznego świadka wojny w Maroko", i tylu prześlicznych szkiców i nowelli, śmiało może zamilknąć, imię jego stoi niestartemi wypisane zgłoskami w panteonie pisarzy narodowych. Dla nas oznacza ono tę zawsze zajmującą linię, gdzie się zbiegają prądy uświęcone tradycyą, z obecnéj doby silnemi prądami.

## V.

Czy na téj saméj linii mamy postawić utwory don Juana Valera? Młodszy od Alarcona wiekiem, zaliczanym jednak bywa do grupy starszych pisarzy, a jako na idealistę spadają nań wszystkie gromy nieoględnéj częstokroć, roznamiętnionéj młodéj krytyki, dla któréj zbyt często „nowe" bywa jednoznaczném z „piękném i prawdą", miara zaś estetyczna rozpływa się w tak bardzo od niéj różnéj mierze społecznych sądów i zrozumień. Któż nie wie, jaki zamęt w krytyce sprowadza to ustawiczne dziś podciąganie każdego utworu sztuki pod tę wyłączną społeczną miarę! Sztuka, bądź co bądź, nie znosi węzłów bodaj utylitaryzmu i karłowacieje tam, gdzie się takowe, skutkiem szczególnego zbiegu nieszczęśliwych okoliczności, gwałtem jéj narzucają.

Manuel de la Revilla, ten sam, który nie wahał się „Trójgraniasty kapelusz" postawić obok Gil Blas'a, okazuje się wrogiem don Juanowi Valera, chociaż przyznaje mu talent. „Któż go nie zna! woła, kto nie zna tego *caballero* z talentem i wzięciem się tak arystokratyczném, tak poważnego, niewzruszonego, wzgardliwego, najbardziéj uczonego pośród krytyków, najprzyjemniejszego z powieściopisarzy."

Wyborne świadectwo w ustach wroga! Jeśli go już wszyscy znają, to już utwory tego „najprzyjemniejszego z powieścio-pisarzy",

obok przyznanego mu dowcipu i wytworności „arystokratycznéj“, posiadać muszą głębsze, żywotne zalety. Zalety te muszą być ogólno ludzkie i narodowe, to jest takie właśnie, co w jakim bądź oświetleniu idealizmu czy realizmu, salonowém, czy ludowém, psychiczném, czy społeczném, użyczają żywotności utworom sztuki. Posłuchajmy, co nam sam autor powié, jak i z czego utworzył pierwszą swą powieść „*Pepita Jimes*“, tę właśnie, która najwięcéj miała rozgłosu:

„Napisałem ją w trzech czwartych, nie domyślając się, że tworzę powieść. Przeczytałem był właśnie mnóstwo dzieł treści religinéj, wdzięk ich pociągnął mnie i nie tracąc trzeźwego zapatrywania się na rzeczy, popuściłem wodze wyobraźni. Zebrałem, że tak powiem, w jednę wiązankę wszystkie te rozproszone mistyczne kwiaty i dopiero spostrzegłem, że pierwsza moja powieść gotową była.“

Potrzebaż dalszych komentarzy? Powyższe słowa, z niepozostawiającą nic do życzenia ścisłością, określają charakter powieści i tajemnicę olbrzymiego jéj powodzenia. „Glosa“ ś. Teresy świadczy, jak dalece prąd mistyczny jest narodowym. Jeśli gdzie, to w Hiszpanii uszło by wyznanie, które jeden z filarów szkoły romantycznéj w Niemczech, to jest téj szkoły co w reakcyjnym rozpędzie przeciw pogańskiemu klasycyzmowi, zwróciła się najzapamiętaléj do średniowiecznego gotycyzmu i najgłębiéj zagrzęzła w mistycyzmie, Tieck, wkłada w usta swego bohatera (Lovell'a): „poezya, sztuka a nawet pobożność, mówi, są tylko przebraną rozkoszą.“ Nowe prądy, prądy trzeźwe, gdzie rozwaga przeważa nad wyobraźnią, nie mogły jeszcze tak dalece osłabić tego starego prądu, poruszony podejmuje odgłośne oddźwięki w masie czytelników. Żaden naród, w żadnéj dziejowéj dobie, a tém mniéj Hiszpania, nawet na schyłku naszego stulecia, nie daje się dostroić do społecznéj, etycznéj i filozoficznéj syntezy. Jeden odłam narodu, młodszy, rzutki, staje zwykle po stronie takich, jak Reville, wolnomyślicieli, śmiałych i zapalonych budowników przyszłości. Drugi, zwraca się ku szermierzom takich jak don Juan Valera zasad. Odłam to spokojnych lub zmęczonych, konserwatystów i marzycieli. Dość, że oba prądy odpowiadać zwykły tkwiącym w narodzie potrzebom. Jeśli zaś szermierz któréj bądź zasady, twierdzącéj czy negującéj, wnosi w walkę przekonań ramię wyższą uzbrojone wiedzą, groty istotnego talentu, a zwłaszcza już nieulegającą wątpliwości szczerość przekonań, to nawet przeciwnicy, jak to dopiero widzieliśmy z Reville'm i don Juan'em, liczyć się z nim winni. Co zaś do dzieła sztuki, to, pominąwszy powodzenie obecnéj chwili, o istotnéj jego

wartości stanowią mniéj społeczne niż artystyczne względy. Tchnienie prawdziwego talentu tak dalece usuwa na dalsze plany filozoficzne lub społeczne tezy, że nawet czytelnicy, należący do wręcz przeciwnych filozoficznych i społecznych obozów, pozostają pod artystycznym urokiem wszelkiego dzieła talentu. Jeśli nadto dzieło to potrąca o napięte w duszy czytelników struny — bogdaj tradycyi, — odpowiada określonym czy bezwiednym popędom czytelników, jeśli, jak to w obecnym miało miejsce wypadku, strun tych dotyka ręka wprawnego mistrza, to już dzieło nabiera, żadną krytyką, niezbitéj popularności. Było tak u nas przed niedawnemi czasy z „Ogniem i Mieczem“, było z „Potopem.“ Tak było i w Hiszpanii z „Pepitą Jimes“, tak było z późniejszym i od tamtego słabszym utworem arystokratycznego *cabalero: El Commendator Mendoza.*

Do don Valera dadzą się zastosować słowa niedawno wyśpiewane przez hiszpańskiego Tyrteusza, Gaspara Nuńez de Arce, nad grobem drugiego, z pokrewnéj Portugalii poety, Aleksandra Herculano: „Miłość swobody nie wytrąciła mu z dłoni liry wierzeń.“ Chce on pogodzić jedno z drugiém i w *El Commendator Mendoza* przedstawia walkę chrystyanizmu — liberalnego naturalnie — z niewiarą. Pierwszy kierunek uosabia jedna z najpiękniejszych — nie wyłączając ckliwego arcypasterza w „Nędznikach“ — postaci w sutannie, jakie posiada literatura, postać filozofa liberalnego i wierzącego zarazem, człowieka wielkiego serca i niemniejszéj odwagi, dominikana, Jacinto. Drugi kierunek przedstawia Fadrigue, prawdziwy o szerokim etycznym i społecznym zakroju bohater powieści. Wiarę stracił on w walce z religijno-pedagogicznym systematem wychowawczym zeszłego stulecia. Wobec mąk zadawanych Indyanom w Peruwii, a „przez dzikię chyba wymyślonych zwierzęta“, zachwiała się w sumieniu jego wszelka monarchiczna powaga, zwątpił ostatecznie o tych społecznych porządkach, co się z absolutną, jakoby z wysoka udzielaną, wiążą władzą. Perswazya don Jacinta nie ma tu do czynienia z pospolitym niedowiarkiem lub z fanfaronem wolterowskiego zakroju. Z subtelnie a wybornie wymotywowanym buntem don Jacinto walczyć musi bronią serca bardziéj jeszcze niż powagą nieuznanych dogmatów. Całe przytém obyczajowe tło powieści jest najzupełniéj narodowe. Spotykamy wpływ i przewagę kapłana w społeczeństwie i w rodzinie. Spotykamy wyborny typ kobiéty hiszpanki, typ na poły wschodni, na poły feudalny, mistyczny. Donna Blanca de Solis osobą córki swéj pragnie okupić własnéj, zbyt ognistéj i nieokiełznanéj młodości grzechy. Pyszny typ dewotki! Niby św. Teresa, podszyta pokutującą Magdaleną, a zwłaszcza już, jakby to Alarcon powiedział, „przebrana za

chrześciankę maurytanka"; wypiastowana pod skrzydłem inkwizycyi, Eskuryalu i reakcyi despotka, wyniosła, zacięta, bigotka, donna Solis, nawet spowiednika swego — a jest nim światły don Jacinto — usiłuje obuzdać i pochwycić za wodze. W powieści téj arystokratyczny i wytworny don Juan dowiódł nie tylko umiejętności pisania wykwintnie i zajmująco, dowiódł umiejętności wnikania bardzo głęboko w najzawilsze zakątki duszy ludzkiéj, w motywy wytwarzające odpowiednie typy, w których plastyczném przedstawieniu okazał się równie biegłym malarzem jak rysownikiem.

„Żaden krzyż nie ciąży temu, co go z dobrą podejmuje wolą." Słowa te, godne nieodrodnéj córki św. Teresy, inny, innego, jak to za chwilę zobaczymy, niż Juan Valera, zakroju pisarz, Maria José de Pereda wkłada w usta dziecięcia z ludu, sieroty po rybaku, Sildy, bohaterki powieści zatytułowanéj *Sotileza*. Don José de Pereda stanowczo przekroczył ową pograniczną linią, o któréj mówiliśmy wyżéj, chociaż nie zatroszczył się nigdy o szkołę pisarską do jakiéj należy. Zresztą samo to orzeczenie *szkoła* jest tu wcale nie na miejscu. Odwołując się do powagi Brandesa i do najtrafniejszego, z jakiemi się w téj mierze spotkać można, orzeczenia, że „*szkoła* się tworzy wówczas, gdy pisarze łączą się z sobą pod przewództwem pewnéj *ściśle sformułowanéj* doktryny, *grupa* zaś powstaje przez naturalne, mimowolne skojarzenie pisarzy, mających wspólny kierunek duchowy",— powiemy raczéj, że don Pereda należy do najświeższéj z nowoczesnych, do najsympatyczniejszéj grupy pisarzy, do tych, co się zwrócili do przyrody, do maluczkich, śród szarych powszedniości popiołów szukając jasnéj i gorącéj, nowe światy mogącéj zapłodnić iskry ideału. Uderza w nim wielkie podobieństwo do mistrza z za oceanu, Bret-Harte'a. Starszy wiekiem, lecz zaledwie od lat kilkunastu znany publiczności, nie wiódł on i nie wiedzie jak Valera stołecznego życia w wirze utarczek dziennikarskich i stosunków literackich. Bogaty, słabego zdrowia, po części obcy, w doktrynerskiém znaczeniu, prądom chwili obecnéj, po części gardzący niemi i przejęty tém tylko, co z prądów tych przenika najszlachetniejsze serca, don Pereda, wieśniak do szpiku kości, „*saudanterino*", jak sam siebie nazywa, tworząc, ulega parciu talentu, a pisze, jak sam mówi, dla swych sąsiadów, mieszkańców wybrzeża morskiego. Jest-to piszący prozą poeta. Przenika w nim pierwiastek opisowy i liryczny. Jego *Tipos y Paisajos* (Typy i krajobrazy), *Becetos al temple* (Akwarelle), *El Sabor de la Tierrena* (Woń ziemi rodzinnéj), są szeregiem najpiękniéjszych krajobrazów i zarysów, gdy w *Esbozas y Rasguiros* (Szkice i zarysy), w *Tipos transhumantes* (Typy wędrownych ptaków), *Los hombres de Pro* (Uczciwi

ludzie) spotykamy się z obserwacyą, połączoną z wyborną najczęściéj charakterystyką. Dusza ludzka, życie ludzkie, zwłaszcza jego rzewne, głębokie, pod powszednością ukryte, lecz bynajmniéj nie powszednie motywy nie mają dlań żadnych tajemnic. Z takich to wdzięcznych, nowożytnych, a jak świat i sztuka starych pierwiastków, składa się *Sotileza*. Na pierwszych już stronicach powieści, która układem i prostotą najzupełniéj różni się od tego, cośmy jeszcze z Alarconem przywykli znajdować w hiszpańskiéj powieści, spotykamy tém nie mniéj element narodowy, nieodstępny, rzec można, tak w życiu, jak i w powieściopisarstwie hiszpańskiém—księdza, padre Apolinario. I tę kapłańską postać chcielibyśmy nazwać najpiękniejszą śród pięknych, gdybyśmy dopiéro co tych superlatywów nie użyli w zastosowaniu do bohatera don Valera, księdza Jacinto. Padre Apolinario jest mniéj od tamtego oryginalny, nie tak potężny, posiada rysy spospolitowane humanitarnemi prądami czasu naszego, ale rysy te są oddane z dziwną, rzewną, przejmującą słodyczą. Wszak mogą istniéć dwie równe sobie a jednak bardzo różne piękności? Można podziwiać Dominichina i kochać się w Madonnach Sasso Ferato? A jeśli Valera, malując don Jacinta, zapatrzył się na Dominichina, to chyba Pereda z palety Sasso-Ferato, brał przezroczyste, świeże, jasne barwy, proste, słodyczy pełne linie dla odmalowania ojca Apolinarego, nauczyciela szkółki wiejskiéj. Ojciec Apolinary katechizmową zasadę miłości bliźniego tuż zaraz stwierdza czynem wielkiego miłosierdzia, bo gdy ewangelia zaleca przyodziać nagiego połową płaszcza, on całe swe, jedyne jakie posiada spodnie odzienie oddaje najbiédniéjszemu śród swych ubogich, odartych uczniów, synowi pijaczki, nieposiadającemu nawet téj części ubrania, które najelementarniejsza przyzwoitość nosić nakazuje, a nazywać właściwém imieniem wzbrania. Czyniąc zadość wymaganiom skromności i swego wielkiego serca, padre Apolinario pociesza się myślą, że mu brak tego niezbędnego przyodziewka, zastąpi długa choć połatana sutanna i wysokie czarne pończochy. Jest to rys nawskróś Bret-Harte'owski. Nawskróś Bret-Harte'owską jest scena, mistrzowsko oddana, gdy do izby szkolnéj, ciemnéj, napełnionéj brzękiem głosów dziecięcych, wchodzi panicz—paniczem bowiem wobec téj ubogiéj, wybrzeżnéj dziatwy jest Andrzéj, syn kapitana okrętu — wiodąc za rękę drobną, odartą, omórusaną, nędzną dziecinę. Nad sierotką czuwało tylko Opatrzności oko! Żywiły ją muszle morskie, do snu kołysały fale, co jak hydry nienasycone pożarły jéj rodzica, a źli opiekunowie obchodzili się z nią tak bezlitośnie, że dziecina wolała dni i nocy wałęsać się na piaskach wybrzeża. Tu ją o mało co starsze od niéj i swawolne

nie utopiły dzieci. Z pod piany morskiéj wyciągnął ją właśnie ów, tylko co przez dobrego księdza odziany, syn żebraczki i pijaczki, a zgłodniałą, wystraszoną, przemokłą spotkał mały Andrzéj i przywiódł prosto do dobrego ojca Apolinarego. Na ciemne tło tego ubóstwa Pereda rzucił z rzadkim mistrzowstwem złoty nadziei i litości promyk.

I nie zewnętrznemi tylko zaletami pióra, nie samém zespoleniem liryzmu z realizmem i obserwacyą, zbliża się don Jose de Pereda do mistrza z za Atlantyku. I ten jak tamten wnika w samę głąb rzeczy i uczuć. Nad szaréj powszedniości pokrowcem, w najuboższych, najbardziéj przez cywilizacyą zaniedbanych — jak tamten w najbardziéj przez nią popsutych sferach — bez stawianych z góry tez społecznych lub filozoficznych (jak to w szkole realistyczno-demokratycznéj miewa miejsce), bez pedantyzmu i sentymentalizmu, bez deklamacyi i refleksyi, szuka i znajduje wzniosłe lub rzewne uczucie, co w pyle powszedniości i kale spienionych potoków życia, nie traci połysku rodzimego złota. Takiemi złotemi ziarnkami są w powieści téj uczucia ubogiego dziewczęcia z ludu. Czytelnik domyśla się subtelnie przez autora pomijanéj milczeniem miłości Sildy dla Andrzeja. Miłość tę Silda poświęca poczuciom obowiązku i cichéj a głębokiéj dumie, właściwéj sercom wielkim pod jaką bądź bijącym szatą. „Żaden krzyż nie cięży temu, co go z dobrą podejmuje wolą“ — mówi u łoża konającego swego opiekuna, obiecując zostać żoną uczciwego, kochającego ją a niekochanego Cleto. Słów tych nie powstydziła by się nawet dumna śród dumnych, córka dumnego hidalga z Awila. Są chwile w życiu, są uczucia w sercach, których patetyczność zaciera wszelkie inne istniejące pomiędzy przeżywającemi te chwile, pomiędzy przeczuwającemi te wzruszenia różnice. Wzruszenia te jednobrzmienne znajdują wyrazy w ustach królowéj i sieroty z gminu. Lecz aby to zrozumiéć i z artystyczną oddać miarą, trzeba się wpatrzyć w życie i serce ludzkie bardzo głęboko, nie poprzestając na szematowéj charakterystyce lub na tém, co za charakterystykę brane było. Trzeba być nadto niepospolitym artystą. Bohaterka don Jose'go poświęcenia dokonywa z wzniosłością i prostotą, z jakiemi się w życiu co krok niemal spotyka, lecz którego się nie uznaje, a które pochwycić umieją sami wielcy pisarze. Prostota ta nie zawsze wyraża się — jak tego chcą bezwzględnego realizmu koryfeusze — płasko lub pospolicie. Owszem użycza, jakeśmy to dopiéro na Sildzie widzieli, wytworności najmniéj skąd inąd wytwornym.

Wszystko jest kwestyą *stroju*, i kto wié, czy sztuki nie wypada uważać jako akord. Pereda rozwiązał szczęśliwie trudną istotnie

do rozwiązania kwestyą, realizm dostroił do tego idealizmu, bez którego dzieło sztuki nie istnieje. Schiller w jednym ze swych listów (do Goethego) rozpatruje dwojakie artysty zadanie: wznieść się po nad rzeczywistość a pomimo to nie oderwać się od wrażeń zmysłowych. Dla Goethego sztuka upiększa to, co odbija, artyści są wybrańcami, którym dano wypowiedzieć cierpienie w sposób przynoszący cierpieniu pociechę. Obu tym wielkim poetom wierzyć możemy na słowo. Don José de Pereda za pomocą podobnéj recepty rozwiązał ową trudną do rozwiązania kwestyą, nie troszcząc się zresztą bynajmniéj o zasady przepisywane *à priori* przez takie lub owakie szkoły, o ramy, w jakie twórczość swą miał wtłaczać.

## VI.

Nie tak sobie poczyna od Alarcona, od Peredy, od Valery młodszy, zaledwie od lat dziesięciu w piśmiennictwie znany Armando Palaccio Valdes. Młody ten, utalentowany pisarz otwarcie, z pewnym nawet naciskiem wnosi w piśmiennictwo swego kraju prądy zupełnie już nowe, zapirenejskie, nowe zatyka sztandary i w krytykach swych *La literatura* (1881), *Nuevo viaje al parnaso*, *Lo novelistas espanoles*, przyznaje racyą bytu samemu li realizmowi. Ten należy stanowczo już do *szkoły*, przynajmniéj głosi jéj hasła i zasady, czy się zaś zasad tych trzyma, gdy sam tworzy, to już rzecz inna. Gwoli tym zasadom, powieść swą *Marta y Maria*, będącą w rzeczy saméj psychiczno-społeczną, ochrzcił mianem obyczajowéj: *novela costumbres.* Wyraźnie szło mu o zadosyć uczynienie owéj „ściśle sformułowanéj doktrynie“, która — wedle Brandesa — jest zawięzią szkoły. Zapomniał, co niedawno Ribot tak trafnie powiedział o psychologii, „że czerpie soki z przyrody a wykwita w społeczeństwie“, uwierzył w doktrynę autora „romansu doświadczalnego“ i pominął to, że sam Zola, party siłą olbrzymiego talentu, wbrew własnym zasadom, był psychiczno-społecznym w *Rougon Macquart*, psychiczno-indywidualnym w *La faute de l'Abbé Mouret* i *Une page d'Amour*, a nawet w okrzyczanéj *Nanie* wkraczał niejednokrotnie na te niby powieściowe manowce, a brodząc po nich, wcale nie najsłabsze tworzył stronice— dowodem chociażby ta w duszę nierządnicy rzucona iskierka miłości macierzyńskiéj.

Valdes w powieści swéj *Marta y Maria* przedewszystkiém uwydatnia dwa dobrze pochwycone i subtelnie oddane kobiece charaktery, odpowiadające nagłówkowym imionom dwóch sióstr biblijnych. Różnice kardynalne dwu tych odmiennych charakterów

kobiecych tkwią w saméj głębi natury ludzkiéj, zewnętrzne okoliczności rozwinąć je tylko w odpowiednim mogą kierunku. Ricardo markiz de Penalta kocha się w klerykalnéj legitymistce Maryi. Pomiędzy tą Maryą a Sybilą Feuillet'a zachodziłoby pewne pokrewieństwo, gdyby nie szerszy, polityczny rozmach powieści Valdes'a. I ta młoda, piękna, zapalona, jak to zwykle w podobnych razach bywa, misyonarka, usiłuje nawrócić nie dość żywo, nie dość prawidłowo wobec jéj prawomyślności wierzącego kochanka. Różnica tkwi przedewszystkiém w tém, że sam autor nie skłania się pod słodkie jarzmo, to téż z bohaterem jego nie tak łatwa sprawa, jak z tamtym, Feuiletowskim. W Hiszpanii przekonania religijne ani téż legitymistyczne nie są nigdy tém, czém są we Francyi.... a i gdzie indziéj w klerykalno-arystokratycznych, lub na arystokracyą chorujących kółkach—rzeczą mody, dobrego tonu. Hiszpania wydała i wyda może jeszcze nie jednego obrońcę inkwizycyi i nie raz jeszcze może jako stróżów społecznego i etycznego porządku wskazywać będzie dwie powagi: Watykanu i szubienicy; lecz nie zdobędzie się nigdy na doniosłe słowa Józefa de Maistre'a: „niereligijność trąci motłochem" — *l'irréligion est canaille*. Nie dziw więc, że bohaterka Valdes'a przerasta bohaterkę Feuillet'a o tyle, o ile szczery, narodowy hiszpański mistycyzm przerasta sztuczny francuski klerykalizm. Marya, to jedna z *minorum gentium* sióstr św. Teresy, a Sybila toć tylko z lewéj ręki prawnuczka pani de Maintenon. Drobna ta córka św. Teresy podszyta jest zresztą skrawkiem politycznym, stoi pod chorągwią partyi, w któréj ręku i wierzące a naiwne jak ta, piękne przytém i zapalone bywają często używaném narzędziem. Marya nie tylko pragnie duszę kochanka pozyskać niebu, ale i jego ramię sprawie, którą uważa za świętą. Tym zaś, co po za nią stoją, o wiele więcéj idzie o dzielne ramię, pełną kiesę i brzmiące imię niż o duszę upragnionego adherenta. Niechże dla pięknych oczu i jedwabnych słówek kochanki, niech dla niebieskich podwoi, do których wyłącznie ta przez nich i przez tę piękną strzeżona prowadzi droga, zdradzi swój sztandar, poświęci honor.

Natrafiliśmy na kamień obrazy. „Honor — odpowiada zakochany, ale rycerski i drażliwy na samo to słowo hiszpan—honor nie należy do nas. Nieba go nam powierzają w dniu naszego urodzenia, a rachunek ściągną z nas za grobową dopiéro deską."

Przemówił hidalgo. Honor! podobne powyższemu określenie honoru słyszéć musiały przed wieki ściany tego domu, co w Burgos uchodzi za dom Cyda. To pewna, że podobnie zrozumiany honor jest czysto szlacheckiego pochodzenia, w demokratyczném bowiem

zrozumieniu naszego stulecia, honor nie odziedzicza się lecz nabywa, jak wszelkie inne dobro, jako korona wszelkiego dobra, i chociaż nie jest pieczęcią, równą herbowéj, położoną na czole i piersiach pomazańców, jest jak tamten obowiązkiem, tylko nie nazywa się przywilejem lecz przekonaniem, zresztą jak tamten, stary, do grobowéj przechowuje się deski wówczas nawet, gdy nie jest tarczą lecz krzyżem tylko, i gdy go bronić trzeba krwią z pod serca.

Téj krwi z pod serca, tak potrzebnéj dla bronienia filozoficznych niepodległych przekonań, miał bardzo mało Feuilletowski bohater. Hiszpan dumny i szumny, rycerski, krwi téj nie żałuje nigdy, a tu témbardziéj, że wierny narodowéj praktyczności, leczenie serdecznych ran powierzył miękkim i ciepłym dłoniom długo niedocenianéj Marty. Nad mistycyzmem zatryumfowała praktyczność. Zwyciężona Marya, hiszpańskim trybem, zawiedzione nadzieje i wyegzaltowane uczucia zagrzebała w klasztornych murach.

Honor! Pytanie: jak i czy to słowo zrozumiała Marya? Wszak kobiétą była, a nadto hiszpanką. Alarcon opisując niewieście swe jasnowłose pieścidełko, Carmenę, pisze wyraźnie, że kobiét „przekonywać nie warto.... wdzięczność — to za poważne dla nich uczucie, sprawiedliwość — dźwięk pusty dla próżnéj a barwnéj ich wyobraźni.“ Drugi hiszpański współczesny nam pisarz, dramaturg Manuel Tomayo y Baus, w usta jednego ze swych najudatniejszych bohaterów, Yorick'a, włożył słowa nazbyt już może ostre, ale bądź co bądź w ustach wielkiego pisarza posiadające chociażby wagę tego „marnego puchu“, którym nasz Adam przysypał cały ród niewieści: „Kobiéta nie wié nawet, co to prawda.“

Wszak i tak bywa, a i nie zawsze kobiéta temu jest winną.

Oto np. czy wié, co prawda, ta, „jak muza piękna i surowa“, a jak owieczka bierna i potulna Ampara, będąca bohaterką romansu Benita Perez Galdoz'a, zatytułowanego *Tormento*.

Skądże by wiedzieć mogło biédne dziewczę, ocierające się o wszystkie poniewierki siéroctwa, o wszystkie zarazy folwarcznego i garderobianego stosunków, wielkiego, bo aż królewskiego dworu i ohydnéj niewoli duszy i ciała w mocy lubieżnego, jak system, co go wytworzył olbrzymiego, jak rozpusta kapłańską szatą pokryta, plugawego księdza. Sama powaga kapłańskiéj szaty, moc dana „dusz pasterzom“, charakter, jakim w oczach naszych, wbrew zapewne prawom natury, lecz zgodnie z tradycyą wiekową, kapłan jest obleczony, sama wreszcie, temiż wyobrażeniami spowodowana pokątność, narzucająca się z konieczności zmysłowości księżéj, nadaje miłostkom księżym barwę szczególnéj ohydy. Aby ohyda ta,

nie obryzgała wspólnicy; trzeba, aby jéj ofiara, jak bohaterka Galdos'a, winna była samą chyba swą niewieścią, a raczéj dziewiczą biernością i posiadała przytém sporo innych, sympatycznych zalet; wrodzone i tylko nierozwinięte poczucie honoru i prawości. Skądże by podobnie jak Ampora, zaniedbana i bierna istota widziéć mogła co to honor i prawda? Czuje gdzieś w głębi duszy ciche protesty, w tém obrzydzeniu, jakie w niéj wzbudza ten siłacz, w tym głuchym wewnętrznym niepokoju, jaki ją trapi, lecz nazwać przyczyn obrzydzenia i udręczenia, postawić ich jako zasadę, lub ideał nie potrafiłaby w głębokiéj swéj nieświadomości. Wielkiego słowa czci niewieściéj, nauczy ją chyba ta wielka, i po dziś dzień i nie tylko w podobnych zakątkach społecznych wyłącznie nauczycielka serc niewieścich: miłość. Ohydę, na którą instynktowo przedtém wzdrygały się same jéj może tylko zmysły, a na którą rezygnowało się jéj serce obałamucone nieskończoną kobiecą litościwością, zrozumié w całém jéj cynicznéｍ obnażeniu i właściwém napiętnować potrafi imieniem wówczas dopiéro, gdy serce jéj przemówi. Sytuacya istotnie dramatyczna, położenie bez wyjścia. Szczęściem, jesteśmy na gruncie, z pozoru tylko realistycznym i bohaterce naszéj nie grozi to słowo zagłady, które by koryfeusz, przejęty do szpiku kości zasadą szkoły realistycznéj, nie wahał się wypisać na wrotach tych piekieł niewieściego istnienia. Perez, liczący się do realistów, daje powieści swéj zupełnie romantyczne zakończenie, boć w życiu miłość, bogdaj najwznioślejsza, nie posiada czarodziejskiéj mocy zmieniania na białe kart raz zapisanych, i chociażby najniewinniéj chociażby boleścią raczéj niż grzechem, raz już zbrukanych. Ten, którego Ampara pokochała stracił w Ameryce, właściwe starym lądom, przesądy a wraz z chorobliwą, wypływającą z ostatecznego braku zaufania w sobie, nieśmiałością, nabył nieskończenie wiele pobłażania dla zboczeń i nędz ludzkich. Prościéj i prawdziwiéj byłoby szczęśliwe to rozwiązanie umotywować wszechwładną miłością.

I nie jest to jedyny rys romantyczny u pisarza, który się podał za realistę. Romantyzm tkwi w zasadzie powieści: Dobro i prawda *muszą* zło pokonać. Jest-to, jak na realistę zwłaszcza, nazbyt szablonowy, wedle przestarzałéj romantycznéj modły postawiony aksiomat. Jako antytezę upadłego, zmysłowego księdza, Galdos wskazuje kapłany z gorącą wiarą i gorącém słowem, czystych obyczajów i zamiarów, który przykładem, namową, kapłańską powagą, wyrywa piekłu duszę upadłego brata. Nie sama tedy Ampara, lecz i jéj niecny kat i uwodziciel, unikają wiekuistego zatracenia w przeolbrzymiéj swéj nędzy.

W innych powieściach, pisarz ten utalentowany i płodny—jest to też rys narodowy, i Peres Galdos samemi historycznemi, z napoleońskiéj doby powieściami zapełnił dwadzieścia tomów—okazuje się większym realistą, a jego werwa i humor mogą, zdaniem Leo Quesnel'a, biegłego literatury hiszpańskiéj krytyka, iść o lepsze z samym Don Kiszotem. Powieści jego są też nie z saméj tylko nazwy obyczajowemi. Jak Cerwantes, wpatrzył się on w otaczające go zewsząd znaki swego czasu, pochwycił je w karykaturalnych zarysach, wsłuchał się w otaczające go wrzawy i pochwycił ich rozdźwięki. Jak tamten wiernym jest portecistą, inne tylko tamten niż ten maluje typy, dwie różne bowiem mamy przed sobą epoki. Galdos maluje przeważnie sfery stołeczne, zepsute, gdzie narodowe cechy zaciera kielnia kosmopolityzmu a naśladownictwo sąsiadów z po-za Pireneów, nieudatne, jak zwykle bywają naśladownictwa, wnosi w narodowe obyczaje ton fałszywy, nie wnosząc tego w co wyższa kultura zaopatruje Francuzów. Jeśli się mamy raz jeszcze uciec do porównania, wyjaśniającego poniekąd te dla wielu niedostępne właściwości pisarzy z tych tak mało jeszcze znanych stref, to najwłaściwiéj będzie, porównać Galdos'a z Balzakiem. Wpływ jego na obecne kierunki powieściopisarstwa hiszpańskiego jest odpowiedni wpływowi Balzaka na obecną szkołę powieściopisarską we Francyi. Maluje też te same niemal co Balzak sfery, a w powieści zatytułowanéj *La de Bringas*, a będący tylko dalszym ciągiem *Tormento*, miewa iście balzakowskie zacięcie. *La de Bringas* jest to ciotka Ampary, u któréj, w suterenach i na poddaszach królewskiego dworu, ta ostatnia, pod pokrywką schronienia i opieki, ciężką znalazła służbę. Autor wprowadza nas w świat *camarilli*, odsłania brudne tajemnice zakątów pałacu królewskiego. Jako konserwator pałaców królewskich, po rewolucyi 1868 r. malował z natury, a przyznać potrzeba, że malował wiernie i z realistyczną plastyką. Z właściwą sobie przenikliwością, śmiałą i lekką dłonią zdziéra szychowe łachmany, przykrywające zepsuty ów światek. Jak w *Tormento* bierność niewieścia, tak tu próżność ludzka jest osią, o którą owijają się wszystkie łakomstwa, zazdrości, wszystkie pokusy, upokorzenia, podstępy, upadki, nędze i małostki tych niby wielkości, co tylko przez optyczne, przesądem nam narzucone złudzenie, wielkiemi się zdają. Pod tym względem jest to istotnie najrealniejsza a może i najdemokratyczniejsza powieść w demokratyzującem się piśmiennictwie nowożytném, uderza to tém bardziéj, że Hiszpanie, pomimo nacisku „czarnéj ręki" nie przestali i długo jeszcze nie przestaną być hidalgami. Trzyma się to gotycyzmu i katolicyzmu. W powyżéj wzmiankowanych, współczesnych powieściach, z wyłą-

czeniem powieści Peredy, spotykaliśmy się tylko z towarzystwem dobrze urodzonych lub uprzywilejowanych. I tu mamy przed sobą „urodzonych“, lub takich, co za urodzonych uchodzić pragną i wspinają się do salonowych szczytów na szczudłach camarilli i urzędów dworskich. Zbiegowisko to utytułowanego, lub za tytułem i znaczeniem uganiającego się tałałajstwa. Hidalgowie skarłowacieli i ośmieszeni, jak niegdyś pseudo-rycerze Cervantesa. Ah! nie ma to już pono pod słońcem nic wstrętniejszego, jak wszystko to, do czego daje się przypiąć owo *pseudo*, grasująca nietylko w Hiszpanii, epidemia. *Pseudo* arystokrata i *pseudo* demokrata, *pseudo* pesymista i *pseudo* optymista, *pseudo* uczony i *pseudo* cnotliwy, *pseudo* literat, *pseudo* artysta, *pseudo* krytyk i zwłaszcza *pseudo* przekonany, zostali klęską i bogdaj by nie zostali szyldem naszego czasu. Galdos zapatrzył się głęboko w otaczające go społeczeństwo i te pseudo-wielkości schłostał satyrą, w której, jak w każdéj satyrze, nawet tak swobodnie a zjadliwie roześmianéj jak u Szczedryna, wiele jest dramatyczności. W malowaniu otaczających go sfer Galdos jest realistą o tyle, o ile z natury zdejmuje kopie wierne. Nie traci przeto z oczu modły psychicznéj, co sama użycza nieśmiertelności przejściowym zjawiskom. Po co, malując tak jak on maluje, troszczyć się o szkołę i zaciągać w służbę doktrynerską? „Nie można nauczyć się piękna“ słusznie gdzieś (*Caliban*) powiedział Renan—„ten dopiero artysta, który rozwiąże trudne to zadanie, nie zdając sobie z tego sprawy, prawdziwym jest estetykiem.“

VII.

Nie ogranicza się tém pani Padro Bazan, zapalona zwolenniczka tworzonych *a priori* teoryi, a może nie tak teoryi jak słów o zakroju doktrynerskim, i o te słowa sprzeczek. Naturalizm francuski posiada zresztą tę własność, że na każdym innym gruncie wyradza się do niepoznania, i rzecz dziwna na gruncie półwyspu, pod słońcem afrykańskim, na gruncie rozpasanego rycerskiego romansu, bieleje, uskrzydla się, nabiera niewątpliwych do idealizmu wzlotów. Spotyka bo się tu z mistycyzmem, tą „przebraną zmysłowością“, lecz tak doskonale wyćwiczoną w swéj roli i w noszeniu przybranych sukienek, że wszelkie wrażenia odrywa od realnego gruntu i przerzuca wyżéj. W takim razie, gdy talent nie zrówna sile rzutu, wytwarza się sentymentalizm. Tak się właśnie stało z realizmem pani Padro Bazan. W krainie Don Kiszota i Glosy, sztuka nie może ograniczać się na trzeźwości suchego wciągania w swe rubryki faktów,

w przesadzie szczegółów nie może zatopić całéj, częstokroć rozdętéj przesady treści, ani się wyrzec stanowczo koturnów, które pod drobną stopą pani Bazan nadto są widoczne. Nie podziela ona zdania najznakomitszego—nie idzie jednak zatém, aby był nieomylnym —z nowoczesnych krytyków, Brandesa: jakoby wszelkie widziane objawy mogły być przedmiotem sztuki. Aforyzm ten zawieść może daleko, daleko téż i na bezdroża zawiódł nie jednego, że wspomniemy tu, dla przykładu, potężnego talentem, sercem, cierpieniem i morzem wylanéj nad nędzą ludzką litości, Dostojewskiego. Podobne to, za hasło szkole służące aforyzmy, w połączeniu z narodowym, wspólnym najznakomitszym pisarzom rosyjskim—z wyłączeniem samego Turgeniewa—brakiem artystycznéj miary, oszpeciły piękne i nieśmiertelne dzieło syberyjczyka. Obok stronic pełnych dantejskiéj, przejmującéj grozy, popada on w niemożliwe opisy rzeczy widzianych a nawet ściśle obserwowanych ale wstrętnych po prostu a co gorsza pospolitych, płaskich, takich jakie przedmiotem sztuki zostać nie mogą.

W literackich swych krytykach,—przełożonych nawet na język francuski,—pani Bazan zastrzega wyraźnie—i tu właśnie widzimy jak bardzo jéj idzie o wyrazy—po pierwsze, aby realizm, ba! naturalizm, nie przekraczał granic... skromności; powtóre, aby powieść przestała być „czczą rozrywką, została nauką.“ Gdzież to pani Bazan, czytała dobre i piękne powieści, te co się wznoszą w piśmiennictwie do stanowiska dzieła sztuki, będące „czczą rozrywką“. Pani Bazan pragnie naturalizmu w powieści, ale naturalizmu w odmiennym gatunku, „katolickiego.“ Nie ma sztuki bez duszy i Boga! Fatalizm zabija twórczość. Gdzież się przytém podzieją dziedziczność, prawa przyrody i zgoła cały rynsztunek naturalizmu? Pani Bazan pomija tę kwestyą milczeniem. Daléj opłakując ostateczności, w jakie, zapewne w rozpędzie reakcyi przeciw idealizmowi ubiegłéj doby, popada powieść obecna, posiłkująca się fizyologią a częstokroć i patologią, wnioskuje, że przy społecznych zjawiskach obserwacya nagiego faktu nie wystarcza, gdyż nie jesteśmy w teatrze anatomicznym, brak zaś znajomości zaczątków i ostatniego słowa wszech zjawisk, zniewala nas pozostawić przy dawnych prawach: metafizykę w filozofii a ideał w sztuce.

Po takiém wyznaniu teoretycznych swych zasad, dla prostych w układzie, jak tego słusznie nowe wymagają prądy, swoich powieści pani Bazan nie szuka na tle narodowém wypadków i intryg jak to czyni Alarcon, nie podpatruje z przenikliwością Galdos'a obyczajów całych warstw społecznych, nie wyszukuje jak Valera i Valdes szczególnych a żywych i oryginalnych typów, ani jak Pereda zło-

tych, w kole powszedniości zatopionych iskierek ducha boskiego, przerzuca się na grunt tematów ogólno-ludzkich, zjawisk ogólno-społecznych. Dobre to dla gieniuszu. Prosty talent już obszernemu takiemu zadaniu nie zawsze sprostać zdoła a pani Bazan posiada szczególny dar zwężania, banalnego zacieśniania obszernych tych horyzontów.

Wieczysty temat rozdźwięku charakteru i temperamentu, dwóch wieczystemi węzły związanych z sobą istot, stanowi treść powieści zatytułowanéj „Podróż poślubna“. Już sama sfera mieszczańska i surowa, pięknéj, czystéj, egzaltowanéj Łucyi, nie odpowiada biurokratycznéj sferze Mirandy, który poślubia Łucyą dla jéj posagu. Zużyty motyw! Mniéj zużytą jest fabuła powieści a zwłaszcza jéj kardynalna przygoda, oblubieniec pozostawiający w wagonie uśpioną oblubienicę i łamiący sobie nogę w biegu po zapomniany pugilares. Sytuacya godna farsy i ogródkowéj sceny. Sytuacya, jeśli już ją koniecznie przenieść chcemy w sfery powieści, *à la* Paul de Kock, a którą tylko hiszpańska napuszoność i kobieca naiwność mogły dramatyzować. W fałszywém i nie wesołém położeniu, bez grosza przy duszy, śród ludzi obcych, w obcych sobie miejscach, znajdująca się a zaledwie z dzieciństwa wyszła kobieta, dostaje się pod rycerską opiekę przygodnego towarzysza podróży. Jest on, naturalnie ostatniém słowem doskonałości, chodzącą krytyką od razu ośmieszonego małżonka. Czy doskonałości te były potrzebne dla podbicia serca niedoświadczonego i w tak dziwném położeniu pozostającego dziewczęcia? Czy podboju nie dokonałby, z równą łatwością pierwszy lepszy wymuskany *commis voyageur*, o tém autorka ani pomyślała? To, że rozkochany do szaleństwa Artegui—tak się wabi ów po drodze spotkany kawaler—oddaje małżonkowi Łucyą, nie wyznawszy jéj nawet swéj miłości, rozmija się zupełnie wprawdzie z naturalizmem francuskim, ale wyznać wypada, pozostaje w zupełnéj zgodzie z galanteryą hiszpańską, gdyż, powtarzamy to raz jeszcze, w każdym hiszpanie i w każdym niemal bohaterze hiszpańskiéj powieści, jest kawał Don Kiszota. W hiszpankach znów, na scenie życia jak i w powieściowém odzwierciedleniu, płynie krew maurytańska, rozpalona, nie zaś studzona katolickim romantyzmem. Tu nadto, autorka przekraczając granice, stawiane przez się w teoryi, wkracza i zapędza się na terytoryum fizyologii bardzo daleko, bo aż do upewniania nas, że w żyłach jéj bohaterki „znajduje się tyle ciałek czerwonych, ile ich trzeba dla obdzielenia dwudziestu anemiczek.“ Aż dwudziestu! no, proszę! Już to kobiety, gdy przekroczą miarę... Uwzględniając ten nadmiar barwnika hematokrystaliny, nie dziwim się, chociaż, wobec teoretycznie przez autorkę zastrze-

żonéj „skromności", dziwić by się wypadało — widząc, jak w noc miesięczną, gdy ogród wszystkie rozpuszcza wonie, Łucya niby zahipnotyzowana przez bohaterski kochanka urok, kroczy.... a nowprost do sypialnego pokoju Artegui. Dziwi nas raczéj niespodziane, ultra idealne zakończenie téj—jak na autorkę stawiającą sztuce granice przyzwoitości — za ryzykownéj może nieco sceny. Próżno rozkochany Artegui błaga Łucyą, aby mu poświęciła ośmieszonego, brutalnego, a na dobitkę zazdrośnego męża. Łucya tę nocną wycieczkę do pokoju rozkochanego młodzieńca sprawiła sobie na to tylko, aby uczuć w swém łonie drgnięcie nowego życia i pokazać czytelnikom, jak to kobiéta przeistacza się tak odrazu, bez walki, i to kobiéta rozkochana, roznamiętniona. Matka zwyciężyła kochankę.

Wzniosłe—ale czy prawdziwe?

Może się téż przypomniały Łucyi religijne nauki księdza, który na początku jéj małżeńskiéj i miłośnéj przygody, powstrzymał ją nad brzegiem przepaści? Pani Bazan o skuteczności recepty téj nie wątpi. Wszystko to zresztą bardzo po hiszpańsku. Ani ksiądz ów, plączący się tu jak Piłat w *credo*, ani takie rozwiązanie w podobny sposób napiętéj sytuacyi, nie mogłoby się znaleść pod piórem francuskiego koryfeusza nowéj szkoły. Pytanie, czy na ogół mogłoby się znaleść pod piórem męskiém, mniejsza z tém zresztą z pod jakiego pancernego znaku. Francuz zrobiłby, jeśli już nie farsę, to najwyżéj nowelkę z tematu, który pani Bazan, z właściwą sentymentalizmowi niepowściągliwością, rozdęła do objętości grubotomowéj powieści, zapożyczając od realistów to, co najsłabszą stanowi ich stronę, zahaczanie się o tysiące błahych i zbytecznych szczegółów.

Inna jéj powieść, „Kobiéta Trybau", wiedzie nas na to morze orkanów społecznych, których coraz częściéj powtarzające się objawy zdają się zapowiadać zagładę nie tylko już istniejącym porządkom, lecz cywilizacyi całéj. Ludzkość czuje się zagrożoną w tém wszystkiém, co z takim trudem przez tyle zdobywała wieków, co jest zacządkiem przyszłych zdobyczy, o których marzy, tego wszystkiego, co najlepszą krwią swą opłaca, co stanowi jéj ukochania cel poniekąd usprawiedliwiający jéj racyą bytu. Wobec zapowiedzi téj zagłady, ludzkość niema i przerażona opuszcza nie raz ręce. Cóż po prawie, nad budową którego tak mozolnie przez tyle pracuje wieków? Czyż zabezpiecza ono wszystkie istnienia, czy równomiernie wszystkie osłania interesy? Cóż po bogactwie, gdy ono wszystkich głodów zaspokoić nie może, po nauce, gdy wszystkich i wszędzie nie zdoła rozproszyć ciemności, co zwłaszcza po pięknie, co jest wprawdzie brylantem wielkiego mogoła w ludzkości koronie, gwiazdą przyświecającą najlepszym lub najszczęśliwszym jéj dzie-

ciom, lecz pozostaje zbytkiem niedostępnym, obojętnym, a często nawet jątrzącym te masy głodnych, ponurych, wydziedziczonych, co zwarte, w rosnące z dniem każdym wały, pienią się tam i grzmią na wzburzonym oceanie społecznym.

Jeden to taki przedśpiew tragedyi ludzkości usiłuje w powieści swéj przedstawić pani Bazan, czerpiąc motywy w socyalnych wzburzeniach klas wyrobniczych, których Hiszpania bywa widownią. I na zaklęcie téj burzy, jak przedtém na zażegnanie burzy, powstałéj w jednéni dziewczęcém serduszku, pani Bazan używa wszechmocnego talizmanu, co zarówno głuszy zbyt głośne gruchanie jak piorunów gromy—synogarlicom urywa czubki a stugłowym hydrom ucina ramiona. Tym talizmanem w powieści pani Bazan napięta nuta uczuć i wpływów religijnych. Ha! I w tym rysie przemawia do nas duch całéj Hiszpanii, jéj przeszłości raczéj. Jeśli św. Franciszek z Asyżu i św. Teresa z Avila obdarzyli Włochy i Hiszpanią odpowiedniemi dla ich potrzeb reformami, moralném dziedzictwem, wobec którego reforma Lutra i Kalwina okazała się zbyteczną; jeśli znów Luter osłonił Niemcy od téj burzy rewolucyjnéj, co u końca zeszłego stulecia przetrawiła Francyą, to tém nie mniéj dziś, wobec innych czasów, innego społecznego, filozoficznego i etycznego poziomu, innych przyczyn, wolno jest pytać: czy samo nawet religijne odrodzenie—jeśli by się na nie wiek nasz mógł zdobyć— zdołałoby burzące się elementy utrzymać w łożysku starych porządków, lub bez kataklizmu, wtłoczyć je w jakie nowe, spokojne a zadawalniające ujścia? *Zresztą*, cóż klerykalizm, nawet szczery, hiszpański, miéć może wspólnego z potężnemi prądami odrodzeń religijnych? Pani Bazan załatwia te wielkie, nieobrachowane sprawy bardzo lekkiém sercem, patrzy na nie przez różowe sentymentalizmu okulary.

## VIII.

Szczęśliwi ci, co jak pani Bazan, w burzliwym huraganie, pędzącym ich ku nowym, i wówczas nawet, gdy dojrzanym, niedościgłym metom, zdołają przechować pochodnię starych wierzeń, szukając w nich kluczy rozwiązujących żelazne wieku zagadnienia. Lecz cóż poczną ci, co z równie lekkiém sercem rozwiązać zagadnień tych nie mogą i stoją wobec nich ze skrępowanemi ramiony, podobni do rzuconych w amfiteatrach rzymskich na igraszkę rozszalałym zwierzętom ofiar. Jakich-że użyją „słów magnetycznych?“

Są przecie słowa takie, nie nasz wiek je wymyślił, stare one, jak ludzkości samowiedza, lecz nasz wiek rozdzwania je w pobudkę,

gromadzącą pod wspólne sztandary biedne nasze, na tyle powodzi, na pożóg i zwątpień tyle, skazane pokolenie rozbitków. Słowami temi : miłość, obowiązek i praca. Nie zażegnają one owéj burzy, lecz rozświecają kagańce, co bezbronnym i gdy wszystko wkoło nich i gdy tyle w nich samych łamie się, kruszy, zanika, pozwolą wytrwać w czuwaniu do tych brzasków, co przecie po każdéj, po wieczyście nawet długiéj, po piekelnie nawet ciemnéj wznijść muszą nocy. Wieszczów jest rzeczą rozdzwaniać te słowa i istotnie spotykamy je ustawicznie w różnéj formie i zastosowaniu tu i owdzie, podkreślone spiżowym rylcem talentu. W najpesymistyczniejszém — i nie bez racyi — piśmiennictwie rosyjskiém, plastycznym i skupionym ich uosobieniem jest jeden z bohaterów Turgeniewa: Sołomin (w „Nowi"). „I on nie wierzy — pisze o nim zapalony lecz marny Neżdanow—lecz mu to niepotrzebne. Człowiek, idący wprost przed siebie do wytkniętego celu, nie pyta do jakiego dojdzie grodu, ani nawet czy gród ów istnieje. Taki Sołomin idzie wprost przed siebie, i oto wszystko co trzeba."

My słowa te znajdujemy w „Widmach", w „Eli Makowerze", w „Rodzinie Brochwiczów", wszędzie, kędy przemknie w łzach jednostek i we krwi z pod serca swego społeczeństwa maczane pióro pani Orzeszkowéj. Słowami temi są podpisane wszystkie, rozmiarami tylko drobne, mistrzowskie obrazki Prusa. Wyłaniają się one z krwawych i karmazynowych blasków „Ognia i Miecza", z powodzi „Potopu", a niezapomnianym „Szkicom węglem", „Jamiole", „Pamiętnikom nauczyciela", „Jankowi muzykantowi", nieśmiertelną zjednały sławę. Spotykamy je we wszystkich odłamach, we wszystkich obozach, na jakie się nawet beletrystyka nasza rozpada, chociaż nasze obecne położenie, stawiając nas w rzędzie widzów i ofiar, lecz nie aktorów, na widowni społecznych wypadków, usprawiedliwia poniekąd pesymizm, tę epidemiczną chorobę wieku naszego. Wszak podlegają jéj inne, szczęśliwsze od nas społeczeństwa?

Ogólny ten pesymizm nie znalazł — jak to powyżéj widzieliśmy — przystępu do piśmiennictwa hiszpańskiego. Alarcon jest więcéj niż pogodny. W najbardziéj awanturniczych swych powieściach roztacza *brio*, niemające nic wspólnego z satyrą. Wiara narzuca na jego dzieło barwne, wielkich kościelnych pomp szaty. Valera ukazuje jasną, zwycięską filozofię chrystyanizmu liberalnego. Sam Galdos, co się tak bacznie wpatrzył w najwstrętniejsze bagniska ludzkości, chce stanowczo zło podporządkować dobru, niedolę szczęściu. I cóż już mówić o Palacio Valdes? Wszak zapewnił pogodnéj praktyczności tryumf nad samym, tak Hiszpanom miłym, mistycyzmem, gdy znów Pereda szczęście wskazał w spełnieniu obowiązku.

„Żaden krzyż nie cięży temu, kto go z dobrą podejmuje wolą.“ Jest to wzbicie wolnéj woli na najszczytniejsze, jakie w ludzkości zająć może, stanowisko, a wolna wola jest przecie antytezą pesymizmu.

Nie sama jednak religijność usposabia Hiszpanów tak optymistycznie. Już to południowcy, z przyczyn czysto fizycznych, najmniéj podlegać mogą epidemicznéj chorobie naszego wieku. Leopardi pozostaje wyjątkiem. Tam na południu niebo tak jasne, barwy tak gorące, powietrze tak ciepłe, że życie nabiera nieznanych nam uroków, nieznanych upajających rozkoszy, woni, nieznanych olśniewających blasków. Tam panuje istotna, zdrowa, a nie chorobliwa i drżąca, jak u bohatera Zoli „*la joie de vivre.*“ Cała historya, sztuka, literatura, etyka południa, świadczą o tém aż nadto wymownie. Hiszpanie są przytém zapalczywi, na zewnątrz wylani. za mało skłonni do melancholijnych przewidzeń, aby się mogli zagłębiać w mrokach północnéj i społecznéj hipochondryi. Nawet polityczne i społeczne tragedye, szarpiące łono własnéj ich ojczyzny, są dla nich czémś w rodzaju przedstawienia teatralnego, a ich ognistą, jak wyobraźnia dzieci, goniącą za nowością, przerzucającą się z przedmiotu na przedmiot wyobraźnię pociąga lada barwa, lada dźwięk donośny i rozbrzmiały, lada obraz słoneczny. To téż beletrystyka hiszpańska, nawet gdy usiłuje być realistyczną, nawet gdy realistyczną zostanie, nie omroczy się pewno pesymizmem. Najlepszym tego poręczycielem jest obecny przedstawiciel pesymizmu w Hiszpanii utalentowany i oklaskiwany, niby *asombro*, to jest zjawisko dziwne, cudowne, poeta Ramon de Campoamor. Gotując się w młodości do zawodu lekarza, nie zaś trubadura, otarł pegaza o wszystkie bóle i nędze natury ludzkiéj, o wszystkie, wręcz nieraz temu co poezya głosić przywykła, odmienne prawdy i prawa nauki. Lecz z nędz tych, praw i prawd wysnuwa uskrzydlone poetyczne natchnienie. I chociaż dla poemacików swych, będących niejednokrotnie pieścidłami poezyi, wymyślił nową, nieznaną w Hiszpanii nazwę *dolora*, rzecz odmienną od *dolor*, boleść, a którą sam określił jako oznaczającą „mały poemat, łączący lekkość formy z uczuciem treści, a ścisłość wyrażenia ze ścisłością przewodniéj filozoficznéj myśli“, chociaż na każdéj stronicy sypie prawdy podobne do dawno znanych, dziś zaś rozskrzyczanych: „Żyć, to zapominać! to wątpić! Spokój w śmierci! Wiara i sława czcze marzenia! Prędzéj czy późniéj zło zwycięża! Rozkosz sama jest źródłem przesytu!“ i tym podobnie, pesymizm jego taki pogodny jak pesymizm Walt Whiteman'a, poety brata, że tak powiemy, miłosierdzia z po za Atlantyku, jakim zresztą bywa i być musi pesymizm panteistów, a południowcy z natury rzeczy, z tradycyi, z przyrodzenia samego są panteistami

wówczas nawet, gdy się do tego nie poczuwają, gdy wręcz panteizmowi przeciwne głoszą filozoficzne a zwłaszcza już dogmatyczne wyznania.

Dotknęliśmy wytaczanéj i u nas przed sąd publiczny kwestyi, a kwestyi—wyznać wypada—palącéj. Czy istotnie realizm, jak go o to oskarżają, wnosi w piśmiennictwo pesymizmu pierwiastki i czy istotnie pierwiastki to rozkładowe? Zarzut ten w pierwszéj swéj części słusznym jest o tyle, o ile realizm, usiłując być wierném odbiciem życia i unormowanych w pewnych danych społecznych i indywidualnych stosunków, wiernie je maluje. Jeśli stosunki są opłakane, szaleństwem byłoby oczekiwać obrazów słonecznéj pogody. Barwy ciemne z konieczności prześcigną barwy jasne. Lecz czyż barwy ciemne, dlatego *że ciemne*, są rozkładowe? Inne to już wcale pytanie, powstające z pewnego zamętu w określeniach, z pochopności, z jaką przyczyny brane bywają za następstwa i odwrotnie. Zarzut powyższy słuszny jest tam tylko, gdzie *realizm* nie poprzestając na swéj przedwiecznéj ożywczéj w dziedzinie sztuki, a bardzo ważnéj, pomocniczéj, w najszerszém tego znaczeniu, lecz nie pierwszorzędnéj roli z drugich planów, gdzie rzeczą jest jego służyć za grunt i podstawę sztuce, wysuwa się na pierwsze. Nagromadzenie barw ciemnych *umyślne*, z *umyślném* usuwaniem barw jasnych, zradza niezdrowy, gdyż sztuczny pesymizm, wnosi w piśmiennictwo rozkładowe czynniki, jakiemi są zresztą wszelkie tak w tym, jak i w odwrotnym, idealistyczno-optymistycznym kierunku poronione fałsze społeczne i etyczne.

Chcąc realizm uwolnić od powyższego zarzutu, wystarcza, aby szkolnictwo nie narzucało piśmiennictwu i sztuce z góry powziętéj modły tworzenia, aby pozostawiło twórcom swobodę, bez któréj, właściwie mówiąc, nic się w sztuce i piśmiennictwie godnego wytworzyć nie da. Ten polot swobodny jest zresztą szczęściem, właściwością każdego istotnego, jakiéj bądź zresztą skali, talentu. Sztuka, czy to dźwiękiem, dłutem, pędzlem, piórem, czy słowem posługująca się w dłoni i ustach artysty, zawsze się wzbije do naznaczonéj sobie samą swą istotą mety, do wysokości, gdzie uniknie, poziomych, na krótkowidzów przez szczegóły rzuconych cieni, a skąd obejmując całą grupę zjawisk, lub zapuszczając się w odsłoniętą głąb chociaż jednéj, bodaj najmniejszéj duszyczki, jednéj radości, jednego cierpienia, widzićć będzie daléj, głębiéj.... i wówczas nawet gdy przez łzy—jaśniéj.... Tym, co działalność sztuki zamykają w obrębie rzeczy widzialnych, dotykalnych, na tém ograniczając realizm, nie zaszkodzi przypomnieć stare, bo Arystotelesowe

słowa: „więcéj bywa prawdy w poezyi niż w historyi.“ Ta prawda poetyczna, przedwieczna, niezmienna, to ideał. On sam tylko sztukę na właściwe jéj stanowisko podnieść może. „Mędrcy naszego wieku—pisze gdzieś z właściwą sobie półłzawą żartobliwością Alarcon — utrzymują, że się nie umiera z miłości. Prawda. Lecz gdy w sercu skona uczucie prawdziwe, jakże ciężko nosić się przez resztę życia z nieboszczykiem.“

Z takim tò nieboszczykiem noszą się ci, co sądzą, że sztuki nie uśmierci znicestwienie ideału.

Tego, o powyżéj, z kilku zaledwie pobieżnie pochwyconych rysów, badanych współczesnych nam powieściopisarzach hiszpańskich powiedzieć nie można, i to właśnie stanowi główną ich zaletę.

*Wila Zyndram Kościałkowska.*

Paniom
z **Dembowskich**
Konstancyi **Morawskiej** i Leonidzie **Bojarskiej**
w dowód
przywiązania i wdzięczności.

Grudzień 1886 r.





# Z GALICYI.

*Październik 1887 r.*

Słów kilka o Wystawie krakowskiéj. — Z dziedziny polityki galicyjsko-austryackiéj. — Wrzekome zaburzenia chłopskie i ich epilog przed kratkami sądu w Samborze. — Nasza wolność prasy.

I.

Wystawa krakowska, zamknięta przed dwoma tygodniami, nie ziściła wszystkich naszych nadziei. Spodziewaliśmy się po niéj nierównie więcéj niż w rzeczywistości nam dała. Zdawało się, że miasto tak starożytne i piękne jak Kraków, posiadające tyle pamiątek historycznych i położone w miejscu tak dogodném, że człowiek ze wschodu na zachód jadący prawie nie może go wyminąć, że takie miasto będzie podczas wystawy punktem zbornym, jeżli już nie dla cudzoziemców, pragnących więcéj niż im możemy ofiarować, to przynajmniéj dla wszystkich Polaków. Tymczasem i to się nie ziściło. Nietylko Polacy tak zwani zakordonowi, nawet Galicyanie nie bardzo spieszyli na wystawę, a gdyby kto mógł tę rzecz zbadać, ręczę, że i w samym Krakowie znalazłoby się nie mało takich, którzy od początku września, do połowy października ani jeden raz nie zajrzeli na Błonia. Niesłychana ta obojętność sprawiła, że choć koszta wystawy były stosunkowo nie wielkie, niedobór jednak wyniósł przeszło 20.000 guldenów, którą to kwotę będziemy teraz musieli pokryć w części z funduszów krajowych, w części ze składek dobrowolnych. Gdy sobie przypomnę wystawę lwowską z r. 1877, niemogę nie przyznać, że tamta budziła bez porównania większy interes niż tegoroczna krakowska. W Krakowie nie było ani jeden raz 10,000 zwiedzających w jednym dniu, gdy przeciwnie we Lwowie liczba ciekawych dochodziła każdéj niedzieli do 20,000, a raz było ich nawet 30,000! A przecie Lwów jest ledwie o jednę trzecią większy od Krakowa. Przyczyny niepowodzenia są wielorakie. Pierwszą i bez zaprzeczenia najważniejszą była okoliczność, że pogłoski

wojenne, które do połowy marca r. b. denerwowały nasze społeczeństwo, nie pozwalały nawet przypuszczać, iżby wystawa mogła się odbyć w tym roku. Wprawdzie po wyjaśnieniu się horyzontu politycznego, zajęto się gorliwie przygotowaniami, lecz czasu było stosunkowo tak mało, że komitet nie mógł już wszystkiego tak przygotować, jak początkowo zamierzał. Robiono więc byle jak, a że względy oszczędnościowe odegrały tu także rolę niepoślednią, więc też nie dziw, że w dniu otwarcia wystawy, główne pawilony wyglądały po większéj części jak budy jarmarczne, ścieżki między niemi nie były ubite a ogród przed głównym budynkiem smutne robił wrażenie. Nastręczało to nie mało pola do krytyki rozmaitym osobistościom, które z tych lub owych względów były przeciwne wystawie, a że głosy niechętne prędzéj się rozchodzą niż przyjazne, i zazwyczaj większe robią wrażenie, przeto dotarły one nie tylko do najdalszych kątów Galicyi, lecz i za kordon, gdzie zdziałały swoje tj. wstrzymały wielu od podróży do Krakowa. Bieda ogólna, bez porównania większa niż przed laty dziesięciu, nie przyczyniła się także do uświetnienia wystawy, wielu bowiem producentów nie przysłało wcale swoich okazów; a niesłychany dotąd spadek rubla to sprawił, że tego roku nawet w kąpielowych naszych miejscach nie równie mniéj było gości zakordonowych niż w latach ubiegłych; nieznośna słota, trwająca z małemi przerwami, prawie przez sześć tygodni, nie pozwalała ludziom na wsi mieszkającym z domu wyjechać, to zaś że Kraków leży na samym końcu naszéj prowincyi, i że z Czerniowiec jest do niego prawie 100 mil, było dla wielu mieszkańców wschodniéj Galicyi, mimo zniżonych cen jazdy, trudnością prawie nie do przezwyciężenia, bo nie darmo mówi nasze przysłowie prowincyonalne, że „za drogi Kraków nawet za krajcar“ gdy się tego krajcara nie ma w kieszeni. Stronnictwo konserwatywne, tak zwani Stańczycy, pod których auspicyami wystawa się odbyła, utrzymywali, że wina za niepowodzenie spada głównie na stronnictwo postępowe, reprezentowane w grodzie podwawelskim przez *N. Reformę*, gdyż ono, aby swoich przeciwników politycznych z dyskredytować, nie robiło wystawie należytéj reklamy. Jako człowiek na uboczu stojący, i nie należący do żadnego stronnictwa, co z naciskiem w tém miejscu zaznaczam, mogę sumiennie poświadczyć, że organy stronnictwa postępowego w niczém wystawie nie szkodziły, a jeżeli nie bardzo zachwycały się rzeczą, podjętą i przeprowadzoną przez ich przeciwników, to czy można im się dziwić? A kiedyż to nieprzyjaciele zamiast na siebie godzić, wspierali się wzajemnie—kiedyż to ludzie byli aniołami? A zresztą czy stronnictwo konserwatywne lepiéj postępuje? Czyż podczas jubileuszu Kra-

szewskiego i na pogrzebie tego pisarza Stańczycy nie dokładali wszelkich starań, by stronnictwo postępowe fiasco zrobiło? A podczas chowania popiołów Kazimierza W. i na uroczystości Stefana Batorego czy lepiéj się działo? Nie sądzę, by panowie konserwatyści chcieli swoję winę zmniejszyć twierdzeniem, iż ongi były w grze tylko uczucia, tu zaś dotykalne interesa materyalne, bo w takim razie musiałbym ich posądzić o gruby materyalizm, który im już raz zarzucił autor „Teki Neczui". Skargi Stańczyków, zwłaszcza że nie są słuszne, nie zmniejszają więc bynajmniéj fiaska, i jeżli do kogo, to do nich można zwrócić się ze słowami: „Ach! księże prałacie, czemu tak sami nie robicie jak nauczacie." Ale mimo że wystawa nie udała się tak, jakeśmy tego pragnęli, każdy widz bezstronny musiał przyznać, że wykazała ona znaczny postęp w dziedzinie przemysłu domowego, który przed laty dziesięciu znajdowal się u nas jeszcze w kolebce. Rzemiosła rozwijają się także coraz lepiéj, i gdybyśmy tylko mieli należyte poparcie ze strony rządu, w ciągu następnego dziesięciolecia moglibyśmy wiele zdziałać. Lecz o to poparcie jakoś bardzo trudno, rządowi bowiem centralnemu stokroć przyjemniéj opiekować się prowincyami niemieckiemi, w których przemysł od dawien dawna na wysokim stoi stopniu, niż tą biedną, najdaléj ku wschodowi wysuniętą Galicyą, która w monarchii jest dotąd poczytywana za dziecko przybrane nie zaś za własne.

Rzeczą najświetniejszą, na którą Kraków zdobył się podczas wystawy, była wystawa sztuki polskiéj, urządzona w Sukiennicach na pierwszém piętrze, gdzie ją można było oglądać tak dobrze w dzień, jak wieczorami przy oświetleniu elektryczném i przy dźwiękach muzyki wojskowéj. Tu widocznie agitacye postępowców nic nie zaszkodziły, skoro sale były wciąż pełne i każdy zadowolony wychodził. Zjawisko to całkiem naturalne. Było co oglądać, więc też cisnęliśmy się chętnie do Sukiennic. Nie miejsce tu na szczegółowe opisywanie obrazów, których było kilkaset; chcąc w liście niniejszym pomieścić jeszcze dużo kronikarskiego materyału, poprzestanę tylko na uwadze, że ktokolwiek z nas chodził po tych salach wspaniałych i patrzył na dzieła pędzla polskiego, czuł w swojéj piersi dumę prawdziwą, bo nie tak łatwo znaleźć dziś naród, mogący poszczycić się naraz tylu znakomitymi artystami. Na tém polu jedna Francya może nas prześciga, ale nie Niemcy, a tém mniéj Włochy dzisiejsze. W narodzie naszym tkwi więc geniusz... Wśród stosunków, w jakich się znajdujemy, jest to w każdym razie wielką dla nas pociechą—boć ci, co mają geniusz w sobie, w każdym razie dłużéj żyją niż kretyni.

## II.

Jakie właściwie wiatry nad Europą powiały, nie wiem, jednakowoż, zdaje mi się, że nie muszą być one bardzo zdrowe i orzeźwiające, skoro wszędzie widać przygnębienie, a największe chyba w naszéj Galicyi. Dziś ludzie niczém się tu nie interesują. Niegdyś na wiadomość, że może sejm nie będzie zwołany, z łamów pism gorętszych pioruny padały, teraz ledwie ten lub ów dziennik coś bąknie o sejmie i znów grobowa cisza zalega. Gdyby nie wojna ze Stańczykami w Krakowie, którą z nimi tylko *Reforma* toczy, we Lwowie zaś gdyby nie proces o oszustwa w urzędzie cłowym, organy naszéj prasy nie miały by o czém pisać. Apatya jest tak wielka, że gdy jeden poseł składa mandat i cofa się w zacisze domowe, nikt nie pyta, dla czego to czyni; a gdy na jego miejsce trzeba drugiego wybrać, nikt na wybory nie przyjeżdża. Widać, że znajdujemy się w epoce przejściowéj, z któréj prawdopodobnie coś się wyłoni, lecz co właściwie, tego jeszcze dziś nie można przewidzieć. Stronnictwo postępowe skorzystało przynajmniéj o tyle z powszechnéj apatyi, że przy uzupełniających wyborach do rady państwa, zdobyło trzy mandaty dla swoich kandydatów. We Lwowie izba handlowa wybrała krawca Niemczynowskiego, Tarnów dał głosy Tadeuszowi Rutowskiemu, a Sambor zaszczycił swojém zaufaniem inżyniera Kuderskiego. O ostatnim z tych panów nic jeszcze nie możemy powiedzićć, gdyż go wcale nie znamy za to dwaj pierwsi nie należą do osobistości całkiem nam obcych. P. Niemczynowski zajmował się zdawien dawna bardzo gorliwie rękodziełami, a że naszych rzemieślników brał zawsze w obronę, więc między nimi zjednał sobie szeroką popularność. Im téż zawdzięcza swój wybór. Nie jest to mąż stanu, na Colę Rienziego nigdy nie pozował, wykształcenia uniwersyteckiego nie otrzymał, ale mimo to posiada on sporą dozę zdrowego rozsądku, który jest główną podstawą wszelkiéj mądrości, przytém jest energiczny, śmiały, i—o ile mi się zdaje—dla orderu nie poświęci swoich przekonań. W każdym razie zjawisko to w Galicyi nie zwykłe, pierwsze nawet w historyi naszéj prowincyi, żeby rzemieślnik został wybrany do najwyższéj reprezentacyi państwowéj. Wielu przyjęło ten wybór z lekceważącym uśmiechem, nie jeden ze zdziwieniem, a znaleźli się i tacy, którzy byli tém oburzeni. Tymczasem p. N. już w kilka dni po przyjeździe do Wiednia tak doskonale przedstawił się Kołu polskiemu, że zjednał sobie poklask ogólny. Była mowa o podwyższeniu opłat szkolnych. Nowy delegat rzekł, że podwyższenie czesnego powinno nastąpić tylko

w szkołach wyższych, ale nie w niższych, te bowiem dla każdego, najbardziéj zaś dla rzemieślników powinne być dostępne. Członkowie Koła polskiego przyjęli jego mowę bardzo przychylnie. P. Niemczynowski usiadł w izbie obok włościanina Orzechowskiego, jedynego reprezentanta chłopów w łonie naszéj delegacyi, i tém, lepiéj niż czemkolwiek innén, okazał, iż wié, gdzie jego miejsce się znajduje. Gdyby się chciał wcisnąć między szlachtę lub wyższą inteligencyą, okryłby się śmiesznością. Ponieważ tego uniknął, więc widać, że ma rozum. A o to głównie tu idzie.

D-r Tadeusz Rutowski już niejednokrotnie kusił się o wybór, lecz dopiéro tym razem zabiegi jego zostały pomyślnym skutkiem uwieńczone. Dotąd było mu zawsze przeciwne stronnictwo konserwatywne, posądzając go, acz niesłusznie, o kierunki radykalne. Jest to człowiek młody, wykształcony, z ekonomicznemi sprawami naszéj prowincyi gruntownie obznajomiony, i—jak niektórzy twierdzą—bardzo ambitny. Co do mnie nie poczytuję mu tego za wadę, przeciwnie uważam to nawet za wielki przymiot. Człowiek polityczny bez wielkiéj ambicyi, pozostanie zawsze zerem. Jak każdy żołnierz napoleoński powinien był w swoim tormistrze nosić laskę marszałkowską, tak, zdaniem mojém, każdy poseł, czujący w sobie uzdolnienie na męża stanu, powinien marzyć o tece ministeryalnéj. Gdy raz to będzie miał na pamięci, ani na chwilę nie przestanie pracować, bo zechce zdobyć tę tękę. Lecz jak u nas, wiodą do niéj dwie drogi odmienne. Jedna prowadzi przez łany zasiane bezwzględną uległością dla rządu, zapomnieniem na potrzeby własnego kraju i przyjaźnią dla wszechwładnéj kliki panów krakowskich; przeciwnie, druga jest trudna i ciernista, gdyż na téj trzeba okazać, co się umié i ile potrafi się zdziałać samemu, na niéj trzeba także postawić własny program i umiéć go obronić. Którą z nich obierze d-r Rutowski? Na to trudno jeszcze odpowiedziéć. Jeśli jednak wolno z przeszłości wnioskować o przyszłości, natenczas moglibyśmy przypuścić, że stokroć prędzéj pójdzie on drugą niż pierwszą. Stronnictwo ludzi młodych i energicznych, nie godzących się na strusią politykę naszéj delegacyi, bezustannie wzmaga się w Kole polskiém, więc téż wątpić nie można, że poseł miasta Tarnowa do niego się zaciągnie. Czy zdziała jednak wiele, to rzecz inna, i tego nikt na świecie nie zdoła przewidziéć. Stara gwardya delegacyjna, na któréj czele stoi czcigodny poseł Koła, p. Grocholski, truchleje na samę myśl, że młodzi gotowi wprowadzić naszą politykę na nowe tory; truchleje, bo nie chce wiedziéć, że w świecie wszystko się odnawia, że starzy z widowni ustępują, a młodzi na ich miejsce przychodzą, że jak nikt biegu rzeki nie cofnie, tak też nikt nie

zmieni odwiecznego rzeczy porządku. Gdyby jednak owi starzy zastanowili się spokojnie nad tém, co w chwili obecnéj dzieje się w łonie czeskiéj delegacyi, natenczas sami musieliby przyznać, że ich polityka już się przeżyła i że czas najwyższy, by kraj inną rozpoczął. Minister oświaty d-r Gautsch poznosił rozmaite szkoły czeskie. Na to Czesi podnieśli krzyk gwałtowny, a chociaż rząd groził im, że jeżeli nie ucichną, ugodowy gabinet Taaffego poda się do dymisyi, poczém przyjdą do steru osobistości im niechętne, mimo to Czesi w opozycyi ani na chwilę nie ustali. Skutek zaś będzie niewątpliwie ten, że p. Gautsch rad nie rad im ustąpi. Zapytuję teraz, czy w ciągu ostatniego dziesięciolecia, delegacya galicyjska choć jeden raz zdobyła się na taką energią? Nigdy! Ilekroć zdawała się przechodzić do opozycyi, sama pogróżka, że gabinet ugodowy upadnie, robiła ją potulną i całkiem naginała do woli rządu. A tymczasem energiczném wystąpieniem ileż można było nie raz wytargować! Nam nie idzie o zmianę polityki naszéj delegacyi, innéj bowiem niż ta, jaką ona dotąd prowadzi, my w Austryi miéć nie będziemy, ale czegobyśmy chcieli, to innéj taktyki, dotychczasowa bowiem okazywała się prawie zawsze niezręczną. Obowiązkiem jest teraz młodych przekonać swoich starszych kolegów, że bez narażenia kraju na niebezpieczeństwa potrafią lepiéj niż oni „drzéć łyka“ w Wiedniu.

Skorom wspomniał wyżéj o ministrze oświaty, więc z obowiązku kronikarskiego muszę zanotować, iż niedawno temu przyjechał on do Galicyi wrzekomo dlatego, że chciał się naocznie przekonać, jakie są potrzeby naszego szkolnictwa. Począwszy od Krakowa a skończywszy na Czerniowcach, był we wszystkich większych miastach, i nigdzie nie znalazł nic do zganienia. Ta nadzwyczajna uprzejmość każe nam przypuszczać, że pan minister myślał u nas nierównie więcéj o sporze z Czechami, niż o naszém szkolnictwie. Wszak gdyby Galicya połączyła się przeciw niemu z koroną św. Wacława, pozycya jego w gabinecie nie byłaby możliwą do utrzymania. Uśmiechał się tedy do nas i chwytał nas za serce, byśmy zbyt gorąco nie zaczęli Czechów popierać. I niech nikt nie sądzi, że się na nas zawiódł. Wszak za grzeczność brutalnością nigdy nie odpowiemy. Leży to już w naszym charakterze....

Rozmawiając temi dniami z pewnym wybitnym Rusinem, zapytałem go między innemi, o ile p. Gautsch ziścił nadzieje jego rodaków. Wzruszył ramionami, uśmiechnął się boleśnie i rzekł: „Zawiedliśmy się na nim.“ Istotnie Rusini boleśnie na nim się zawiedli. Łudził ich pięknemi obietnicami, że wbrew uchwale sejmowéj, zaprowadzającéj tylko ruskie paralelki w gimnazyum przemyskiém,

w mieście tém sam rząd założy całe gimnazyum ruskie, tymczasem ledwie alarmy wojenne ucichły, uchwała sejmowa otrzymała sankcyą cesarską, a sprawa odrębnego gimnazyum ruskiego poszła do kosza. Snać w chwili obecnéj nie muszą się zbierać chmury na naszéj granicy wschodniéj, skoro rząd nie myśli więcéj kokietować z Rusinami. Fakt drugi jest nie mniéj wymowny. Rusini starali się oddawna o to, by w ministeryum oświaty zasiadał choć jeden Rusin, obznajomiony ze stosunkami szkolnemi. Minister rzekł teraz: dobrze i powołał do swego boku profesora gimnazyalnego, Lewickiego, wprawdzie rusina z pochodzenia, lecz takiego, który zasiadając przed dwoma laty w radzie powiatowéj przemyskiéj, sam jeden był przeciwny założeniu ruskiego gimnazyum w tém mieście. Wybór téj osobistości rozgoryczył Rusinów, zwłaszcza ich odcień ukraiński, gdyż boją się oni, by wskutek tych niepowodzeń nie nabrało nowych sił stronnictwo nieprzejednanych, tak zwane świętojurskie, które podczas procesu Olgi Hrabar doznało porażki dotkliwéj. W obozie rusińskim widać wogóle wielkie rozbicie. Organ starych *Słowo* przestał wychodzić dla braku abonentów, a ugodowy *Mir*, wydawany głównie funduszami metropolity, został niespodziewanie zamknięty, wrzekomo dlatego, że rząd nie miał być całkiem zadowolony z kierunku tego pisma. Powiadają, że namiestnik powiedział to wprost metropolicie, podczas bytności arcyksięcia w Galicyi. Metropolita tém obrażony, zatelegrafował do Lwowa i kazał zawiesić wydawnictwo *Miru*. Dziś więc mamy właściwie tylko dwa ruskie organy. *Nowy Prołom*, hołdujący tym samym zasadom, co zgasłe *Słowo*, i ukraińskie *Diło*. To drugie będzie od nowego roku wychodziło codziennie. Znaczyłoby to w każdym razie, że jest ono przedstawicielem najsilniejszego stronnictwa między Rusinami, gdyż jak dotąd jeszcze z nich żadne nie zdobyło się na pismo codzienne.

## III.

Sprawą bardzo doniosłą, a zdaniem mojém nierównie ważniejszą niż podróż arcyksięcia, wycieczka ministra oświaty i wystawa krakowska, była dla nas w tym roku sprawa tak zwanych zaburzeń chłopskich w niektórych powiatach, i o niéj téż muszę dziś najobszerniéj napisać. Ponieważ szło tu głównie o nową ustawę drogową, przeto od téj trzeba zacząć.

Opieka nad drogami tak krajowemi, jak powiatowemi i gminnemi, należy do władz autonomicznych. Pierwsza ustawa drogowa została uchwalona przez sejm w roku 1866. Miała ona jednak roz-

maite niedogodności i dlatego z wielu stron dawały się słyszéć głosy, że ją koniecznie trzeba zmienić. Zmiana nastąpiła w roku ubiegłym, i dziś mamy nową ustawę. Prawodawcy nasi zastanawiali się głównie nad pytaniem, w jakim stosunku powinny być rozdzielone koszta potrzebne na utrzymanie dróg gminnych, bo przecie trudno wszystkich mieszkańców wsi podciągnąć pod jeden strychulec. Wszak w każdéj włości są ludzie bogaci, mający konie, woły i bydło rogate, są biedacy chodzący wciąż pieszo, jest nareszcie dwór, mający niekiedy kilkaset sztuk inwentarza, i wysyłający rok rocznie nie jeden wóz naładowany pszenicą, żytem lub ziemniakami. Zdawałoby się, że wśród takich stosunków, ustawa drogowa jedynie wtedy byłaby całkiém sprawiedliwą, jeżliby ciężary były rozdzielone w stosunku do posiadanéj przestrzeni ziemi, względnie do uiszczanego podatku. Znaczy to innemi słowy, że kto najczęściéj z drogi korzysta i najbardziéj ją psuje, ten na jéj utrzymanie najwięcéj powinien łożyć. Ustawa dawniejsza orzekała, że dwór daje materyał, gmina zaś pracę. W okolicach, gdzie jest dużo małych rzeczułek, zwłaszcza na całém Podgórzu, ciężar na dwór spadający był wielki, tam bowiem trzeba było dawać niezmierną ilość materyału na mosty; przeciwnie, gdzieindziéj dwór był całkiém wolny od wydatków. Ja sam, który to piszę, w dwóch moich wsiach położonych w pobliżu Dniestru, w Nowém Siele i w Kornelówce, przez przeciąg siedmiu lat byłem tylko jeden raz zmuszony dać materyał na most, a zresztą nie łożyłem nic na drogi. W dodatku dwór nie był obowiązany zwozić materyał; on go tylko w lesie wyznaczał, a zwózką musiała się gmina zająć. Obok dworu korzystał z téj ustawy także chłop bogatszy, robociznę bowiem musiał dawać każdy numer we wsi, bez względu na to, czy w chacie siedział bogacz, mający konie, woły i bydło, czy téż prosty wyrobnik, nie posiadający nic więcéj krom strzechy nad głową. W nowéj ustawie dawniejsza zasada, że dwór daje materyał i to w lesie, bez zwózki, gmina zaś robociznę — została w zupełności utrzymana. Oznaczono tylko bliżéj, w jakim stosunku mają się odbywać te prestacye. Oto dwór daje na rok jedynie tyle materyału, żeby jego wartość nie przekraczała 5% płaconych przezeń podatków bezpośrednich, gmina zaś od każdego numeru jest obowiązana dać 4 dni piesze robocizny. A jeżeli dwór nie potrzebuje dać w roku więcéj niż 1/5 przypadającego nań materyału? Natenczas 4/5 zostają przy nim. A jeżeli jaki chałupnik tylko jeden dzień w roku odrobi? To za pozostałe trzy dni musi złożyć należytość w gotówce do funduszu drogowego, którym zarządza wydział powiatowy. Jak się z tego okazuje, zasada, tkwiąca w nowéj ustawie, nie opiera się na bez-

względnéj sprawiedliwości, gdyż stanowisko dworu jest wygodniejsze niż gminy, a chłopa bogatego korzystniejsze niż biédaka. Nie koniec na tém. Ponieważ gminy nasze o drogach nie lubią pamiętać, przeto sejm uchwalił, aby sprawa dróg gminnych spoczywała w rękach rady powiatowéj, względnie jéj wydziału, który zarządza funduszem drogowym i ustanawia gdzie i jaka droga ma być budowaną. Rzecz ta gminom bardzo się niepodoba, gdyż one chciałyby u siebie same rządzić. Sejm jednak żadną miarą nie mógl inaczéj postąpić, bo gdyby gminom zostawił wolną rękę w tym kierunku, dobrych dróg nie mielibyśmy w Galicyi do skończenia świata. W nowéj ustawie jest jeszcze rzecz jedna, którą jako bardzo dobrą podnieść tu należy. Oto fundusz drogowy składa się z nieuiszczonych w naturze, a wypłaconych pieniędzmi prestacyi chłopskich, tudzież z dodatku drogowego, *opłacanego tak przez mniejszych, jak przez większych właścicieli, w stosunku 3% od podatków bezpośrednich.* Tu jest już rozdział bezwzględnie sprawiedliwy. Gdy nową ustawę po wsiach ogłoszono, chłopi zaczęli na nią sarkać. A sarkali tak dobrze Rusini w powiatach: horodeńskim, tłumackim i husiatyńskim, jak i Mazurzy w cieszanowskim, łańcuckim, kolbuszowskim i rzeszowskim. Ten i ów mniemał, że jest tu w grze jakaś agitacya pokątna, tymczasem była to tylko groźna opozycya niektórych gmin przeciw ustawie, nie opartéj według ich mniemania na podstawie istotnie sprawiedliwéj. Największego rumoru narobiła duża osada mazurska, Tuligłowy, w powiecie rudeckim, położona o kilka mil od Lwowa. Tam przyszło do formalnych rozruchów, skutkiem czego żandarmerya użyła broni. Kilku chłopów zostało ranionych, jeden zabity, a około trzydziestu zakuto w kajdany i odprowadzono do Sambora, gdzie ich wtrącono do więzienia sądu obwodowego. Proces rozpoczął się 3-go października i trwał 5 dni. Zdaje mi się, że całą sprawę najlepiéj wtedy się pozna, gdy bieg procesu przytoczę w wiernem streszczeniu.

Wszyscy oskarżeni przeczyli by byli winni, oświadczając po większéj części, że tylko to robili, co inni członkowie gminy. Saméj ustawy drogowéj prawie nie dotykali przy rozprawie, prowadząc swą obronę w ten sposób, że nie buntowali się przeciw ustawie saméj, ale tylko nie wiedzieli, po co gminy połączono z dworami, po co wójtowie mają przedkładać spisy opatrzone pieczęcią gminną i podpisem wójta, na co nareszcie mają być kwity wydawane. Wszędzie mówiono, że idzie tu o pańszczyznę. Głównie szło gminom o to, by wójtowie nie podpisywali spisów włościan, zobowiązanych do prestacyi drobnych, bo jakby podpisali, toby znaczyło, że gminy to przyjmują, doświadczenie zaś nauczyło ich, że

co „podpiszesz piórem, tego nawet wołem nie wyciągniesz“. Gminy chciały więc wstrzymać przeprowadzenie nowéj ustawy drogowéj dopóki by się nie wyjaśniło, czy to przypadkiem nie sami tylko panowie tak uczynili, i czy o tém wié cesarz. W tym celu na zjeździe wójtów w Tuligłowach zapadła była uchwała, że chłopi muszą do cesarza wysłać deputacyą. Początek ruchu wyszedł z mazurskiéj wsi Tuligłowy, chociaż i w wielu innych miejscowościach zapanował był niepokój, w powietrzu bowiem wisiała straszna mara pańszczyzny. Tamtejsi gospodarze: Józef Wojtanowski i Kazimierz Wandzicz, poszli byli do zarządcy dóbr, p. Lubina Grodzkiego, aby w sprawie nowéj ustawy drogowéj jego rady zasięgnąć; gdy zaś od niego wyszli, rozeszła się zaraz wieść, iż pańszczyzna będzie przywrócona. I oto co ją zrodziło: Gdy włościanie skarżyli się, iż nowa ustawa zbyt wielkie ciężary na gminę wkłada, bo nie każdy numer będzie mógł w naturze dać robociznę, wtedy p. G. rzekł, że dwór weźmie chętnie na siebie odbywanie przy drogach robót szarwarkowych, *a za to gmina odrobi od numeru 4 dni na pańskim łanie*. Wzmianka o robociznie na pańskim łanie wywołała widmo pańszczyzny i w najwyższym stopniu gminę zaniepokoiła. Nadomiar złego, pisarz dworski, gdy dziewczętom płacił za robotę, a te żądały podwyższenia płacy, niebacznie zawołał: „Bierzcie co daję, bo na przyszły rok będziecie robiły za darmo i jeszcze kije brać będziecie!“ Lekkomyślne te słowa były oliwą do ognia dolaną.

Kiedy ruch pojawił się w Tuligłowach, starostwo rudeckie wysłało tam komisarza, p. Boguckiego, by wyśledził, zkąd i z jakich przyczyn powstał opór przeciw ustawie drogowéj. Komisarz zeznał pod przysięgą, że zjechawszy do Tuligłów w asystencyi 5-ciu żandarmów, nie zastał we wsi ani wójta, ani jego zastępcy. Gdy chciał pojedynczo przesłuchać niektórych członków gminy, zeszła się cała gmina przed dom, w którym on się znajdował i zaczęła krzyczéć, że nikogo osobno nie pozwoli przesłuchiwać, gdyż wszyscy członkowie gminy są jednéj myśli. P. Bogucki wyszedł przed dom i zaczął przedstawiać gminie bezskuteczność oporu i jego smutne skutki, ale nadaremnie. Wkrótce zjawił się także wójt pośród zgromadzonéj gminy, a na wezwanie komisarza, by przyszedł złożyć protokół, odrzekł:

„Sam przez się chętnie bym poszedł, ale nie mogę, bo mi gmina nie pozwala“. W taki sam sposób odzywali się i inni członkowie gminy, z których każdy oddzielnie nie był nawet przeciwny wysłaniu spisów, ale żaden nie chciał łamać solidarności gminnéj. Ostatnie słowa gminy brzmiały: „Wszystkich nas wystrzelajcie do jednego, ale my od swego nie odstąpimy!“ Świadkowie, tak wójci,

jak włościanie, zeznawali przeważnie na korzyść oskarżonych, tém ich tłómacząc, że robili oni jedynie to, co wszyscy członkowie gminy. W pewnéj wsi rozszerzono wieść, że wójt sprzedał wieś za 90 guldenów. Mniejsze gminy powoływały się na to, co zrobią większe, większe zaś, co zrobią Tuligłowy. We wsi Bereziu gmina wypędziła posłańca sądu karnego, a ludzie wpadli do chaty wójta i pieczęć mu odebrali, bojąc się by ich nie zaprzedał. Gdzie indziéj znów uradzono, że kobiety mają na wójta napaść i pieczęć mu odebrać. W pewnéj wsi powiedziano wójtowi: „Ty wójcie w wojsku nie służyłeś, nie wiész zatém co się w świecie dzieje i łatwo możesz nieszczęścia narobić“. W ogóle jedynym motywem oporu było przekonanie włościan, że nowa ustawa drogowa jest całkiem zła, bo wprowadza pańszczyznę. Od każdego można było usłyszéć: „Pańszczyzna na wieki wieczne!“ Upiora zaś tego wywołał ten paragraf nowéj ustawy, który mówi, *że zarząd drogowy mają składać wspólnie gmina i dwór, tj. wójt i przełożony obszaru dworskiego.* Utwierdziło ich w tém przekonaniu także to postanowienie nowéj ustawy, które wymaga od każdéj chaty wieśniaczéj, bez względu na jéj zamożność 4 dni robocizny lub wynagrodzenia w gotówce, czyli, jak się chłopi wyrażali: „Kto ma tylko cztery słupy, ten musi także odrobić rocznie 4 dni szarwarku“. Najciekawszą postacią w procesie był wójt z Koropuża, Fedko Bobelak, człowiek 60-cio letni, niezamożny i niepiśmienny, który występował jako świadek. Ten na wezwanie przewodniczącego oświadczył, że gdy zgromadzonéj gminie kazał głośno odczytać nową ustawę drogową, między włościanami powstał wielki płacz. Bobelak widząc, że nowa ustawa jest dla chłopów krzywdząca natychmiast podał swą rezygnacyą z posady wójta, ale starostwo jéj nie przyjęło. Gdy z Tuligłów wezwano wójtów na zjazd, Bobelak, tak samo jak i inni jego koledzy, nie objęci aktem oskarżenia, lecz stający przed sądem tylko w roli świadków, pojechał tam natychmiast, pierwszy wystąpił przeciw nowéj ustawie i był za oporem. Gdy starostwo na niego naciskało by przedłożył spis, oświadczył, że gmina odebrała mu pieczęć, chociaż pieczęć była u niego. A gdy po dalszych wsiach rozeszła się pogłoska, że do Koropuża przyszło wojsko, Bobelak podyktował pewnemu włościaninowi list, który *circulando* miał iść po wsiach okolicznych, że w Koropużu wojska nie ma, że gminy powinny trzymać się solidarnie, spisów nie przedkładać i wzywał wójtów na nowy zjazd do Komarna. Bobelak mówił, że robił wszystko dla dobra gminy i zakończył temi słowy: „Niechaj mnie tutaj zaraz potną, powieszą, ale ja nic złego nie zrobiłem. Zawsze starałem się spełniać jak najlepiéj obowiązki wójta, a przez moje 23 mosty przejechał sam najjaśniejszy pan!“ Po prze-

prowadzonéj rozprawie i postawieniu przez sąd ławie przysięgłych 49-ciu równobrzmiących pytań w kierunku zbrodni zaburzenia spokoju publicznego, nastąpiły przemówienia prokuratora i obrońców. Pierwszy usiłował winę każdego z osobna udowodnić, lecz to mu się nie powiodło. Co do adwokatów, ci nie zapuszczali się wcale w szczegóły, nie zbijali winy każdego z podsądnych z osobna, ale tylko ogólnie wszystkich usprawiedliwiali. Jeden z nich starał się przedewszystkiém dowieść, że u oskarżonych nie było złego zamiaru, a tém mniéj nie było nienawiści do władz, bez czego nie może być mowy o zbrodni, przeciwnie, wszyscy oni są lojalnymi poddanymi n. pana. Były tylko wątpliwości, krytyka ustawy, nic więcéj. Przedewszystkiém szło im o wyjaśnienie sprawy. Zresztą trzeba mieć i to na uwadze, że lud nasz niestety nie ufa władzom autonomicznym. Kto temu winien, to rzecz inna. Chłop we władzy autonomicznéj nie widzi władzy we właściwém tego słowa znaczeniu, akcya zaś starostwa była spóźniona. Po przemówieniu obrońców, ława przysięgłych wydała werdykt uniewinniający wszystkich oskarżonych, z wyjątkiem jednego, który za zbyt gorliwą agitacyą poszedł na sześć miesięcy do kozy.

Ktokolwiek był w Samborze na rozprawie ostatecznéj i spokojnie słuchał zeznań tak świadków jak oskarżonych, wyniósł to głębokie przekonanie, że ani w Tuligłowach, ani nigdzie indziéj nie było w grze ukrytéj agitacyi socyalistycznéj, jak to niejednemu przedtém się zdawało, lecz że zaburzenia spowodowała sama ustawa drogowa, która w wielu punktach jest wadliwa. I przyznał to także namiestnik, ponieważ w kilku miejscowościach dopiéro wtedy chłopi się uspokoili, gdy on do nich przyjechał i rzekł, że sam dołoży starań, by teraźniejsza ustawa była jak najprędzéj zmieniona. W chwili, gdy te słowa piszę, dochodzą nas znów głosy z kilku dalszych powiatów, że chłopi się burzą. I zdaje mi się, że niezadowolenie dopóty nie ustanie, póki ustawa w punktach najważniejszych nie ulegnie zmianie radykalnéj. Sprawą tą powinniby się zająć posłowie włościańscy, zasiadający w sejmie i wnieść ją jeszcze w tym roku przed *plenum* izby. Że szlachta, stanowiąca większość tak w sejmie, jak w radach powiatowych, radaby jak najmniéj ciężarów ponosić, to rzecz zrozumiała, każdy bowiem człowiek pragnie płacić mniéj, nie więcéj; zresztą szlachta nasza tak już podupadła, że byle co może ją dobić pod względem materyalnym; z drugiéj jednak strony jest ona na tyle patryotyczną, że niewątpliwie poniesie każdą ofiarę, jeźli tylko zobaczy, że w inny sposób nie uspokoi ludności wiejskiéj. Od ludzi tedy dobréj woli zależy przekonać ją w sejmie, iż częściowa zmiana nowéj ustawy drogowéj jest niezbędną.

## IV.

Dużo mówi się po za granicami Galicyi o wolności prasy w Austryi, lecz kto się bliżéj przypatrzył naszym stosunkom prasowym, ten doznał niemiłego zawodu. Nam wolno wprawdzie wszystko wydrukować, lecz panu prokuratorowi wolno zato wszystko skonfiskować. A odbywa się to w sposób następujący: Wydawca czy to dziennika, czy broszury nie mającéj więcéj niż 5 arkuszy druku, jest obowiązany przed wypuszczeniem ich w świat złożyć jeden egzemplarz w prokuratoryi państwa, drugi w policyi. Jeżli prokurator znajdzie w nim cokolwiek takiego, co mu się niepodoba, może natychmiast zarządzić konfiskatę całego nakładu, i to się u nas nazywa postępowaniem „obiektywném.“ Zachodzi teraz pytanie, za co można pismo skonfiskować. Właściwie za wszystko. Ustawodawstwo austryackie jak w każdym innym kierunku, tak i w sprawach prasowych, jest niezmiernie elastyczne. Wszystko, co się da podciągnąć pod rubrykę bezpieczeństwa państwa, zaburzenia spokoju publicznego, moralności publicznéj i t. p., może uledz konfiskacie. Powiedziałem „może“, ponieważ sąd o tém, co jest karygodne a co nie, zawisł przedewszystkiém od prokuratora samego, który ma władzę dyskrecyonalną. Często się téż zdarza, że to, co prokurator lwowski uznał za karygodne, krakowski jego kolega przyjął jako drobnostkę całkiém niewinną, skutkiem czego jedne i te same artykuły bywają w jedném miejscu konfiskowane, w drugiém wolno puszczane. Słowem nie prawo, lecz widzimisię prokuratora odgrywa tu główną rolę. A do jakiego stopnia niektóre dzienniki bywają prześladowane, okazuje się najlepiéj z tego, że np. *Reforma* krakowska została w ciągu b. r. 18-cie razy skonfiskowaną. Jeżeli koszta jednego numeru obliczę w przecięciu tylko na 100 guldenów, natenczas sam pan prokurator przyprawił ją już dotąd o stratę 1800 guldenów, co dla pisma, stojącego o własnych siłach, jest klęską ogromną. Wogóle, jeżli czém, to częstemi konfiskatami można każdy organ niezawisły najłatwiéj zgubić. Gdy prokurator jakie pismo skonfiskuje, przedkłada je sądowi, prosząc o zatwierdzenie swego zarządzenia. Na sto wypadków, nie wiem, czy raz się zdarzy, by sąd odmówił panu prokuratorowi téj grzeczności. Gdy zaś sąd uzna rzecz za godną konfiskaty, wtedy wydawca ma prawo żądać, by nad tym przedmiotem trybunał prasowy zastanowił się na rozprawie publicznéj, na któréj jawią się obie strony interesowane: prokurator i wydawca. Pierwszy broni konfiskaty, drugi udowadnia, że była niesprawiedliwa. Jeżeli i tym razem sąd przyzna racyą prokuratorowi, natenczas *finita la comedia*, w razie

zaś przeciwnym następuje uwolnienie z pod klucza skonfiskowanego artykułu, który jednak jako spóźniony nie ma już wartości ani dla wydawcy, ani dla czytelnika. Lecz i to nie zawsze się zdarza. Prokurator przegrawszy sprawę przed trybunałem prasowym, zakłada najczęściéj apelacyą i rzecz cała idzie w odwłokę. Tak czy owak, dla wydawcy zawsze nieprzyjemność, mitręga i strata niewątpliwa. A publiczność jest do tego stopnia niewdzięczną, że miasto pochwalić za to wydawcę, iż broniąc jéj interesu na stratę się naraża, bierze mu jeszcze za złe, iż bezpotrzebnie wchodzi w kolizyą z ustawą prasową. Skorom dotknął tego przedmiotu, więc przy téj sposobności muszę opowiedzieć fakt nadzwyczaj oryginalny i charakterystyczny, odnoszący się do mojéj własnéj karyery wydawniczéj. Kilkanaście lat temu, gdy byłem wydawcą wychodzącego do dziś we Lwowie „Dziennika Polskiego", umarła matka cesarza, arcyksiężna Zofia. Gdy wiadomość o jéj śmierci doszła do Lwowa, Jan Lam napisał dla mego dziennika fejleton, cały poświęcony królowéj Bonie. Niezrównaném swojém piórem scharakteryzował on tę monarchinią, jako plagę narodu, w którym żyła, i odmalował radość powszechną po jéj śmierci. Ledwie fejleton w druku się pojawił, bezzwłocznie zaciężyła nad nim dłoń pana prokuratora. Sąd konfiskatę zatwierdził, i wyrok swój motywując, wyraźnie powiedział, że pod królową Boną, trzeba właściwie rozumiéć arcyksiężnę Zofię. Każdy szczegół w kronice zawarty, był przez sąd tak świetnie komentowany, że nikt już nie mógł wątpić, iż Lam arcyksiężnę Zofię w rzeczy saméj miał na myśli. Gdy mi wyrok sądu wręczono, zdumienie moje było niesłychane, ponieważ na mocy ustawy mogłem ogłosić bądź tylko jego konkluzyą, bądź téż wszystko od początku do końca. Nie namyślając się długo, kazałem wydrukować cały wyrok *per longum et latum* i odnośny numer rozrzuciłem po kraju w niezmiernéj ilości egzemplarzy. Nigdy sąd w Galicyi bardziéj się nie skompromitował. To, czego poprzednio ledwie najdowcipniejsi mogli się domyślać, było teraz tak dobrze wytłómaczone, rozebrane i wyjaśnione, że już chyba nikt nie wątpił, że Lam istotnie miał arcyksiężnę Zofię na myśli. Prokuratorya była skonfundowana, ale złemu nie mogła zapobiedz, ponieważ wyroku sądowego nie wolno jéj konfiskować. Następstwem tego kroku było najpierw to, że dziennik za śmiałe wystąpienie zyskał 500 nowych przedpłacicieli, co w naszych stosunkach było zwycięstwem niesłychaném, a potém że sądy nie pozwalają odtąd drażliwych motywów drukować.

Niedawno temu, jakiś pisarz, zatrudniony w twierdzy przemyskiéj, wykradł szczegółowy plan jednego fortu i umknął z nim koło Sieniawy za granicę. Wszystkie pisma o tém doniosły bezkarnie,

i jeden tylko „Kuryer Lwowski“ został za to skonfiskowany. W roku ubiegłym zdarzył się jeszcze ciekawszy wypadek. Ówczesny prezydent sądu wyższego, br. Schenk najął dla tegoż sądu na lat 12 kamienicę swojego zięcia, i ma się rozumiéć, pieniędzmi rządowemi doskonale za to mu zapłacił. „Dziennik polski“ doniósł o tém gołosłownie i został skonfiskowany. Zapyta kto, dla czego? Dla tego, że ustawa prasowa nie pozwala takich faktów ogłaszać, które mogą „podać w pogardę funkcyonaryusza państwowego.“ Lecz jeźli w rzeczy saméj tak było, to kto właściwie na karę tu zasłużył, czy wysoki urzędnik, który dopuściwszy się czynu nie honorowego, mógł być za to pogardą okryty, czy dziennik, który o tém doniósł? Ustawa prasowa jest więc tak elastyczna, że cokolwiek prokurator chce, może z niéj zrobić.

Teraz przytaczam jeszcze fakt jeden, niestety, aż nadto prawdziwy, który wydarzył się przed dwoma tygodniami.

Syn ministra finansów, p. Dunajewskiego, młodzieniec 26-cio letni, który dopiero przed czterma laty studya ukończył, został mianowany starostą w Żywcu. Odkąd Galicya należy do Austryi, a więc w ciągu 115 lat, nikt jeszcze nie zrobił u nas tak szybko karyery. Wprawdzie w Austryi jest w zwyczaju, że arcyksiążęta już w kolebce zostają feldmarszałkami, i dla tego późniéj tak doskonale kampanie wygrywają, lecz żeby zwykły śmiertelnik, za którym jedynie to przemawia, iż jego papa jest ministrem, mógł w 26-tym roku być naczelnikiem powiatu, liczącego blisko 200,000 mieszkańców, o czémś podobném u nas dotąd nie słyszano. Stało się jednak wbrew wszelkiéj przyzwoitości i młody pan Dunajewski objął w Żywcu urzędowanie. Miasto okazało się jednak za małe dla tak zasłużonego dygnitarza; p. starosta nie mógł znaleść dość obszernego dla siebie mieszkania. Ale mieszkał tam pewien urzędnik sądowy, który miał piękny apartament. Pan starosta udaje się więc do kogo należało, i urzędnik w zamian za mieszkanie zostaje przeniesiony do Krakowa, co w najlepszym dlań razie mogło go spotkać dopiero po 10-cio letniéj gorliwéj służbie. Głos oburzenia dał się słyszéć między sędziami. *Reforma* opowiedziała ten fakt bez żadnych komentarzy i została skonfiskowaną. Ale nie koniec na tém. Jeden z deputowanych niemieckich wniósł z tego powodu interpelacyą w radzie państwa i zapytał ministra spraw wewnętrznych, czy wié co o tém, że wola młodziutkiego starosty żywieckiego ma większe znaczenie niż prawo. *Reforma* powtórzyła tę interpelacyę i po raz drugi została skonfiskowaną. Tego chyba już za wiele. § 28 ustawy prasowéj wyraźnie orzeka w końcowym swoim ustępie: „Nikt nie może być pociąganym do odpowiedzialności za zgodne z prawdą

podanie publicznych rozpraw rady państwa lub sejmów". A mimo tak jasnego brzmienia, prokurator zabrał dziennik, i niewątpliwie znajdzie jakiś inny paragraf w ustawie, pod którego skrzydła opiekuńcze schroni się przed atakami p. Romanowicza. Rozprawa publiczna nad tym przedmiotem odbędzie się w ciągu listopada r. b. i niewątpliwie będzie zajmująca.

Dziennikarstwo galicyjskie napróżno wzywa polską delegacyą, by raz przecie postarała się o zniesienie „obiektywnego postępowania"—większość delegacyi jest na to głucha, pisma nasze wycieńczane stemplem i gnębione ręką prokuratora, dźwignąć się nie mogą—lecz to wszystko nic nie znaczy, bo przecie mamy w zasadzie wolność prasy.

*Józef Rogosz.*





# SZKOLNICTWO W PRUSIECH.

Chcąc czytelnikowi na całość stosunków szkolnych w monarchii pruskiéj dać niejaki pogląd, sięgnąć muszę do obszernego memoryału, pomieszczonego w téj sprawie przez pruskie ministeryum oświaty w *Centralblatt für die gesammte Unserrichtsverwaltung* i w *Jahrbuch für die amtliche Statistik des preussischen Staates* z roku 1883. Pomieszczane bowiem w *Centralblatt* coroczne sprawozdania o bieżącym stanie szkolnictwa pruskiego, są, co się tyczy szkół elementarnych, zbyt sumaryczne, aby ku temu celowi wystarczyć mogły.

Podług tych tedy wykazów, było w r. 1882 w Prusiech 33040 szkół ludowych z 65968 klasami, 59917 nauczycielami i 4339729 dziećmi. Szkół średnich dla chłopców było ogółem 512 z 8002 nauczycielami i 152828 uczniami. Seminaryów nauczycielskich było 111 z 9955 uczniami. Szkół dla głuchoniemych było 52 z 338 klasami, 419 nauczycielami i 3792 uczniami. Szkół dla niewidomych było 13 z 50 klasami, 117 nauczycielami i 897 uczniami. Uniwersytetów było 11 z 1051 nauczycielami i 11948 uczniami. Razem było zatém wymienionych zakładów naukowych 33739 z przeszło 69506 nauczycielami i 4519149 uczącymi się. Dodawszy do tego szkoły żeńskie z mniéj więcéj 100000 uczennic (*), daléj szkoły dla młodzieży rzemieślniczéj, tak zwane *Fortbildungsschulen*, z 68766 uczniami, nadto młodzież uczącą się w rozmaitych szkołach fachowych, niepodlegających kontroli ministeryum oświaty, jak szkoły oficerskie, kadeckie i podoficerskie, wojskowe domy sie-

(*) Na rok 1878 podaje wyżéj cytowany Rocznik statystyczny ilość szkół dla dziewcząt na 336 z 2207 klasami, 2895 nauczycielami i 72039 uczenicami. Spisy te są jednakże, jak sam rocznik podaje, niedokładne.

rot, szkoły górnicze, rolnicze i inne, otrzymamy ogólną sumę uczącéj się młodzieży w Prusiech, co najmniéj, na 5 milionów, co przy mniéj więcéj 27 milionach ludności ogólnéj, daje 1 uczącego się na 5 głów ludności.

Z tego wszystkiego, cośmy powiedzieli, wynika wniosek, iż chcącemu się uczyć w monarchii pruskiéj sposobności do nabrania wykształcenia nie zabraknie. Inna rzecz z pytaniem, czy pominąwszy szkoły fachowe, szkoła pruska, a mianowicie szkoła ludowa i szkoły wyższe, stoją na wysokości należnéj i czy odpowiadają zupełnie potrzebom czasu. Przyznajemy się otwarcie, iż z wielu względów należymy do admiratorów szkolnictwa pruskiego i dalecy jesteśmy od tego, abyśmy się w sądach naszych powodować mieli jakowémś z góry powziętém uprzedzeniem. Ale głosy niezadowolnienia, odzywające się coraz częściéj w sejmie i prasie, ze strony rodziców i nauczycieli, nie pozwalają nam zamykać oczu na tę prawdę, iż szkoły pruskie schodzić poczynają ze swéj dawnéj wysokości i że rozwój ich wewnętrzny nie odpowiadał ni w części ich kolosalnemu rozwojowi zewnętrznemu. Mianowicie ów rok radykalnego przewrotu w stosunkach zewnętrznych i wewnętrznych monarchii pruskiéj, rok 1870/71 wyrył i na szkole swe głębokie ślady, wnosząc w stosunki szkolne owo chaotyczne zamieszanie, jakie się od téj pory wszczęło w życiu ogólném narodu. Ów patryotyczny frazes o roli pruskiego bakałarza pod Sadową zawrócił głowę społeczeństwu pruskiemu: nie niezrównana taktyka pruskich jenerałów, nie przewaga liczebna i podziwienia godna dyscyplina wojsk pruskich w połączeniu ze zbiegiem wielu innych pomyślnych okoliczności, ale wyższość cywilizacyjna narodu pruskiego powaliła jak ongi Austryą pod Sadową, tak teraz Francyą o ziemię. Aby więc szczęście wojenne nierozerwalnymi łańcuchy przykuć do zwycięskiego rydwanu pruskich batalionów, wzięto się do zreorganizowania téj instytucyi, z któréj owa mniemana wyższość cywilizacyjna wypłynąć miała. Szkoła pruska oparta być miała od tego czasu na niewzruszonych podwalinach neogermańskiéj wielkości i podobnie jak statua Germanii na Niederwaldzie, świadczyć miała potomności o niespożytéj chwale przodków.

Wiadomo atoli, jak nieprzyjazną wszelkiemu organicznemu życiu była atmosfera, która pod współdziałaniem gorączki grynderskiéj i hecy przeciwko kościołowi katolickiemu wyrobiła się w Prusiech tuż po r. 1871. Nic téż dziwnego, iż to, co się teraz pod ręką takiego linoskoka pedagogicznego, jak d-r Falck, urodziło, było zmitrężałe i słabe i zarodki rychłych suchot ze sobą na świat przyniosło, zwłaszcza że naród sam, zajęty sportem grynderskim i „kulturnym“,

o nowonarodzone niemowlę mało się pytał, zostawiając troskę o dalsze jego losy oficyalnym niańkom z za zielonego stolika, a co do swéj osoby poprzestając na wyznaczeniu środków, potrzebnych do jego wychowania. Stało się zatém, co w podobnych razach dziać się zwykło, t. j. stękać poczęła góra, a urodziła się śmiészna mysz. Tak zwana nowa organizacya szkół ograniczyła się przeważnie na wznoszeniu olbrzymich koszar szkolnych, w których rozpoczęła się patryotyczna dresura (1). Zresztą nowa szkoła obliczona była na to, aby z jéj pomocą szykanować katolików, Francuzów, Polaków, Duńczyków, a co najważniejsza, przetworzona z gorączkowym pośpiechem, za pomocą niezliczonych reskryptów, cyrkularzy i instrukcyi, z których jeden często wprost był przeciwny drugiemu, zasłała pole wychowania publicznego stosami zgliszcz i gruzów.

Tym sposobem ów nowy ustrój szkoły, zapowiadany z taką pompą po wszystkich rogach ulic, a w gruncie rzeczy przeprowadzony bez wszelkiego planu i podyktowany przeważnie przez drobiazgowe względy biurokratycznego schematyzmu, stał się właściwie ich rozstrojem, gdyż zwalił lekkomyślnie jednym zamachem pióra to, co miało za sobą praktykę lat długich, a nie postawił na to miejsce niczego, coby równą zapowiadało trwałość i równie zasługiwało u mas narodu na szacunek i uznanie. W téj mierze reorganizacya szkoły dzieli dolę ze wszystkiemi innemi reorganizacyami, jakie się dokonały za dni Falcków, Dellbrücków, Leonhardtów i ich wiernéj drużyny Laskerów, Bennigsenów, Miquelów, i nosi wyraźne piętno czasów, w jakich powstała, t. j. iście nacyonalno-liberalną płytkość i arogancyą z jednéj, biurokratyczny rutynizm i pretensye do nieomylności z drugiéj strony. Niejeden téż człowiek iście postępowy, widząc dzisiaj smutne owoce, jakie na polu wychowania publicznego wydaje ohydne poplątanie fakcyjnych celów i celików z pseudo-pedagogiczną hipokryzyą, wzdycha do czasów owych, tyle zniesławianych, v. Mühlerowskich regulatywów i powitałby radośnie niejaką reakcyą na tém polu, gdyby ta umiała się liczyć rozsądnie z rzeczywistemi potrzebami czasu. Ale niestety, zadanie szczęśliwego przesterowania między Scyllą bezmyślnego liberalizmu, a Charybdą ograniczonego konserwatyzmu jest zbyt

---

(1) W dziedzinie samych szkół ludowych wydano na budowle w latach 1874—1881 117194767 marek, czyli przeciętnie 14649346 marek rocznie. Z téj sumy przypadało 51043936 mk. czyli 43,5% na miasta, a 66150834 marki czyli 56,5% na wsi. Na tę sumę ogólną złożyły gminy ze swoich funduszów 103857889 mk. czyli 88,6%, rząd dołożył 3171265 mk. czyli 2,7%, z innych funduszów gminnych i kościelnych przypadła reszta. Udział, jaki rocznie gminy miały w przecięciu do płacenia na budowę szkół, wynosił 12982236 mk.

trudne, a eksperymenta, jakie na polu szkolnictwa poczynili dotychczas spadkobiercy Falcka, Puttkamer i Gossler, nie budzą nadziei, abyśmy z tego pedagogicznego zamętu wcześnie wyjść mogli. Wprawdzieć bowiem zasada: *salus populi suprema lex esto*, panuje dzisiaj w dziedzinie polityki szkolnéj tak samo jak dawniéj. Pojęcie *populus* jednakże uległo zmianie. Albowiem kiedy dawniéj za *populus* uważani byli spanoszeni prawną łupieżą publiczną grynderzy i ich socyusze, dziś mają się za niego pomorskie junkry i pastory. Zmieniła się téż taktyka o tyle, że tam, gdzie liberalizm, oszołomiony chwilowemi powodzeniami, chciał przejść na przebój, nasz konserwatyzm stara się obejść manowcami. Cel istotny, zapewnienie swéj partyi pod osłoną wielkich haseł tych korzyści, jakie nadaje posiadanie szkoły, pozostał ten sam co dawniéj, acz odmieniła się firma. Stronnictwo konserwatywne w dziedzinie polityki szkolnéj działa podobnie, jak niegdyś nacyonalni liberałowie, jedynie pod wpływem chwilowych popędów, bez pewnego planu i stałéj myśli, i do zaprowadzenia ładu wśród panującéj na polu szkolném gmatwaniny stosunków w niczém się nie przyczynia. Owszem, chaos na tém polu zwiększył się od czasu, gdy wraz z nastaniem nowéj doby konserwatywnéj pojawiły się rzekomo nowe, a w gruncie rzeczy stare jak świat i tylko pokostem pseudo-konserwatyzmu nowo pociągnięte punkta wytyczne i poczęły być wprowadzane w życie przez ministra Puttkamera z całą bezwzględnością wschodnio-pruskiego junkra, przez jego następcę Gosslera z pewną dobroduszną galanteryą burszenszaftera dawniejszéj daty.

Tak więc szkoła pruska w obecnym swoim stanie, tylko zdaleka widziana, przedstawia się jako gmach ogromny, wzniesiony podług dobrze obmyślanego planu architektonicznego. Natomiast gdy jéj się przypatrzymy bliżéj, staje się podobną do owych zamków feudalnych, dotychczas zamieszkanych, które przebudowywane z pokolenia w pokolenie, w wieżyczkach swoich, przystawach, alkierzach, gzymsach, plafonach noszą ślady widoczne rozmaitych stylów i wieków. W specyalności architektoniczne téj budowy szkolnéj wprowadzać czytelnika na podstawie oficyalnego i nieoficyalnego materyału statystycznego i bieżącéj literatury pedagogicznéj przechodziłoby zakres pracy przeznaczonéj dla szerszego koła czytelników i dla tego odkładając przedstawienie szczegółowsze tego lub owego skrzydła wielopiętrowego gmachu do innéj może sposobności, poprzestaniemy dzisiaj jedynie na przedstawieniu co najgłówniejszych punktów perspektywicznych, z których czytelnik zapatrywać się musi, jeżeli nie chce zyskać fałszywego obrazu. Przedewszystkiém uderzać musi w obecnym systemie szkolnym, je-

źli o systemie wogóle mowa być może, brak wszelkiéj ciągłości. Pomiędzy szkołą ludową a szkołami wyższemi nie ma najmniejszéj wzajemności, zwłaszcza od czasu, kiedy szkoły wyższe oddzieliły się od szkoły ludowéj murem chińskim własnych szkół przygotowawczych. Są to dwie baszty narożne, pomiędzy któremi po osunięciu się łączącego je skrzydła otworzyła się przepaść, niepokryta żadnym pomostem. Pieniądz stał się jedyném kryteryum prawa do wyższego wykształcenia. Kto biedak, ten idzie do szkoły elementarnéj i tam, po odsiedzeniu ośmiu lat, ginie w tłumie podobnych sobie choćby przy najlepszém uzdolnieniu. Kogo stać na opłacenie wysokiego „szkolnego", ten idzie do szkoły wyższéj, mimo wszelkiego braku uzdolnienia i tam prześlęczawszy długie lata, aż do zdobycia sobie świadectwa, uprawniającego do jednorocznéj służby wojskowéj, opuszcza zakład, do którego chęcią i usposobieniem nigdy nie należał. Rozdział ten na polu szkoły jest zresztą tylko odblaskiem nagłego i gruntownego rozdziału, jaki nastąpił po roku 1870/1 na polu ekonomiczném pomiędzy kapitalistą a proletaryuszem. Swoją drogą przyczynia on się tylko tém więcéj do zaostrzenia kontrastu pomiędzy klasą posiadającą i zarobkującą. Kontrast ten znajduje żywy wyraz w wiecznéj nienawiści pomiędzy uczniami szkół ludowych, a młodzieżą szkół wyższych, która miejscami przychodzi do gwałtownego wybuchu, jak np. w Elberfeldzie, gdzie bijatyki pomiędzy uczniami szkół ludowych, a gimnazistami pod koniec roku 1884 przybrały takie rozmiary, iż inspektor szkół miejskich widział się zniewolonym osobnym cyrkularzem zalecić nauczycielom szkół ludowych, aby słowem i radą starali się wpłynąć na uśmierzenie w podległéj sobie młodzieży widocznéj nienawiści zwłaszcza ku tym gimnazistom, którzy ubiorem i całą powierzchownością zdradzają przynależność do klas zamożniejszych. A to rozbicie jedności szkolnéj nie ogranicza się jedynie na kontraście pomiędzy szkołą ludową a szkołą wyższą, ale wśród szkoły ludowéj powołuje do życia dwie odrębne grupy, które wrogo stają przeciwko sobie, t. j. bezpłatną szkołę dla biednych z planem ograniczonym do najniezbędniejszych wiadomości i płatną szkołą dla zamożniejszych, ułatwiającą nabycie wiadomości obszerniejszych.

Że zresztą szkoły wyższe, jako te, w których przedewszystkiém młodzież mieszczańską ssała mleko wiedzy i przygotowywała się do objęcia intratnych karyer publicznych i prywatnych w późniejszém życiu, stały się benjaminkiem polityki szkolnéj za czasów autokratycznych rządów stronnictwa narodowo-liberalnego, jest to rzeczą tak naturalną, iż dziwićby się trzeba, gdyby było inaczéj. Minister d-r Falck, owo wcielenie ducha narodowo-liberalnego w je-

go najczystszéj esencyi, mówiąc o sukcesach swéj szkolnéj polityki, nie zapominał nigdy dodawać z chlubą, ile to nowych gimnazyów, szkół realnych wszelkich odcieni i wogóle wyższych zakładów wzniesionych zostało, lub nowo uposażonych za jego urzędowania. I gdyby cyfry stanowiły wszystko, nie możnaby nie przyznać, że czasy jego ministerstwa były czasami błogiego rozwoju. Podczas gdy bowiem w r. 1868 tj. w rok po ukonsolidowaniu się monarchii pruskiéj w jéj dzisiejszéj objętości, liczono w Prusiech gimnazyów 187, progimnazyów 25, szkół realnych 78, szkół wyższych obywatelskich 69, czyli razem 369 wyższych zakładów naukowych z 4922 nauczycielami i 90283 uczniami, to w r. 1879, a zatém wkrótce po abszycie, udzielonym miłościwie przez ks. Bismarcka stronnictwu narodowo-liberalnemu, znajdowało się w granicach monarchii pruskiéj gimnazyów 245, progimnazyów 34, szkół realnych 105, szkół wyższych obywatelskich 101, czyli razem szkół wyższych 485 z 6691 nauczycielami i 125677 uczniami. Wyrastały więc w owém jedenastoleciu wyższe zakłady naukowe jak grzyby po deszczu, gdyż przybywało ich przeciętnie co rok 11—12, a wogóle wzrosła liczba ich o 31%, liczba nauczycieli przy nich zatrudnionych o 36%, a liczba uczniów o 39%, podczas gdy liczba ludności wzrosła tylko o 14%.

Atoli w miarę tego liczebnego rozrostu szkół wyższych wzmagać się poczęły skargi i zarzuty ze wszystkich stron przeciw nim miotane. Profesor Cohn z Wrocławia żalił się na to, że przyprawiają młodzież o utratę wzroku, dr. Hasse z Königslutter uczynił im zarzut o wiele cięższy, iż dostarczają stosunkowo największy kontyngent pacyentów do domów obłąkanych, profesorowie uniwersyteccy skarżyć się poczęli na to, że młodzież, przybywająca na uniwersytety, coraz słabiéj do studyów uniwersyteckich bywa przysposobioną, rodzice biadać poczęli na to, że od młodzieży zbyt wiele wymagają. Nieukontentowanie zatém stało się powszechném dopiero przez raptowne pomnożenie się szkół wyższych, na których urządzenie wysypano miliony, a pochodziło stąd, że to pomnożenie nie wyszło z poczucia potrzeby i nie odpowiedziało rzeczywistym potrzebom, ale działo się bez planu i myśli w téj nadziei, że potrzeba się znajdzie, gdy tylko będą odpowiednie szkoły. Postępowano zatém tutaj podobnie jak w dziedzinie prawa, gdzie dla przeprowadzenia unitarnego schematyzmu stawiano często abstrakcyjne formuły, w nadziei, że te formuły same przez się zapełnią się kiedyś treścią. Gorzéj jeszcze, iż wśród szkół wyższych zbyt jednostronnie forytować poczęto gimnazyum klasyczne. Albowiem od tego czasu wylewać się poczęły na bruki miast owe tłumy, młodych ludzi, którzy wyszedłszy z klas średnich gimnazyum klasycznego, upatrują w za-

jęciach praktycznych jakoweś poniżenie i widzą swój ideał jedynie w umieszczeniu się w jakiém biurze sądowém, administracyjném lub adwokackiém, gdzie zaznajomiwszy się nieco z procedurą, idą pomnażać armią owéj srogiéj plagi egipskiéj, jaką nam przyniosła organizacya sądowa z r. 1879, tj. pokątnych doradców prawniczych, wyzyskujących ciemnotę i zamiłowanie do pieniactwa ludu prostego, nieraz w konsorcyach, z trudną do uwierzenia rafineryą i bezczelnością. Z tych téż, zupełnie słusznych i sprawiedliwych powodów opinia publiczna zwróciła się dzisiaj, przeciwko gimnazyom klasycznym, jako nie odpowiadającym już wymogom nowszych czasów (1), a nawet gazety półurzędowe, jak *Kölnische Ztg*. i *Norddeutsche Allgemeine*, biorą w tych wycieczkach przeciwko klasycznemu wykształceniu udział. Pomimo to, widzimy jednakże to dziwne na pozór zjawisko, że wznoszą się coraz nowsze gimnazya, podczas gdy szkoły realne, jak w Zgorzelicach, Cottbus, Brzegu, upadają i bywają zwijane. Skąd że ten kontrast? Z pewnością źródeł tego zjawiska nie należy nam szukać w idealizmie usposobienia społeczeństwa pruskiego i wynikającéj stąd słabości do szkoły o rzekomo idealnym kierunku, gdyż niema narodu zimniejszego i trzeźwiejszego jak Prusacy. Ale w państwie o tak wybitnie militarno - biurokratycznym charakterze, jak Prusy, obok żołnierza zażywa jedynie urzędnik jakiego takiego poważania, podczas gdy skromne zawody rolnika, kupca, rzemieślnika itd. cierpiane tylko bywają jako *malum necessarium*. Rzecz tedy aż nazbyt jasna, że na umysły młodzieży i jéj opiekunów te szkoły większą wywierać muszą attrakcyą, które do wszystkich honorów i zaszczytów otwierają drogę, niż te, które przyspasabiają do skromnych zawodów pracy, (zresztą wśród dzisiejszych, na wskróś niezdrowych stosunków ekonomicznych coraz mniéj popłatnéj) na chléb powszedni. Ale téż za to powiedzieć można o dzisiejszych gimnazyach klasycznych, że wielu w nich wezwanych, ale mało wybranych. Bo w téj coraz większéj masie młodzieży, cisnącéj się w podwoje gimnazyów klasycznych, jest właśnie z tego powodu, że wabi ją tam nie chęć nauki, ale mnogość i ważność przywilejów, znaczny procent takiéj, która z powodu swych

---

(1) Z pomiędzy licznych przeciwników gimnazyów klasycznych wymieniamy co najznaczniejszych: v. Soden, *Die Einflüsse unseres Gymnasiums, auf die Jugendbildung*; Tübingen 1884. Schmeding, *Die klassische Bildung in der Gegenwart*, Berlin 1885, Neudecker, *Die eigentliche Hauptfrage im gegenwärtigen Mittelschulstreit*, Würzburg 1883. Meyer, *Ueber die Pflege des Idealen auf unseren höheren Schulen*, Berlin 1884. Hartwich, *Woran wir leiden*. Düsseldorf 1882. Christaller, *Ueber unser Gymnasialwesen*. Leipzig 1882, Nieznany autor, *Betrachtungen über unser klassisches Schulwesen*, Leipzig 1881 i nieliczeni inni.

stosunków i usposobienia niczego mniéj nie przynosi ze sobą do szkoły, jak naukowego zapału. Że z tego rodzaju młodzieżą praca musi być coraz trudniejszą i coraz mniéj przynosić owoców, że zatém gimnazya coraz szybciéj staczać się muszą z wysokości, na jakiéj czasu swego stały, rzeczą jest zupełnie oczywistą.

Te są, w najogólniejszych zarysach, zewnętrzne przyczyny wzmagającéj się za dni naszych bezpłodności szkolnictwa pruskiego, które z jego kolosalnym rozrostem w dziwnym stoi kontraście. Z pomiędzy wewnętrznych przyczyn tego zjawiska stawiam na naczelném miejscu brak prawdy w całym dzisiejszym systemie wychowania w Prusiech. Cóż jest bowiem jedyném, rozsądném i możliwém zadaniem szkoły? Jest niém .rozwijanie władz rozumu i serca i otwieranie oczu młodzieńca na zjawiska otaczającego go świata materyalnego i duchowego, aby kiedyś, wypuszczony z pod opiekuńczych skrzydeł szkoły, rozumem i sercem mógł znaleść pewną drogę wśród życiowego zamętu. Tych przymiotów dzisiejsza szkoła pruska nie posiada. Zbudowana na abstrakcyjnych podstawach, po za sferą rzeczywistego życia, jest ona państwową instytucyą dresury i czy się to zgadza z życzeniem i interesem ogółu, czy téż nie, służyć musi celom, jakie państwo, czyli raczéj rządzące sfery jego nadać jéj uznają za stosowne. To téż dopóki liberalizm był w modzie, służyła ona głównie do płoszenia wszystkich elementów, nie piszących się na hasła i cele fałszywego liberalizmu, i do wciągania mas narodu w koło jego liberalnéj mądrości. Nauczyciel, pozyskany znacznem podwyższeniem pensyi, co wówczas nie było trudném, gdyż miliardowe złoto płynęło rynsztokami, stał się rozpieszczoném dzieckiem liberalizmu, a mniejsza o to, czy tam dbał o dobro szkoły, czy nie, czy dawał życiem swojem zgorszenie, lub nie, byleby tylko czytywał *Berliner Tageblatt* lub *Nationalzeitung* i w zgromadzeniach publicznych donnerwetterował na *Junkern-* i *Pfaffenwirtschaft*. Po r. 1878 odmieniła się karta. Falck, pobujawszy się jeszcze ze względów przyzwoitości bez mała rok na krześle ministeryalném, zdał wreszcie berło spraw szkolnych i kościelnych w ręce Puttkamera, a pierwszém dziełem nowego ministra była sierdzista filipika przeciwko nauczycielom, jako zarozumialcom i próżniakom, wścibiającym nos swój we wszystkie sprawy, które ich najmniéj powinny obchodzić, a natomiast nie pilnującym szkoły tak, jakby to z prawa i urzędu powinni. Zawiał téż dla szkoły wiatr ostro-konserwatywny. Zakłady symultanne, z wyjątkiem prowincyi przez ludność polską zamieszkanych, poznoszono; pastorom, którzy za Falcka ze szkół tak dobrze jakby byli wyklęci, znów powierzono inspektoraty i naukę religii. A co najdziwniejsza i z cudownością

prawie granicząca, ci sami nauczyciele, którzy przed chwilą gardłowali za postępem i odrzekali się kościoła i wszelkich spraw jego, teraz ku zbudowaniu i pożytkowi zbawiennemu swéj gminy z *Gesanbuchem* pod pachą biegli o milę do kościoła i na widok liberała nieledwie krzyżem św. się żegnali.

Siedzimy zatém obecnie na polu szkólnictwa po same uszy w fałszywym konserwatyzmie, jakeśmy do niedawna siedzieli w fałszywym liberalizmie, i siedzieć będzimy dopóty, dopóki w sferach wyższych nie nastąpi ponowna zmiana wiatru. Ten nowego pokroju konserwatyzm wyzyskuje chwilową pomyślność swego obecnego położenia z tą samą, uznania godną, bezwzględnością w swych celach, z jaką je czasu swego wyzyskiwał liberalizm. Wedle jego przekonania, główne zadanie szkoły na tém powinno polegać, aby tworzyła nieprzełamaną zaporę przeciwko wszystkiemu, co postępem trąci. Jest to może w niejednym względzie lepsze, niż przeszczepianie niedojrzałych teoryi naukowych do szkoły, jak się to praktykowało za rządów liberalizmu, ale się sprzeciwia naturalnemu powołaniu szkoły. Albowiem z natury rzeczy jest szkoła instytucyą postępową, nie w tym sensie, jakoby miała służyć do sztucznego wlewania w młode umysły tego, co ze stanowiska fakcyjnego uchodzi chwilowo za *non plus ultra* postępowości, ale ponieważ obznajmiając młodzież z rezultatami dotychczasowego postępu, przyspasabia ją zarazem do nowego. Szkoła, która się od postępu pragnie odgrodzić, chybia swego zadania i staje się w ekonomii życia społeczno-państwowego czynnikiem bezpłodnym.

W tém położeniu znajduje się dzisiaj szkoła pruska. Okryta łachmanem fałszywego idealizmu, staje ona do boju z duchem naszego wieku i w bezowocnéj walce z uprawnionemi prądami życiowemi rozprasza siły, któreby w służbie prawdziwego postępu lepiéj mogła zużyć. W tych celach posługuje ona się w sposób zręczny przedewszystkiém hasłem, jakie po nacyonal-liberałach przejął i wydoskonalił nowoczesny konserwatyzm, tj. oszołomionéj rzekomą wielkością ojczyzny, nieostygłéj jeszcze z zapałów, jakie w narodzie pobudziły niegdyś grynderstwa i walka „kulturna“, młodzieży szkolnéj stawia jako jedyny i upragnienia godny ideał tak zwany patryotyzm. Szkoła pruska jest w swych dzisiejszych formach instytucyą wybitnie „patryotyczną“ i jako taka jest w ręku rządu ostrym mieczem, którego ciężkie razy spadają na karki wszelkich elementów opozycyjnych. Patryotyzm bowiem, krzewiony w niéj wszelkiemi środkami, nie jest to owo wzniosłe i jedynie tego imienia godne uczucie miłości i poświęcenia względem wszystkiego, co w naszém otoczeniu, w rodzinie i ojczyźnie, miłości i poświęcenia

godne, bez zamykania oczu na to, co gdzieindziéj życie narodów wydało szlachetnego i naśladowania godnego, ale ów przez Bebla tak trafnie scharakteryzowany *Mordspatriotismus* ze swoją bizantyńsko-oficyalną żarliwością i nienawiścią względem wszystkiego, co nie niemieckie. Dość mu się przypatrzéć przy sposobnościach, gdzie się on roztacza, jak mianowicie na rocznicy sedańskiéj (*Sedanfest*), w całym swoim przepychu i wspaniałości w mowach nauczycieli i deklamacyach uczniów, aby na wieki powziąć do niego obrzydzenie. Można tam bowiem w śpiewach i deklamacyach z ust nieletnich dzieci usłyszéć takie, umysł i serce niepoślednio kształcące zwrotki, jak następujące:

Stoss den Spaten in den Acker,
Landwehrmann, die Trommel ruft!
Wieder schnarrt der Franzosenracker
Kriegstrompete in die Luft,

lub:

Frisch auf! Zu den Waffen
Rufet uns das Vaterland.
Komm, Kaiser der Franzosen
Mit deinen rothen Hosen *etc.*

Mowy zaś nauczycieli składają się z najbanalniejszych i najkarczemniejszych wyzwisk na Francuzów i ich cesarza, na „rzymszczyków“ i wszelkich innych *Vaterlandsfeind*ów, oraz na oksymorycznem zestawieniu „*deutsche Treu und deutsche Kraft*“ z „*wälscher Trug und wälsche Tücke.*“

Wobec tego jednostronnego paszenia młodzieży zatrutą strawą patryotyczną dziwić się nie można, iż straszliwe pomieszanie pojęć wzmaga się niemal z roku na rok i że młodsze pokolenie popada we względzie uczuć moralnych coraz głębiéj w otchłań prawdziwie przerażającego zdziczenia. Prawda jest, że nie za wszystko, co się źle dzieje wśród dzisiejszéj młodzieży, winować można szkołę, gdyż i dom rodzicielski i stosunki ogólne nie mało w téj mierze wyrządzają złego. Ale w każdym razie uwagi godną jest rzeczą, że właśnie w tych zakładach, w których ten kłamliwy system idealnéj hipokryzyi najkonsekwentniéj jest przeprowadzony, w gimnazyach klasycznych, najbardziéj odczuwać się daje brak zupełny idealnego ducha i zgnilizna, przykryta ledwie z wierzchu przejrzystym szychem humanizmu, najdziwaczniejsze wydaje kwiecie. Mamy tu na myśli tajne związki uczniów, które siecią towarzystw okryły całą monarchią pruską od Tylży i Kłajpedy aż do podnóży Wogezów. Cele tych związków nie są wprawdzie groźnemi dla istnienia państwa i z konspiracyami politycznemi nic nie mają wspólnego, bo się ograniczają na organizowaniu pijatyk wedle wszelkich reguł bachuso-

wego kunsztu i na pojedynkach rapiérowych. Ale za to tém groźniejszemi są one dla młodzieży saméj, wśród któréj zrządzają, gdzie się zalęgną niesłychane spustoszenia. I stąd energia, z jaką się rząd pruski wziął do ich stłumienia, jest zupełnie w swojém miejscu, ale życzyćby mu należało, aby w walce z tym chwastem, wyjaławiającym coraz daléj niwę młodocianych umysłów, odniósł większe sukcesy niż dotychczas. Albowiem do chwili obecnéj zwycięstwa jego są wielce wątpliwe. Choć bowiem liczba rozwiązanych towarzystw, skonfiskowanych rapiérów i przyborów fechtunkowych, wydalonych uczniów jest legion, nie zbliżyło go to do pożądanego celu. Albowiem rzeczone towarzystwa posiadają żywotność prawdziwego chwastu i tam, gdzie się raz zawiążą, odrastają napowrót z korzenia, choćby najstaranniéj były wyrwane. W kreślenie dokładniejsze celów i organizacyi tych towarzystw wdawać się tutaj nie możemy, natomiast czytelnika, pragnącego nieco bliżéj rzucić okiem w tę otchłań brudu i surowizny, odséłamy do klasycznego w téj materyi dziełka radcy szkolnego w Trewirze dr. Pilgera p. t. *Ueber das Verbindungswesen auf den norddeutschen Gymnasien.*"

Impuls do zawiązania tych pijacko-zawadyackich towarzystw wyszedł zresztą nie z samych gimnazyów, ale z uniwersytetów, gdzie pijatyka i burda stanowią jedyną poezyą stowarzyszonéj w *corps*'ach młodzi uniwersyteckiéj, a komersz z nieuchronnym *salamandr*em i, dodajmy do tego, *katzenjammer*em na dzień następny, alfą i omegą studenckiego szyku. Skargi téż na zesurowienie młodzieży uniwersyteckiéj, którego widomym wyrazem jest mania pojedynkowa i łajdaczenie się po niezliczonych komerszach, *abendknejp*ach, *frühschoppen*'ach i *absendschoppen*'ach ze szkodą nauki, podnoszone zwłaszcza ze strony Windhorsta, powracają corocznie przy obradach nad etatem ministerstwa oświaty, niemal z zegarkową regularnością. Ale i ta, w swoim rodzaju wielce ciekawa rebarbaryzacya klas inteligentnych społeczeństwa pruskiego dzieje się pod patryotyczną dewizą pielęgnowania starogermańskiego ducha. Nieszczęście bowiem chciało, iż Tacyt, w swém tendencyjném piśmie o Germanii, charakteryzując owoczesnych Germanów, pozostawił wiadomość, iż najulubieńszém ich zatrudnieniem była wojna, a gdy nie było z kim wojować, gra w kości i picie miodu z rogów turzych aż do utraty przytomności. Więc podług wyobrażenia niemieckiéj młodzieży uniwersyteckiéj, Niemiec, jakim być powinien, musi miéć obok ręki, tęgiéj do bitki, głowę, niemniéj tęgą do wypitki. Ta jest wyższa zasada kultu Bachusa i Zwady w związkach studenckich, nad którego przechodzącą miarę godziwości wybujałością poczynają głową kręcić nawet ci, co niegdyś sami duszą i ciałem należeli

do tego rodzaju stowarzyszeń. Głosy ich pozostają jednakże bez skutku, gdyż ta strona studenckiego życia znajduje gorących obrońców i orędowników w wysoko postawionych osobistościach, jak ministrowie Gossler i Puttkamer, którzy nie wahają się młodzieży uniwersyteckiéj wprost zachęcać do kontynuacyi hucznego i buńczucznego życia studenckiego bez względu na „złowieszcze jęki podtatusiałych filistrów“ (1).

Nie wyczerpalibyśmy rzeczy, gdybyśmy w naszym pobieżnym szkicu pruskiego szkolnictwa materyalne uposażenie szkoły ze strony państwa pominęli milczeniem. Jest ono w stosunku do olbrzymiego rozrostu zewnętrznego szkół pruskich nadzwyczaj nędzne. Wynosił bowiem w r. 1883, na 1089583205 mk. ogólnego rozchodu państwowego, etat szkół tylko 40600854 marek wydatków stałych i 8297758 mk. wydatków niestałych, czyli razem 48898612, t. j. 4,5%. Z téj sumy pobierały szkoły elementarne 15041318 mk. w wydatkach stałych i 429200 mk. w wydatkach niestałych czyli razem 15470518 mk. to jest 31,6%; gimnazya i szkoły realne pobierały 4681211 mk. w wydatkach stałych i 563528 w wydatkach niestałych czyli razem 5244739 mk. t. j. 10,7%; uniwersytety wreszcie pobierały 6129936 mk. w wydatkach stałych i 1714486 mk. w wydatkach niestałych, czyli razem 7844422 mk., to jest 16,0%. Reszta wydatków przypadała na wszystkie inne potrzeby szkoły, t. j. inspektoraty, emerytury, szkoły preparandów, seminarya i t. p.

Jak widzimy z tego zestawienia, dość hojnie uposażonemi były ze strony państwa tylko uniwersytety. Natomiast etaty szkół elementarnych i szkół średnich na pokrycie rzeczywistych potrzeb nie wystarczały ni w przybliżeniu. Do utrzymania olbrzymiego aparatu szkolnego musiały być zatém powołane przeważnie gminy. Wedle wielce prawdopodobnych obliczeń, ogólna suma kosztów utrzymania szkół ludowych w Prusiech wynosiła co najmniéj 105 milionów marek (2). Po odtrąceniu zatém dodatku państwowego w ilości 15 milionów mk., pozostaje 90 milionów mk., które w téj lub owéj formie zebrane być musiały przez gminy. Dodawszy do tego koszta utrzymania licznych zakładów średnich naukowych w ilości co najmniéj 6 milionów (3), otrzymamy sumę ogólną gmin-

(1) Przeciw związkom wystąpił w czasach ostatnich ze słowami ostréj krytyki dyrektor ministeryum cesarsko-niemieckiego spraw wewnętrznych Bosse, w wykładzie, mianym w Towarzystwie umiejętności politycznych a obecnie drukiem ogłoszonym. W czasach ostatnich wybryki młodzieży uniwersyteckiéj przybrały w téj mierze takie rozmiary, iż minister v. Gossler, mimo że związkom sprzyja, widział się zniewolonym przynajmniéj odbywanie obowiązkowych *frühschoppen*'ów surowo zakazać.

(2) W r. 1878 wynosiły one podług przytoczonego przez nas rocznika 101016623 mk.

(3) W r. 1883/4 płaciły gminy na utrzymanie szkół średnich 6081847 mk.

nych podatków szkolnych 96 milionów mk., czyli na każdą głowę ludności przeszło 3,50 mk. Stękania też i biadania gmin na nieznośne ciężary szkolne są powszechne, a mają one niestety, jak widzimy, swoję aż nazbyt słuszną podstawę. Ciężary szkolne stanowią bowiem w ich rocznym budżecie, obok kosztów utrzymania ubogich, największą rubrykę wydatków. Te zaś stosunki oddziaływują w wielu miejscach zgubnie na stosunek publiczności do szkoły i nauczycieli. Ponieważ bowiem ojcowie rodzin w wielu miejscach na szkołę ciężkie płacić muszą podatki, przeto na nauczyciela, jako widomy powód złego, koncentruje się nienawiść płacących. Nauczyciel natomiast, szykanowany niewinnie przez stojących umysłowo wiele niżéj od siebie, szuka ochrony i podpory po za plecami swych przełożonych i stąd pomiędzy nim a gminą wywiązują się starcia, uniemożliwiające wszelkie współdziałanie między szkołą a domem rodzicielskim.

Nie na różach zatém spoczywa już z tych powodów zawód nauczyciela w Prusiech. Nie wynagradza go zaś za te przykrości i dolegliwości, jakie z jego urzędem są połączone materyalne położenie. Aparat szkolny w Prusiech jest zbyt kolosalny, aby płaca nauczyciela być mogła zbyt wielką. Podług obliczeń, jakie w téj mierze znajduję w cytowaném już przez nas „*Jahrbuch für die amtl. Statistik des preuss. Staates*“, wynosiła pensya roczna nauczycieli elementarnych w Prusiech w r. 1878 po miastach przeciętnie 1441 mk., po wsiach 955 mk. Pominąwszy drożyznę, jaka się wszczęła w Prusiech po r. 1870 skutkiem gwałtownego obniżenia się wartości pieniędzy i równoczesnego podniesienia stopy pożycia towarzyskiego, jak nie mniéj skutkiem nałożenia ceł na wszystkie najniezbędniejsze do życia artykuły, drożyznę, która o tém myśléć nie pozwala, aby nawet przy najskromniejszych wymaganiach w mieście z gotówki jako tako przyzwoicie wyżyć można niżéj 1500 mk., ta przeciętna płaca zredukowałaby się co do miast mniejszych o wiele więcéj, gdyby źródło nasze nie pomijało milczeniem, jaki udział w ogólnéj sumie 29628991 mk., składanéj na utrzymanie nauczycieli wyłącznie przez miasta, mają miasta wielkie i bogate, jak Berlin, Wrocław, Kolonia, Gdańsk, Elberfeld i t. d., i wogóle 71 miast pruskich z ludnością wyżéj 20000 mieszkańców (1). Bo że 955 marek czyli 79 mk. miesięcznie nawet na wsi do skromnego utrzymania przy licznéj, jak się to u nauczycieli zazwyczaj zdarza, rodzinie jest sumą niewystarczającą, o tém i mówić byłoby zbyteczném. Zresztą płace nauczycieli wiejskich składają się po części z naturaliów,

---

(1) Samo miasto Berlin płaciło nauczycielom elementarnym w pensyach r. 1878—3431417 mk., co wynosi 11,6% pensyi w całym kraju.

a te niekiedy tak wysoko bywają szacowane, iż nawet ta suma 955 marek jest po części fikcyjną tylko. Nie lepiéj stosunkowo postawieni są nauczyciele szkół wyższych. Tutaj bowiem płaca przeciętna dla nauczyciela wynosi przy kompletnych, dziewięcioklasowych zakładach 3150 mk., przy niekompletnych 2850 mk. Suma ta jest dla człowieka, który do ukończenia studyów gimnazyalnych i uniwersyteckich potrzebuje przecięciowo lat 14, a nadto co najmniéj rok jeden pracować musi bezpłatnie, śmiesznie niską, zwłaszcza gdy pomyślimy, iż nauczyciel szkół wyższych wykształceniem i nawyknieniami towarzyskiemi należy do klas wyższych, a w tych wymagania towarzyskie są obecnie w Prusiech niepoślednio wysokie.

Z tych powodów zarówno nauczyciele elementarni jak nauczyciele szkół wyższych zmuszeni są szukać pobocznych źródeł dochodu, które jeżeli ich nie demoralizują, to przynajmniéj odciągają od ich zadania. Nauczyciel elementarny bywa agentem rozmaitych towarzystw od ognia, gradobicia, od banków hipotecznych, lub, co gorsza, pokątnym doradcą; nauczyciel wyższy prowadzi intratny handel promocyami w formie dawania lekcyi prywatnych, lub trzyma bogatych pensyonarzy. Władze szkolne widzą te braki i nadużycia, ale patrzą na nie, gdzie tylko mogą, przez szpary, gdyż jedyny sposób zapobieżenia im, t. j. postawienie nauczycieli tak, iżby na żadne dochody poboczne oglądać się nie potrzebowali, jest niemożliwym z powodu braku pieniędzy na cele szkolne w kasach państwowych. Ale powaga stanu nauczycielskiego w oczach publiczności skutkiem tych stosunków coraz maleje. Równocześnie skład jego wewnętrzny coraz się pogarsza. Tylko bowiem te żywioły społeczeństwa pruskiego, które do innych, intratniejszych zawodów czują się niezdatnemi, cisnąć się poczynają do zawodu nauczycielskiego z zamiarem zrobienia jak najszybszéj karyery. Przez to wyradza się wśród nauczycieli wszelkich kategoryi owo nędzne karyerowiczowsto, które tyle już na polu wychowania publicznego zrządziło spustoszeń, tyle tysięcy serc wyziębiło u młodzieży, tyle tysięcy głów wyjałowiło. Wprawdzieć ubieganie się za karyerą widzimy dzisiaj skutkiem na wskróś niezdrowych stosunków ekonomicznych i społecznych, pleniące się z bujnością chwastu i na wszelkich innych polach działalności publicznéj. Ale nigdzie nie szerzy się ono tak bujnie, jak w zakresie szkoły, nigdzie nie odbija się tak wstrętnie, jak wśród zawodu, od którego publiczność ma prawo żądać przedewszystkiém czystości uczuć i prawości charakteru. A obecnie rządzące stronnictwo nie jest pod względem swego stanowiska wobec karyerowiczowstwa wśród stanu nauczycielskiego w niczém a niczém lepsze od dawniejszego. Zamiast bowiem hamować w dobrze zrozumianym interesie ogółu, forytuje je

ono w swym partykularnym interesie wszelkimi sposoby. Dość jest dzisiaj jako nauczycielowi przywdziać maskę fałszywego konserwatyzmu, dość w szkole i po za szkołą afiszować przy każdéj sposobności swój krzykliwy patryotyzm, aby być pewnym uznania i nagrody bez względu na to, czy wiedza i zdolności, czy zmysł pedagogiczny i powołanie uprawniają go do tego, lub nie. Do zdemoralizowania nauczycieli elementarnych posiada nadto rząd pruski osobne środki. Jest to tak zwany fundusz dyspozycyjny, którego użycie nie ulega kontroli ze strony sejmu. Ma on niby to służyć do tego, aby przez gratyfikacye i dodatki osobiste wyrównać pewne nieuniknione niesprawiedliwości w unormowaniu uposażenia niektórych szkół i posad. W rzeczywistości zaś służy on przeważnie do premiowania w nauczycielach gorliwości na polach z pedagogiczną działalnością mało co mających wspólnego. Stanowi on przez to najniebezpieczniejsze źródło miazmatów dla łaknących i marznących nauczycieli elementarnych. Mianowicie w prowincyach o ludności polskiéj służy fundusz dyspozycyjny niemal wyłącznie do nagradzania za gorliwość w niwelowaniu wszelkich uprawnionych właściwości plemiennych i religijnych ludu polskiego w myśl schematycznego unitaryzmu państwowego i jako ponęta dla renegatów wśród polskich nauczycieli. Te i inne stosunki są powodem, iż szkoła staje się powoli u ludności polskiéj instytucyą najwięcéj znienawidzoną i że dzieciaki równie niechętnie poczynają do niéj chodzić, jak rodzice do niéj je posyłać. Już dzisiaj rzeczy miejscami doszły tak daleko, iż tylko groza przymusu szkolnego zdolna jest jako tako pilne uczęszczanie dzieci do szkoły wymusić. Jak słyszymy z dzienników i sami wiemy z własnego doświadczenia, w niektórych miastach władze szkolne nawet utrzymywać muszą osobną służbę policyjną, któréj wyłącznem zadaniem jest, zwłaszcza zimą, zgłodniałe i bose dzieciaki gwałtem sprowadzać do szkoły.

Jednem słowem: gmach dzisiejszéj szkoły w Prusiech zewnątrz okazały, przy powierzchownem obejrzeniu budzi zawsze jeszcze podziw i zdumienie; baczniejsze jednakże oko dostrzeże w nim bez trudności szczerby i szczeliny, któremi spustoszenie i upadek ze wszech stron wciskać się poczynają. Jest to zaś w szeregu zjawisk, które o wychodzeniu z kolei dotychczasowego ducha niemieckiego dają wymowne świadectwo, może nie najpośledniejsze i zasługiwałoby przedewszystkiem na baczność sfer wpływowych, gdyby całéj uwagi narodu nie pochłaniało dzisiaj jedynie powiększanie i ulepszanie już i bez tego olbrzymiéj potęgi militarnéj.



# LITERATURA ORMIAŃSKA.

Pomiędzy narodami Azyi zachodniéj są Ormianie bez wątpienia pierwszym pod względem zdolności cywilizacyjnych i choć w dziejach świata nigdy wielkiéj roli nie grali, jak mieli jednak niegdyś stosunkowo dość świetny byt narodowy z wcale pokaźną cywilizacyą, tak i dziś wyprzedzili wszystkie inne narody wschodu w dziele postępu i rozwoju własnéj kultury. Cywilizacyjna ich zdolność zdaje się głównie tkwić w ich wielkiéj wytrwałości i wielce rozwiniętym zmyśle spekulacyjnym, nie zaś w zdolnościach umysłowych, gdyż w takowych przewyższają ich Persowie i może nawet Gruzini. Wytrwałość ich była i jest rzeczywiście podziwienia godną, gdyż podczas kiedy inne narody, które wraz z nimi rozpoczęły swoje istnienie historyczne, dawno znikły z powierzchni ziemi, Ormianie jeszcze istnieją jako indywidualność narodowa i czynią nawet usiłowania aby indywidualność swoję odmłodzić i stworzyć nowo-ormiańską kulturę narodową. Usiłowania te wydały już pewne rezultaty i nie ulega wątpliwości, że ich wydawać będą coraz więcéj. Nowy ruch cywilizacyjny wprawdzie mało dopiero wniknął w samo serce Armenii i przeważnie się rozwija w koloniach ormiańskich w krajach przyległych, jak na Kaukazie, na wybrzeżu morza Czarnego i Egejskiego, ale z czasem wzmocni się i tam rozwój cywilizacyjny a z nim życie narodowe. Już dziś widać w saméj Armenii pewne objawy nowego prądu i zwłaszcza dość poważne usiłowania dla podniesienia oświaty. Na zasadzie tych i innych obiawów, jak np. krzepki rozwój prasy, literatury i nawet powstawanie muzyki i malarstwa, przypuszczać należy, że nowa kultura ormiańska jest możebną.

Zachodzi tylko pytanie, czy naród ormiański przez rozwój własnéj kultury zdobędzie sobie odpowiednie stanowisko w Azyi za-

chodniéj, czy będzie wstanie przyjąć na siebie tę misyą cywilizacyjną, do jakiéj rości sobie prawo. „*That is the question*!“

Liczba wszystkich Ormian wynosi około trzech milionów, ale z nich zaledwie połowa mieszka we właściwéj Armenii, reszta zaś rozproszona jest po Kaukazie, po zachodniéj Azyi Mniejszéj i nawet po Europie. Najwięcéj mieszka Ormian w okręgach Wanu i Muszu, ale i tam wynoszą oni zaledwie większość ludności, nigdzie zaś nie stanowią jednolitéj masy. Wszędzie więc mają obok siebie obce żywioły, których obecność nie tyle utrudnia rozwój ich życia narodowego, ile swobodne ich istnienie jako indywidualności narodowéj. Okoliczność ta zmniéjsza nieco znaczenie cywilizacyjnego rozwoju Ormian, ale z drugiéj strony znów trzeba wziąć pod uwagę, że narody, zamieszkujące razem z nimi właściwą Armenią, nie tylko daleko niżéj stoją od nich, ale najmniejszych nie okazują zdolności cywilizacyjnych. Ani Kurd, ani Tatar albo Turek nie może współubiegać się z Ormianinem i na téj zasadzie cywilizacyjny rozwój narodu ormiańskiego rzeczywiście ma widoki powodzenia. O ile zaś rozwój ten już się dokonał, pokaże najlepiéj nowa literatura ormiańska, rozwijająca się na podstawie bogatéj literatury średniowiecznéj i na czynnikach życia europejskiego, które dotąd tylko Ormianie sobie przyswoić potrafili, podczas gdy Turcy małoazyatyccy, Kurdowie i Tatarzy jeszcze pogrążeni są w stanie prawie pierwotnym.

## I.

Literatura ormiańska jest bardzo starożytna, gdyż powstała w pierwszych stuleciach naszéj ery i podług wszelkiego prawdopodobieństwa poprzedziła ją jeszcze w czasach pogańskich poezya bohaterska, która jednak prawie zupełnie zaginęła. Że istniała, o tém świadczą urywki, przytoczone przez historyka Mojżesza Choreńskiego jak i częste o niéj wzmianki u innych późniejszych historyków ormiańskich. Podług dowodzeń współczesnego nam armenisty Emina istnienie epopei ormiańskiéj w czasach przedchrześciańskich jak i w pierwszych wiekach po Chrystusie nie ulega żadnéj wątpliwości. Odwołuje się on do świadectwa Mojżesza Choreńskiego i utrzymuje, że wiele części pierwszych ksiąg historyi tegoż są bez wątpienia prozą opowiedziane urywki zaginionéj epopei, która podobnie jak „Szachname“ Firdusi'ego w Persyi, była wierszowaną kroniką pierwotnéj Armenii. Podług niego i innych armenistów, do zatraty pomników literatury pogańskiéj przyczynili się głównie duchowni chrześciańscy. Zniszczenie wspomnień o czy-

nach pogańskich bohaterów nie zupełnie im się jednak udało, gdyż jeszcze w późniejszych wiekach brzmiały one w pieśniach ludowych, choć co prawda tylko w urywkach, nie dających dokładnego pojęcia o rzeczywistéj tych epopei wartości. Chrześcianizm przyczynił się jednak nie tylko do zatraty poezyi starożytnéj, ale na długie wieki odjął narodowi ormiańskiemu wszelki polot poetyczny i uniemożebnił rozwój poezyi świeckiéj. Rozbudził on wprawdzie dość ożywioną działalność literacką, lecz ta skierowana była prawie wyłącznie tylko ku uświetnieniu albo wzmocnieniu w umysłach religii narodowéj, podczas gdy uprawa nauk drugorzędną w niéj grała rolę, a poezya świecka zupełnie milczała. Zacząwszy od czwartego wieku, to jest od ostatecznego ugruntowania w Armenii religii chrześciańskiéj przez św. Grzegorza Oświeciciela, wszystkie utwory pisarzy ormiańskich były albo treści religijnéj albo naukowéj, zwłaszcza historycznéj. Nawet tak zwany „złoty wiek", przypadający na piąte stulecie naszéj ery, przedstawia obraz twórczości umysłowéj w niczém nie odmienny od innych stuleci. Na całéj téj twórczości leży jakieś poważne religijne piętno, wszystkie dzieła tchną duchem klasztornym, co téż nikogo zadziwić nie powinno, gdy się weźmie pod uwagę, że prawie wszyscy pisarze byli duchownymi i że dzieła ich powstały w celi klasztornéj.

Właściwe piśmiennictwo ormiańskie zaczyna się w piątém stuleciu, mianowicie od chwili zaprowadzenia ormiańskich znaków piśmiennych przez Mezroba, nie zaś, jak dawniéj utrzymywano, od czwartego stulecia. Dziś albowiem już dowiedziono, że kroniki Mar Apasa Katyny, Fausta z Bizancyum i innych, pochodzące z czwartego wieku, pisane były przez cudzoziemców w ich języku ojczystym i dopiero późniéj przełożone zostały na ormiański. Przed zaprowadzeniem własnych znaków piśmiennych posługiwali się Ormianie alfabetem greckim, syryjskim i perskim i jeżeli zaraz po zaprowadzeniu tak elementarnego środka, piśmiennictwo ich tak świetnie się rozwinęło, to język ich już dostatecznie musiał być udoskonalonym i poziom oświaty doprowadzonym do znacznéj wysokości. Tak téż było podług wszelkich świadectw historyków współczesnych i jeżeli się weźmie pod uwagę ówczesne stosunki krajowe, nagły ten rozkwit literatury wcale nie wyda się dziwnym. Jeszcze przed Chrystusem wielu Ormian uczęszczało do szkół greckich w Atenach, Bizancyum, Cezarei i Aleksandryi, tak że nauka i oświata grecka już dobrze znane były pomiędzy Ormianami, kiedy ci w pierwszych wiekach naszéj ery pod rządami królów z dynastyi Arsacydów, obok Partów najpotężniejszym byli narodem w Azyi zachodniéj. Wpływ Greków był jednak w owéj epoce tylko pośred-

nim a daleko potężniejszym, gdyż bezpośrednim był wpływ, jaki wówczas wywierali na Armenią Syryjczycy. Oni to od czasów Cyrusa w znacznéj liczbie mieszkali w Armenii jako przymusowi koloniści i dzięki swéj wyższéj, pod wpływem helenizmu powstałéj, cywilizacyi, stali się z czasem żywiołem panującym w kraju. Język syryjski używany był we wszystkich sprawach urzędowych i kościelnych aż do piątego stulecia, podczas gdy ormiańskiemu zostawiono tylko skromny zakres w życiu domowém. Ale cywilizacya syryjska była już wówczas zgrzybiałą i wskutek tego żywioł syryjski tracił w Armenii coraz bardziéj swą siłę wobec młodéj, rozwijającéj się pod jego wpływem cywilizacyi ormiańskiéj.

Walka pomiędzy obu żywiołami rozpoczęła się na polu teologicznem i rezultatem jéj było wyrugowanie języka syryjskiego z kościoła, co naturalnie dopiero nastąpić mogło po ułożeniu alfabetu ormiańskiego. Od téj chwili język ormiański z rzadką w historyi, szybkością zawłada całym ruchem umysłowym i w przeciągu kilkudziesięciu lat wyrasta na jego glebie obszerna literatura. Francuski armenista Langlois nazywa to zjawisko „godném zwrócenia na siebie uwagi *filologów*". Mnie się jednak zdaje, że to zjawisko prędzéj może być godném uwagi *historyków* cywilizacyi, albowiem nagły i tak bujny rozkwit literatury nie był skutkiem zaprowadzenia znaków piśmiennych, lecz przeciwnie zaprowadzenie znaków piśmiennych było prostą koniecznością wywołaną przez umysłowy rozwój narodu ormiańskiego.

Wyrugowanie języka syryjskiego zaczęło się, jak już powiedziałem, w kościele i to przez zastąpienie ksiąg syryjskich ormiańskiemi. Uczony Izaak, Part, dziesiąty z rzędu katolikos czyli patryarcha, jest pierwszym tłómaczem pisma świętego i rozpoczyna w swéj osobie długi szereg tłómaczów, liczba których w piątém stuleciu tak była wielką, że je Ormianie téż nazywają wiekiem tłómaczów.

Polityczne położenie Armenii było zresztą wcale nie świetne w téj epoce rozkwitu literatury. Już w roku 396 Armenia utraciła niezawisłość i część jéj przeszła pod panowanie Persów, druga zaś przyłączona została do cesarstwa greckiego. W roku 448 Persowie usiłowali nawet wytępić chrześcianizm i do Armenii przybyło kilkuset magów w celu zaprowadzenia tu znowu nauki Zoroastra. Pomimo niesnasek, powstałych jeszcze przedtém pomiędzy feodalnymi książętami ormiańskimi, przybysze znaleźli tu potężny opór, gdyż doprowadzeni do rozpaczy Ormianie chwycili za broń i pod wodzą walecznego Wartana Mamikoniana wystąpili w pole przeciwko nadciągającej armii perskiéj. Nad rzeką Tygmut przyszło do pamiętnéj

w dziejach Armenii bitwy, w której Wartan i przeszło tysiąc jego towarzyszów broni polegli śmiercią bohaterską. Klęska ta jednak nie złamała oporu Ormian i Wahan Mamikonian, stryj poległego Wartana, prowadził dalej walkę, aż nareszcie Persowie zaniechali usiłowań wprowadzenia do Armenii nauki Zoroastra, zadawalniając się polityczną hegemonią, choć i przeciwko temu zwierzchnictwu Ormianie długo jeszcze protestowali z bronią w ręku.

Przez cały piąty wiek nie ustawała prawie walka, a jednak w tym właśnie czasie życie umysłowe i literatura Ormian do takiego doszły rozwoju, jakiego w następnych stuleciach już nigdy nie dosięgnęły.

Ma się rozumiéć, że helenizm, który potężny swój wpływ już był rozpostarł od Tybru aż do Eufratu, najwięcéj kiełkującéj téj literaturze dostarczył nasion i pokarmu, gdyż w przeciągu kilku wieków młodzież ormiańska uczęszczała do szkół greckich i literatura grecka nigdy prawie nie przestała być źródłem kształcenia się dla pisarzy ormiańskich.

Najwybitniejszym pisarzem piątego wieku jest Mojżesz z Choren, nazwany przez Ormian „ojcem literatury.“ Liczba dzieł jego jest dość znaczna, zwłaszcza liczba przekładów z greckiego i syryjskiego, lecz najważniejszém z nich jest jego „historya Armenii“, opracowana przeważnie podług kronik greckich, z których jednak żadna do nas nie doszła. W dziele swojém, tłomaczoném dziś na niektóre języki europejskie, opowiada Mojżesz dzieje swego narodu od czasów Hajka, mniemanego protoplasty Ormian, aż do roku 441. Choć wiadomości jego często nie zgadzają się z wiadomościami podanemi przez pisarzy greckich i rzymskich, to widać jednak ze wszystkiego, że są oparte na sumiennych badaniach i dlatego téż „historya“ jego nazawsze zostanie najcenniejszém do pierwotnych dziejów Armenii źródłem. Prócz niéj napisał on jeszcze „Retorykę“, potém cenną „Geografią“ i pieśni kościelne, które weszły do „szarakanu“ czyli śpiewnika kościoła ormiańskiego. Mojżesz z Choren był wogóle jednym z najuczeńszych mężów swojego czasu, znał kilka języków i po kolei zwiedzał najsławniejsze ogniska ówczesnego życia umysłowego, jak Aleksandryą, Bizancyum, Ateny i Rzym.

Nie mniejsze jako historyk ma znaczenie współczesny mu Elizeh Wartaped, autor sławnego dzieła „Narodowe powstanie Armenii chrześciańskiéj pod księciem Wartanem.“ Jest to obrazowo opowiedziana historya wojen prowadzonych przez Ormian przeciwko Persom około połowy piątego wieku i ponieważ autor sam był świadkiem tych krwawych wstrząśnień i zapasów, opowiadania jego wielką posiadają siłę i dramatyczność. Nie jest on suchym kroni-

karzem, lecz wymownym, barwnym sprawozdawcą, obrazy którego częstokroć są porywające. Piękny i pełen realizmu jest zwłaszcza opis głównej bitwy; wielce poetyczny zaś ostatni rozdział, w którym autor opowiada o bohaterskiém i pełném poświęcenia zachowaniu się niewiast ormiańskich w dniach niedoli narodowéj.

Po tych dwóch znakomitych historykach zasłynęli jeszcze inni pisarze piątego wieku, z których zwłaszcza Dawid, filozof,—katolikos Kiud i katolikos Jan I na zaszczytną zasługują wzmiankę. Pierwszy z nich był nie tylko tłómaczem Arystotelesa, ale téż sam napisał dwa zajmujące dzieła filozoficzne, mianowicie „O istocie wszechrzeczy“ i „Zasady filozofii“, w których twierdzi, że poznanie wszech rzeczy jest możebném.

Wymienieni tu pisarze byli mniéj więcéj głównymi filarami literackiego ruchu piątego wieku. Liczba tłómaczeń jest bardzo znaczna, gdyż prawie wszystkie homilie pierwszych ojców kościoła zostały wtedy przełożone na język ormiański i prócz nich jeszcze spora ilość dzieł filozoficznych i historycznych. Po za tém nie pojawiło się w tém stuleciu ani jedno dzieło fantazyi. Jak na zachodzie tak i tutaj nowa religia obcięła skrzydła fantazyi, zamknęła ją w granicach dogmatycznych, po za któremi „*curiositate opus non est*“, jak brzmiała zasada Tertuliana. Wiara trzymała wtedy wszystkie siły umysłowe w zależności od siebie, tak, że umysł ludzki tylko dla niéj, albo przynajmniéj na jéj korzyść pracować był w stanie. Wschód miał wprawdzie swój czas krytyki i zwątpienia, ale czas ten już był przeszedł i twierdzenie szkoły aleksandryjskiéj, podług którego filozofia była dla pogan tylko przygotowaniem do chrześcianizmu, tak jak stary testament dla Żydów, uczyniło i z téj najważniejszéj nauki służkę kościoła.

Trudne zaiste do uwierzenia, aby w czasach kiedy Ormianie rozpaczliwą prowadzili walkę z Persami, zupełnie milczała muza ormiańska i nikt nie opiewał śmierci bohaterskiéj Wartana i jego towarzyszów broni. Bezwątpienia czyny ich opiewali bardowie ludowi, ale o pieśniach ich nie ma śladu w literaturze i z historyi widzimy tylko, że kościół ormiański wliczył Wartana w poczet męczenników swoich, gdyż uważał go zapewne więcéj za obrońcę wiary aniżeli za obrońcę ojczyzny.

Po „złotym wieku“ nastąpił pewien zastój w literaturze ormiańskiéj, do którego przeważnie przyczyniły się częste wojny z Sassanidami i upadek nauk, spowodowany rozporządzeniem tych ostatnich, zakazującém Ormianom uczęszczać do szkół greckich, a to w celu osłabienia wpływu, jaki dotąd wywierało na Armenią cesarstwo bizantyńskie i ściślejszego połączenia jéj z Persyą.

W siódmym wieku pojawia się islamizm, a wraz z nim pada wrogie dla Armenii państwo Sassanidów, ale okoliczność ta bynajmniéj nie poprawiła losu Armenii, gdyż dostała się teraz z Persyą pod panowanie zwycięskich Arabów. Wytępiają oni w Persyi naukę Zoroastra i nawracają jéj mieszkańców na mahometanizm, daremnie jednak starają się wprowadzić nową religię do Armenii, gdyż ta energicznie się temu opiera.

Pisarze tego wieku odznaczają się przedewszystkiém mistrzowskim językiem, tak, że dzieła ich pod względem językowym uważane są za klasyczne. Jednym z najznakomitszych był uczony patryarcha Komidas, który między innemi napisał wspaniały hymn na cześć św. Hripsimy.

Po długich wstrząśnieniach i klęskach nadszedł nareszcie w dziewiątym wieku dla Armenii znowu okres pokojowego rozwoju i to mianowicie pod rządami królów z dynastyi Bagratydów. Władcy ci wspierali nauki i sztuki, ale pomimo to czasy ich nie wydały wielkich pisarzy, gdyż prócz Jana IV, katolikosa, autora obszernéj historyi Armenii, Tomasza Arcruni'ego, również cennego historyka i uczonego Zacharyasza I, katolikosa, większość ich zajmowała się tylko tłómaczeniami. Nauki uprawiano zresztą, tak jak dawniéj, dość gorliwie a wielką sławą cieszył się pod tym względem klasztór, założony w dziesiątym wieku w miejscowości Nareg. Z niego téż wyszedł jeden z najsłynniejszych pisarzy ormiańskich, Grzegorz z Naregu, autor pięknego komentarza do „pieśni nad pieśniami“ i „księgi modlitw“, albo elegii świętych. Ostatniéj zwłaszcza zawdzięcza całą swoją sławę; zawiera ona blisko sto modlitw, wyrażających rzadką siłę wiary i głęboką cześć i miłość dla Stwórcy. Choć prozą napisane, odznaczają się te elegie prawdziwie wzniosłą poezyą, poezyą oderwaną od wszystkiego, co ziemskie i rozpływającą się w nieobjętych sferach ekstazy religijnéj.

Sprawami doczesnemi nigdy nie zajmowała się średniowieczna poezya ormiańska, znalazły one tylko miejsce w literaturze prozaicznéj. Nowo przyjęta religia stała się jakby wcieleniem idei narodowéj, tak, że wszelkie po za jéj obrębem leżące czynniki życia narodowego uważane były za podrzędne. Wygórowana ta troska o odrębność kościoła krajowego jak i ekstaza religijna, właściwa narodom wschodnim, zgubnie wpłynęła na państwowe sprawy Armenii, gdyż nauczyła ich mieszkańców obojętności względem spraw świeckich i osłabiła duch rycerski.

Siła oporu przeciwko wrogom zewnętrznym znikała coraz bardziéj, ale natomiast wzrastała siła wiary w nieomyślność kościoła narodowego, odłączonego po czwartym soborze Chalcedońskim

ostatecznie od kościoła grecko-wschodniego. Dla téj wiary i chwały bożéj wogóle pracowały najlepsze siły umysłowe Armenii średniowiecznéj i tak byli wszyscy oddani temu zadaniu, że najnieszczęśliwsze wypadki polityczne, zaszłe w ich ojczyźnie, nie oddziaływały na nich. Nauka i literatura rozwijały się więc pomimo szczęku oręża i klęsk narodowych i w jedenastym wieku, kiedy Armenia na nowo traci swoję niezależność, przechodząc pod panowanie Greków, nauki rozkwitają w niéj jak może nigdy przedtém i w licznym tłumie autorów homilii i kronikarzy pojawia się nawet pisarz niepośledniéj wartości Grzegorz Magistros. Najznakomitszém dziełem tego, jako filozof oraz jako teolog, odznaczającego się autora, jest zbiór listów, rzucających wiele światła na polityczne, kościelne i literackie stosunki.

Ku końcowi tego stulecia część Małéj Armenii, mianowicie Cylicya, znowu odzyskała niezawisłość i Rupen, jeden z potomków wytępionéj przez Greków dynastyi, założył tu małe królestwo, w którém wnet dość świetnie rozwinęło się ormiańskie życie narodowe. W północnych częściach kraju gospodarowali jednak daléj Grecy, pustosząc go ogniem i mieczem i uciemiężając ludność. Pomimo tak smutnego stanu rzeczy, ruch naukowo-literacki nie tylko nie zmniejszył się w tym czasie, ale ożywił się jeszcze bardziéj, tak, że dwunaste stulecie po „złotym wieku“ najsławniejszych wydało uczonych i pisarzy. Liczba szkół klasztornych, uposażonych w bogate księgozbiory, była w tym czasie bardzo znaczna; uprawiano w nich obok nauk także języki grecki i syryjski, a w niektórych nawet łaciński.

Na czele wszystkich pisarzy tego stulecia stoi Narses Sznorhali (nadobny), uchodzący sprawiedliwie za największą ozdobę kościoła ormiańskiego. Był on teologiem, filologiem i poetą zarazem i nie tylko poetą wyłącznie duchownym, gdyż prócz wielkiego poematu „Jezus, syn“, w którym po mistrzowsku streścił cały stary i nowy testament i który francuski armenista Villotte nazywa „prawdziwie boską księgą“, napisał jeszcze obszerną elegią na wzięcie Edessy i wierszowaną historyą swego narodu. Wielce cenione są téż jego pisma prozaiczne, zwłaszcza modlitwy i listy pisane do rozmaitych Greków i księży ormiańskich. Prócz Narsesa wiek ten jeszcze wydał znaczny zastęp uczonych pisarzy, których nazwiska w historyi piśmiennictwa ormiańskiego zawsze z pochwałą wspominane będą. Tu zasługują jeszcze na wzmiankę Mechitar Kosz, autor zbioru bajek, i Chaczatur, poeta duchowny.

Byli to już epigonowie licznéj plejady klasycznych pisarzy i odtąd literatura synów Hajka chyli się ku upadkowi. W trzyna-

stém stuleciu kilku autorów zaczyna pisać w narzeczach, znajomość klasycznego języka staje się coraz rzadszą i nauki nie cieszą się już taką gorliwą uprawą jak dawniéj. Razem z umysłową cywilizacyą upada i materyalna, gdyż kraj pustoszą Mongołowie, Turcy i Arabowie, najbogatsze miasta, pomiędzy niemi wspaniały Ani, imponujący dziś jeszcze swemi ruinami, stają się pastwą płomieni, a doprowadzona do nędzy ludność opuszcza coraz większemi masami kraj rodzinny. Ci, co w nim pozostali, nie upadli wprawdzie zupełnie na duchu, ale siła narodu ormiańskiego już była złamana i uprawa nauk i literatury już nie była jak dawniéj czynnikiem ożywczym, lecz suchą pracą, wywołaną koniecznością utrzymania jakiéj takiéj oświaty w duchowieństwie.

Zastój ten trwał parę wieków i nawet założenie pierwszéj drukarni ormiańskiéj w Wenecyi w roku 1565, niczém się prawie nie przyczyniło do wskrzeszenia nowego życia umysłowego. Dopiéro w siedmnastém stuleciu zauważyć się dają pierwsze błyski odrodzenia się literatury ormiańskiéj, ale były one słabe i wiele czasu upłynęło zanim jaśniejszém trysnęły światłem. W r. 1629 założono w Erywanie i w innych sąsiednich miejscowościach nowe szkoły, które nie były bez wpływu na powstający powtórnie ruch naukowy, ale wycieńczony i zdziczały kraj rodzinny już nie mógł być dla Ormian polem dla rozwinięcia działalności umysłowéj i dlatego szukali oni dogodniejszych ognisk dla swéj pracy po za granicami ojczyzny. W wielu miastach Europy i Azyi, gdzie liczne istniały kolonie ormiańskie, założono szkoły i drukarnie i starano się uchronić język i literaturę przodków od zatraty. Niebezpieczeństwo takie groziło im rzeczywiście, gdyż wskutek rozproszenia się Ormian po rozmaitych krajach, język ich rozpadł się był na kilka narzeczy, i pisarze, choć znali jeszcze jako tako język klasyczny, zaczęli jednak coraz więcéj używać obcych wyrazów, nie zrozumiałych dla większości ich ziomków.

Przy takich okolicznościach dalszy rozwój literatury stawał się trudnym albo nawet niemożebnym, gdyż dzieła pisane w narzeczu, zrozumiałém tylko dla niewielu, nie mogły być środkiem kształcenia się dla ogółu. Trzeba więc było stworzyć nowy język literacki a zadanie takie olbrzymiéj wymagało pracy i umiejętności i tylko zbiorowemi siłami mogło być spełnioném. Zrozumiał to Mechitar, założyciel zakonu Mechitarystów i ponieważ on pierwszy dał impuls do odrodzenia się literatury ormiańskiéj, okres jego tak bogatéj w skutkach działalności, wliczyć należy do historyi nowo-ormiańskiego piśmiennictwa.

II.

Mechitar urodził się w roku 1676 w Sebastyi, w Azyi Mniejszéj, i mając lat piętnaście wstąpił do klasztoru, gdzie gorliwie oddawał się czytaniu Pisma świętego. Po niedługim tu pobycie udał się do Erzerumu, gdzie wszedł w stosunki z jednym jezuitą-misyonarzem, który mu wiele opowiadał o kraju „franków“ i wyłożył mu główne zasady religii katolickiéj. Opowiadania te widocznie silne na nim wywarły wrażenia, gdyż choć młodzieńczy jego umysł może jeszcze nie był w zgodzie z sobą samym, co do właściwego celu swych dążeń, to jednak przypuszczać można, że późniejsze przechylenie się Mechitara na stronę kościoła katolickiego, po części wyszło z owych w młodzieńczym wieku powziętych wrażeń. Tułając się potém po rozmaitych okolicach Armenii, coraz częściéj miał sposobność spotykania się z księżmi katolickimi i myśl zwiedzenia Rzymu już odtąd zajmować go nie przestawała. Nie była to prosta ciekawość oglądania wspaniałéj rezydencyi papieża, ani téż tylko uczucia religijne, które myśl tę w nim zrodziły, lecz żądza nauki i światła, gdyż nie ulega wątpliwości, że już wtedy w nim powstała idea odrodzenia swego narodu za pomocą oświaty i cywilizacyi europejskiéj.

Po długich niepowodzeniach i przygodach dostał się nareszcie zamiast do Rzymu, do Konstantynopola, gdzie wówczas pomiędzy Ormianami wielka panowała niezgoda z powodu propagandy prowadzonéj przez misyonarzy katolickich. Wśród ostatnich najwięcéj odznaczał się wymową i uczonością Chaczatur, uczeń kongregacyi *de propaganda fide*. Jemu to zaproponował Mechitar założenie religijnego bractwa w celu podniesienia oświaty duchowieństwa i narodu ormiańskiego wogóle. Chaczatur nie przyjął jego propozycyi i plan jego ściągnął nań tylko nieprzyjazne napaści ze strony duchowieństwa, które go podejrzywało o odszczepieństwa od kościoła narodowego. Pomimo to nie zaniechał swego planu i w roku 1701 przystąpił nareszcie do zawiązania kongregacyi. Liczba jego zwolenników wynosiła dziesięciu; ci wybrawszy Mechitara jednomyślnie swoim zwierzchnikiem, przyjęli regułę św. Antoniego. Powstanie nowego bractwa z wyraźnym odcieniem katolicyzmu wywołało wśród duchowieństwa ormiańskiego wielkie wzburzenie umysłów. Mechitar i jego adepci zmuszeni byli uciec z Konstantynopola i dopiéro po trzech latach udało się im na nowo połączyć w Morei. Tu téż założyli swój klasztor, lecz gdy w roku 1715 wybuchła wojna pomiędzy rzeczpospolitą wenecką a Turcyą, przesiedlili się do Wenecyi i tu uzyskał Mechitar w roku 1717 pozwolenie na wybudowanie klasztoru na wyspie San Lazzaro. Tak do-

stąpił on nareszcie spełnienia swych długoletnich usiłowań; na schyłku życia, mąż ten wzniósł tu zakład, który z czasem stać się miał nie tylko kolébką nowoczesnéj literatury ormiańskiéj, ale téż ożywczém źródłem dla odradzającego się narodu ormiańskiego.

Małe bractwo wyrosło wnet na liczną kongregacyą, która po śmierci swego założyciela przyjęła nazwę mechitarystów. Pierwszém dążeniem jéj było wskrzeszenie języka staro-ormiańskiego, a to aby na jego podstawie utworzyć nowy język literacki. W tym celu jeszcze za życia Mechitara wydaną została gramatyka języka staro-ormiańskiego, potém nowy przekład Pisma świętego, pomnikowy słownik ormiański, gramatyka nowo-ormiańskiego języka i cały szereg dzieł przeważnie teologicznych. Sam Mechitar był pisarzem niezwykłago talentu i uczoności i między innemi przełożył na język ojczysty „Naśladowanie Chrystusa.“

Po śmierci jego kongregacya działała daléj w pierwotnie przyjętym kierunku i powiększywszy z czasem znacznie swoje środki materyalne, ulepszyła swoję szkołę, założyła własną drukarnię i z niewyczerpaną wytrwałością prowadziła uprawę nauk i sprawę oświaty. Ze szkoły mechitarystów wyszli nie tylko uczeni księża, ale téż znaczny zastęp ludzi świeckich, którzy potém zasłynęli na polu literatury i innych spraw narodowych. Już pod tym względem zasługi mechitarystów są bardzo znaczne, lecz najważniejszą stroną ich przeszło półtorawiekowéj działalności jest ich praca naukowo-literacka, bez któréj ani oświata, ani piśmiennictwo ormiańskie nie doszłyby do tego stopnia rozwoju, w jakim się obecnie znajdują. Im prawie wyłącznie zawdzięczają Ormianie swój nowy język literacki i historyografią, traktowaną tak poważnie i naukowo, że nie tylko żaden z narodów wschodnich, ale téż nie jeden z narodów słowiańskich podobną historyografią pochlubić się nie może. Dzieła, jak „Historya Armenii“ Czamczyana, „Starożytności Armenii“ Indzidziana, „Szyrak“ i „Cylicya“ Aliszana i tym podobne wyjść tylko mogły z pod pióra prawdziwych uczonych. Nie mniejszą wartość mają liczne ich prace filologiczne, zwłaszcza gramatyki i słowniki starożytnych i nowych języków, potém zaś przekłady wielu dzieł literatury pięknéj i naukowéj. Liczba wszystkich dzieł wydanych przez mechitarystów od r. 1715—1882 wynosi 883 w 1105 tomach. Wenecka (1) kongregacya sama wydała do tegoż roku 157 dzieł

(1) Wskutek sporu wynikłego pomiędzy adeptami gregoryanizmu i katolicyzmu, kilku członków kongregacyi, żądających szczerego poddania się Rzymowi, wystąpiło ku końcowi przeszłego wieku z kongregacyi i założyła filię w Tryeście, którą późniéj przeniesiono do Wiednia, gdzie dziś jeszcze istnieje.

o teologii i filozofii, 63 o historyi powszechnéj i geografii, 48 o historyi i geografii Armenii, 45 o klasycznéj literaturze ormiańskiéj, 76 z obcéj literatury, 76 zawierających utwory poetyczne, 64 o naukach przyrodzonych, 48 o filologii.

Mając swą siedzibę prawie w sercu Europy, na klasycznéj ziemi włoskiéj, mechitaryści łatwiéj niż ich ziomkowie mieszkający w Konstantynopolu albo w saméj Armenii, uprawiać mogli nauki i literaturę. Umysłowa ich działalność długo rozwijała się zupełnie niezależnie od ogólnego rozwoju narodu ormiańskiego i podczas gdy około połowy naszego stulecia kongregacya mechitarystów już wszędzie słynęła jako poważna instytucya naukowa, ogół narodu dopiéro pierwsze czynił kroki dla rozbudzenia życia umysłowego. Od czasu do czasu pojawiła się wprawdzie tu i owdzie jakaś nowa książka albo efemeryczna gazeta, ale były to tylko sporadyczne zjawiska bez znaczenia i właściwy ruch umysłowy zaczął się dopiéro w roku 1840 z założeniem w Smyrnie gazety „Arszalujs Araratian“ (Zorza Araratu). Pismo to istnieje jeszcze dzisiaj i miało w swoim czasie nie mało znaczenia dla narodowéj sprawy Ormian, gdyż był to pierwszy organ, w którym rozproszeni po dalekich krajach synowie Hajka przemawiać mogli do siebie o wspólnych interesach narodowych i o potrzebie i środkach dla wytworzenia nowéj kultury ojczystéj. Dość żywe zajęcie, jakie „Zorza Araratu“ wzbudziła w społeczeństwie ormiańskiém, było dowodem, że już istniał w niém żywioł, dla którego nie obojętnemi były sprawy oświaty i postępu. Było to jednak tylko bierne zajęcie i niewielu z ludzi wykształceńszych czynny w tych sprawach brało udział, tak, że jeszcze cały dziesiątek lat upłynął, nim nowy ruch na tyle się stał żywotnym, że o jego dalszym rozwoju już wątpić nie można było.

Główném ogniskiem budzącego się życia umysłowego był obok Smyrny Konstantynopol, gdzie liczba Ormian wynosi przeszło ćwierć miliona i gdzie wiele okoliczności, zwłaszcza łatwiejsze z Zachodem stosunki rozwojowi jego sprzyjały.

W szóstém dziesięcioleciu budziło się także życie umysłowe pomiędzy Ormianami zamieszkującymi Kaukaz, lecz podczas gdy Ormianie tureccy więcéj ulegali wpływowi literatury francuskiéj i angielskiéj, pierwsi pisarze Ormian kaukazkich naśladowali wzory niemieckie. Początek do tego kierunku literackiego dał profesor Stepanos Nazaryanc, który od roku 1858 do 1862 wraz z poetą Nałbandiancem wydawał w Moskwie pismo „Hussisapail“ (Zorza północna), potém też były uczeń uniwersytetu dorpackiego Abowian, autor powieści „Werk Hajastani“ (Rany Armenii).

Od tego czasu nowa literatura ormiańska wciąż się rozwija i chociaż lwia część produkcyi literackiéj przypada na tłómaczenia, to mają Ormianie jednak już dość pokaźny szereg pisarzy oryginalnych, pracujących w rozmaitych gałęziach literatury pięknéj i naukowéj.

Nowe piśmiennictwo ich jest przedewszystkiém narodowém i choć wogóle się rozwijało pod wpływem obcych literatur, to wyrosło jednak z życia narodowego, którego też jest wyrazem albo przynajmniéj odbiciem. Pomimo téj cechy narodowéj, mało występuje w niém właściwa etyka wschodnia, gdyż z światem mahometańskim nic literatura ormiańska nie ma wspólnego i nawet poezya perska w niczém nie wpłynęła na jéj rozwój. Prawie wszyscy wybitniejsi poeci i pisarze ormiańscy przepędzili część swéj młodości w Europie i choć może w charakterze ich wiele się zachowało przymiotów właściwych ludom Wschodu, to jednak w poglądach wielce się zmienili i w dążnościach swoich jedynie europejskie naśladują wzory.

Głównym czynnikiem poezyi ormiańskiéj jest miłość do kraju rodzinnego, wyrażająca się przeważnie w tęsknocie za nim, gdyż jak wiadomo, wielka część Ormian dawno już nie mieszka w Armenii, lecz w krajach przyległych albo też rozproszona jest po dalekim świecie. Tęsknota za ojczyzną i nadzieja zobaczenia na nowo narodu swego zgromadzonym na gruncie rodzinnym, potém uświetnienie dawnéj jego przeszłości, oto główne motywy patryotycznéj poezyi, która w nowéj literaturze ormiańskiéj daleko pokaźniejsze zajmuje miejsce aniżeli erotyka.

Pierwszym wybitniejszym poetą był ks. Bagratuni, mechitarysta, autor obszernéj epopei „Hajk, bohater“, w którym opowiada pierwotne dzieje Armenii. Poemat ten wielce jest ceniony przez Ormian, zwłaszcza dla mistrzowskiego języka. Obok niego też zasługuje na wzmiankę ks. Edward Hurmuzjan, również mechitarysta. Muzy obu tych uczonych duchownych są poważne i religijne.

Nawskróś światowym był za to Nałbandianc, poeta nie pozbawiony talentu, ale też przytém niespokojny i pełen niepohamowanéj namiętności. Talent swój zmarnował w szermierkach publicystycznych i rozdrażnienie, jakiemu wciąż ulegał, znalazło też wyraz w jego utworach poetycznych. Jedną z najpiękniejszych jego poezyi jest „Oda do wolności“.

Zupełnie innego charakteru był Mkrtycz Beszyktaszljan, łagodny i rzewny liryk, umiejący jednak także być wzniosłym i dramatycznym. W pieśniach swoich opiewa przeważnie kraj rodzinny,

malując powaby jego przyrody prawdziwie świetnemi barwami. Urodzony w sercu Armenii a wychowany w Wenecyi u mechitarystów, osiadł potém w Konstantynopolu, gdzie aż do swojéj przedwczesnéj śmierci był poniekąd duszą całego ruchu narodowego, walcząc przeciwko gallomanii swoich ziomków i rozgrzéwając serca ich miłością do kraju rodzinnego. Patryotyczne jego uczucia najgorętszy znalazły wyraz w jego „Młodzieńcu Zeituńskim", napisanym w roku 1862 pod wrażeniem powstania Ormian Zeituńskich przeciwko Turkom. Przez całe życie tęsknił za krajem rodzinnym i ze smutkiem odwracał się od powabnéj przyrody obcéj krainy, jak to pięknie wypowiada w jednéj ze swoich poezyi:

**Wiosna** (garun).

„O jak świeżo i przyjemnie powiewasz ty, wietrzyku poranny! Jak pieszczotliwie igrasz z kwiatami i z lokami dziewicy! Lecz ty nie przychodzisz z mego kraju, więc obcym jesteś memu sercu!

„Jak słodko ty śpiewasz, ptaszyno, w kwiecistéj gęstwinie! Pieśń twoja oczaruje gaj i przemienia go w świątynię błogości. Lecz ty nie przychodzisz itd.

„Strumyku, jak miło ty szemrzesz w czasie wiosennym!" W zwierciedle twojém przegląda się z radością róża i dziewica. Lecz ty nie przychodzisz itd.

„Armenio, choć ptaki twoje latają tylko po pustyni, choć wiatr twój wieje przez zwaliska, choć zwierciadło twych strumyków jest posępném, to jednak należą one do kraju rodzinnego i drogie są memu sercu!"

W miłości do kobiet, która była jednym z ważniejszych motywów jego pieśni, znacznie się odróżnia Beszyktaszljan od zwykłych poetów wschodnich, gdyż zmysłowość zupełnie mu jest obcą i w kobiecie widzi idealną istotę, która nie tylko sercem, ale i duszą kochać należy.

Prócz wielu poezyi i pieśni, cieszących się wśród Ormian wielką popularnością, napisał on téż kilka dramatów historycznych i przełożył niektóre utwory Byrona i Wiktora Hugo na język ojczysty. Zentuzyazmowani jego pieśniami Ormianie nazywają Beszyktaszljana swoim Mussetem, przez co prawda, zanadto wysoko go stawiają, choć w piękności formy rzeczywiście doń jest podobnym.

Prawie jednocześnie z Beszyktaszljanem, to jest w początku siódmégo dziesięciolecia naszego wieku wystąpił na arenę literacką Rafał Patkanian, najpopularniejszy ze wszystkich poetów ormiańskich. Śpiewa on o tém, co wszystkich obchodzi i dzięki temu poezye jego w sercu każdego ormianina znajdują odgłos. Nienawiść do Turków, tęsknota za krajem rodzinnym, malowanie jego piękności,

zwłaszcza wspaniałości Araratu, uświetnienie przeszłości Armenii i nadzieja w lepszą przyszłość—oto główne motywy jego licznych, nie pozbawionych polotu a nieraz nawet niezwykłą siłą dyszących poezyi. Jako wychowaniec uniwersytetu dorpackiego poeta ten czas pewien znajdował się pod wpływem romantyzmu niemieckiego, potém jednak, gdy lepiéj poznał liczne wady i ciemne strony swego narodu, stał się poniekąd realistą i przeszedł na pole satyry, stawiając pod pręgierz i biczując wszystko i wszystkich, co podług jego zdania na to zasługiwali. Energicznie występował zwłaszcza przeciwko tym ze swoich ziomków, którzy w bezmyślném małpowaniu cudzoziemszczyzny upatrują treść postępu. Jak prawie każdy poeta ormiański opiewa także Patkanian bohaterskie czasy Armenii i postać Wartana Mamikoniana, ległego w walce z Persami uświetnił w poemacie „Śmierć Wartana Mamikoniana:“ W ogóle jest on jakby uosobieniem odwieczném nienawiści Ormian do mahometan, zwłaszcza do Turków i malując w jaskrawych barwach długi szereg krzywd od tych ostatnich doznanych, stworzył rodzaj „księgi cierpień“, będący téż zarazem księgą pociechy i nadziei dla wszystkich Ormian, pod panowaniem półksiężyca żyjących. Do rozbudzenia świadomości narodowéj przyczynił się Patkanian rzeczywiście najwięcéj ze wszystkich poetów ormiańskich.

Zupełnie inną jest muza ks. Leona Aliszana, mechitarysty, który wprawdzie więcéj niż Patkanian objawia poetyczności, ale mu nie dorównywa pod względem siły uczucia. Rzewność jest głównym rysem jego poezyi, poświęconych w znacznéj części krajowi rodzinnemu, malowaniu jego przyrody i uświetnieniu przeszłości. Jak Beszyktaszljan kocha i on przyrodę i widząc w niéj wiecznie się objawiającą wszechmoc Stwórcy, przeciwstawia ją nicości człowieka i znikomości wszystkiego, co ziemskie. Pomimo to nie wyrzeka się nadziei w przyszłość swego narodu, lecz patrzy z otuchą w przyszłe czasy i w poemacie „Wielki i mały Massis (Ararat)“ przepowiada swoim ziomkom nowe odrodzenie się narodu Hajka. Przeszłości Armenii również poświęcił wiele dźwięków swojéj liry a zwłaszcza piękny jest poemat „Słowik Awarajryjski“, opisujący śmierć Wartana Mamikoniana i zaczynający się takim wstępem:

„Księżycu, czego tak w milczeniu
Chodzisz po niebie i rozlewasz srebrne blaski
Na góry i niwy i ciemne lasy
I na mnie starca, który samotny
Tu błądzę o północnéj godzinie
Po polach Awarajryjskich, gdzie nasi ojcowie
Śmierć znaleźli, gdzie miecz Persyi

Się złamał o nasz puklerz!
Gdzie ci niezrównani polegli,
Aby powstać w blasku sławy!
Czy ty może tu przychodzisz ze swoich
Wiecznie lazurowych nieba sfer,
Aby na te święte kości
Położyć kir żałoby, utkany
Z twoich srebrnych promieni?
Czy ty może występujesz z po za chmur,
Aby krwią tak obficie tu przelaną
Zaczerwienić wieniec twych promieni.
Albo może dziś jeszcze jesteś
Zdumiony walecznością Wartana,
Który tu poległ w walce, niosąc
Śmierć do serc nieprzyjaciół
I sam się uniósł do nieba,
Gdzie teraz mieszka jako święty?
I ty Tygmucie, rzeko, ty także skargi szemrzesz,
I ty wietrze, co wiejesz ze skał Maku
Albo z świętego sędziwego Araratu,
Drżąc ciągniesz wiecznie przez to
Pole sławy, niosąc westchnienie zbolałego serca
Do rozproszonych moich braci,
Aby wkraść się do ich serc jako pieśń boleści!
Ach, ty wierny przyjacielu zrozpaczonych serc,
Słowiku, dziecię kwiatów nocy,
Duszo róż, ulżyj mym boleściom,
Opiewaj głośno świętą walkę bohaterską,
Opiewaj z moją duszą, jednym głosem,
Jak poległ bohater ormiański!“

Prócz wspomnionych tu poetów, parnas ormiański już tylko bardzo mierni zaludniają lirnicy i młodych wzbijających się na jego wyżyny talentów niema obecnie wcale. W ogóle nie odznacza się naród ormiański uzdolnieniem poetyckiém, lecz przeciwnie wielkim realizmem w życiu i w literaturze.

Realizm ten najlepiéj uwydatnia się w jego młodéj literaturze powieściowéj, powstałéj mniéj więcéj przed czterdziestu laty. Początki jéj były, ma się rozumiéć, jeszcze w wysokim stopniu romantyczne, jak np. „Werk Hajastani“ (Rany Armenii) Abowiana, którą pomimo wielu wad uważać można za pierwszą, podług wymagań literackich napisaną powieść. W niéj autor, wychowany pod wpływem romantyzmu niemieckiego, dał obraz nędznego położenia i upadku moralnego Ormian pod panowaniem perskiém. Powieść ta miała w swoim czasie nie małe znaczenie dla nowéj literatury ormiańskiéj, ale dziś ją tylko rzadko kto czyta i wartość posiada jedynie jeszcze etnograficzną. Od czasu jéj pojawienia się upłynęło

przeszło czterdzieści lat i obecnie posiadają Ormianie już stosunkowo dość znaczny zasób powieści oryginalnych, z których jednak przeważająca większość bardzo podrzędnéj jest wartości.

Do zdolniejszych powieściopisarzy należy mało zresztą znany Taghetyan, który niektóre swoje nowele nawet rymował, pierwsze jednak miejsce zajmuje bezwarunkowo wzmiankowany już jako poeta Rafał Patkanian. Odznacza się on nie tylko wielkim darem spostrzegawczym i humorem, ale téż samoistnym realizmem, mającym specyalnie ormiańskie piętno. Maluje on wyłącznie tylko życie ludu, w którym odszukać umié prawdziwie oryginalne i zajmujące typy. Bohaterowie jego są powiększéj części ludźmi bardzo prostymi i autor malujący ich z bezwzględną wiernością malarza flamandzkiego, zostawia im téż ich jędrny i oryginalny sposób mówienia, na czém estetyczna strona jego opowiadań wiele traci. Pomimo to należą one w każdym razie do utworów niezwykłych i każdy lubiący zdrowy realizm przeczyta je z przyjemnością i zajęciem.

Z życia ludowego również biorą swe temata Proszyanc i Aghajanc. Pierwszy napisał kilka obszernych powieści jak np. „Sos i Wartyter", „Gonitwa za groszem", „Szahen", „Jabłko niezgody" itd. Opisuje on w dość zajmujący sposób życie wiejskie we wszystkich jego odcieniach, tak że pod względem etnograficznym powieściom jego trudno odmówić znaczenia. Inaczéj się ma z artystyczną ich stroną, która wielce jest wadliwą, co zresztą jest właściwością większości epicznych utworów nowéj literatury ormiańskiéj. Brak ten z czasem zapewne zniknie i wtedy powieść ormiańska prawdopodobnie na dość wybitnéj stanie wysokości, gdyż jak już dziś widać, posiadają Ormianie nie mały dar spostrzegawczy i instynktowną skłonność do odtwarzania życia rzeczywistego. Dzisiejszy ich realizm nazwać można realizmem powierzchowności, gdyż choć nieraz dość zręcznie malują zwyczaje, czyny i postępki człowieka, to jednak unikają trudności umotywowania ich i rozbiorów procesów psychicznych.

Nie bez pewnéj wartości etnograficznéj są też opowiadania Raffi'ego, zajmującego się głównie opisaniem życia Ormian perskich i tureckich; społeczeństwo ormiańskie w Konstantynopolu maluje znowu Arpiryan. Podług wzorów francuskich pisze pani Dussap, roztrząsająca w swych powieściach kwestyą emancypacyi kobiet; Anglików naśladuje Namuryan, satyryczne nowele pisze Paronian, małych krezusów kaukaskich biczuje Szyrwanzade itd.

Prawdziwém źwierciadłem życia powieść ormiańska jeszcze nie jest i to pomimo przejawiającego się w niéj realizmu, gdyż uprawiaczom jéj brak głębszego zrozumienia tego życia i przedewszyst-

kiém daru poetycznego odtwarzania rzeczywistości. Nie jeden z nich umié spostrzegać, ale zgromadziwszy materyał, nie umie go spożytkować należycie. Będąc narodem nawskroś realistycznym, unikają Ormianie wszelkiej gry fantazyi i biorą rzeczy jak są, to jest przedstawiają powierzchowność, która przecież musi być suchą i nudną, jeżeli jej nie ożywia promień poezyi. Dotychczas więc przedstawia powieść ormiańska tylko szkice i może wiele takich próbek wyjdzie jeszcze z pod pióra tych wschodnich realistów, nim się pojawi prawdziwa, jednocześnie ich instynktom i ogólnym zasadom estetycznym odpowiadająca powieść. Wtedy realizm ich zwróci bez wątpienia na siebie uwagę Zachodu, gdyż będzie to realizm nie sztuczny, ale instynktowy, prawdziwy.

Najbiédniejszą gałęzią literatury ormiańskiéj jest dramaturgia, choć i na tém polu Ormianie już dość dawno pracują, albowiem sztukę dramatyczną uprawiają już blizko trzydzieści lat. Pierwszy teatr ormiański założono w r. 1858 w Konstantynopolu, w parę lat późniéj drugi w Smyrnie i nie długo potém trzeci w Tyflisie. Z początku zajmowano się dość gorliwie jego rozwojem, ale gdy się pokazało, że dobre chęci nie zastępują zdolności, osłabł pierwotny zapał i dziś znajduje się teatr ormiański w dość złym stanie a nawet w zaniedbaniu. Od chwili powstania teatru pracowali rozmaici pisarze i poeci nad swojskim repertuarem, ale pomimo to liczba utworów, mających choćby skromną tylko wartość, dotychczas jeszcze bardzo jest szczupłą. Tyczy się to w jednakowym stopniu dramatu i komedyi i to pomimo bogatego materyału, jaki dla obu gatunków mogłoby dostarczyć przeszłe i obecne życie Ormian. Dramaty „Ruzana“, „Wartan Mamikonian“ i jeszcze kilka innych historycznych bywają wprawdzie od czasu do czasu grywane i dość liczną przyciągają publiczność, ale to tylko dzięki patryotycznéj treści, gdyż jako utwory sceniczne są słabe. W komedyi również mało dotąd zrobiono i sztuki Gabryela Sundukianca, właściwego twórcy komedyi ormiańskiéj, są dotychczas jeszcze jedynemi tego rodzaju utworami, które jaką taką mają wartość, chociaż pierwsza z nich pojawiła się już przed dwudziestu laty.

Liczba komedyi Sundukianca jest zresztą niewielka. Za przedmiot służy mu wyłącznie życie Tyfliskie, którego rzeczywiście gruntownym jest znawcą, ale jak większość powieściopisarzy ormiańskich, zatrzymuje się on na powierzchownościach i zamiast prawdziwych charakterów daje tylko ich zarysy albo zresztą typy. Jest on, ma się rozumiéć, realistą i pieniądz prawie zawsze jest głównym jego sztuk bohatérem. Najlepszą jego komedyą jest „Chatabała“, która wprawdzie jako całość jest chybioną, ale wyborne zawie-

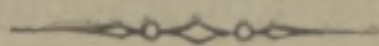
ra sceny, co też powiedzieć można o innych jego komedyach, z których każda daje dość zajmujące obrazy z życia Tyfliskiego.

Braki swéj literatury pokrywają Ormianie przekładami, liczba których bardzo jest znaczną, gdyż na polu tém pracuje niemały zastęp ludzi pióra. Prawie każdy wykształceńszy Ormianin włada kilkoma obcemi językami, zwłaszcza francuskim i niemieckim, nie rzadko też włoskim i angielskim. Łatwość przyswajania sobie obcych języków jest u nich tak powszechna, że żaden inny naród wschodni pod tym względem im nie dorówna. Dzięki téj ogólnéj znajomości języków europejskich, mają Ormianie możność gruntownego zaznajomienia się z życiem umysłowém i literaturą narodów europejskich, co się też wyraźnie odbija na ich własném piśmiennictwie, mającém już dziś ogólne cechy europejskie.

To samo powiedzieć można o prasie ormiańskiéj, rozwijającéj się już od kilkudziesięciu lat podług wzorów europejskich. Pierwsze pismo ormiańskie powstało jeszcze w roku 1799. Był to rocznik wydawany przez mechitarystów weneckich i choć to właściwie nie było pismo peryodyczne, była to jednak pierwsza próba tego rodzaju, po któréj wnet następowały inne. W roku 1840 pojawił się w Smyrnie „Arszalujs Araratyan“, w roku 1845 w Wenecyi miesięcznik „Barmawep“ (Polihistor), potém „Asgasser“ (Patryota) w Kalkucie itd. Właściwém ogniskiem prasy ormiańskiéj jest Konstantynopol, gdzie zwłaszcza po nadaniu Ormianom przez rząd turecki konstytucyi, prasa ich dość prędko i krzepko się rozwinęła. Wszystkich aż do roku 1885 wydawanych pism ormiańskich było przeszło 140, z których wiele niedługo istniało, niektóre zaś trzymają się już lat kilkadziesiąt. Liczba wszystkich obecnie wychodzących gazet i pism peryodycznych ormiańskich wynosi przeszło 30, mianowicie 9 gazet codziennych („Arewelk“—„Wschód“: „Hajrenik“ — „Ojczyzna“; „Puncz“ — „Bukiet“; „Lujs“ — „Światło“ w Konstantynopolu“. „Arszalujs Araratyan“ — „Zorza Araratu“ w Smyrnie. „Irawunk“— „Prawo“ w Warnie. „Armenia“ w Marsylii. „Mszak“ — „Pracownik“ i „Nor Dar“ — „Nowy wiek“ w Tyflisie). Tygodników jest ośm, miesięczników zaś około piętnastu albo więcéj.

Taki rozwój prasy peryodycznéj daje najlepsze świadectwo o życiu umysłowém Ormian i pozwala przypuszczać, że zdolny i wytrwały ten naród daléj pójdzie na drodze postępu.

*Artur Leist.*





# KONGRES HYGIENICZNY

## MIĘDZYNARODOWY

### W WIEDNIU (1887).

Hygiena publiczna jest udziałem tylko narodów wysoce ucywilizowanych, bo chociaż doświadczenie o ważności zdrowia łatwo się nabywa, to jednak trzeba dojrzałości umysłowéj, trzeba studyów przyrodniczych i społecznych, zanim rozwinie się w społeczeństwie przekonanie o możności zwiększenia sumy szczęścia ludzkiego, szczęścia narodowego, szczęścia rodzinnego i szczęścia indywidualnego — przez uzdrowotnienie natury otaczającéj i obyczajów ludzkich. Mówimy tu o hygienie publicznéj, jako o nauce społecznéj, lub jako o kierunku działalności rządów, o programie społecznym, nie zaś o instynkcie samozachowawczym, jaki w rozmaitych postaciach a w ich szeregu i w postaci hygieny się przedstawiał.

Taka hygiena istniała w zarodku w epoce klasycznéj i zginęła następnie wraz z cywilizacyą rzymską. Ani morowe zarazy, których ofiarą padały całe kraje i narody, ani przerażająca śmiertelność w miastach nie mogły wyrwać ludności z brudów przez czas bardzo długi, a odrodzone nauki przez długi czas spłodzić nie mogły hygieny. Dopiéro od lat kilkudziesięciu zaczęła ludzkość spostrzegać, iż głęboko w nieszczęście zabrnęła przez ignorowanie zasad pielęgnowania zdrowia, i oto znaleźliśmy się w przededniu nowéj epoki w dziejach ludzkości — epoki hygieny. Wprawdzie próżno woła Chadwick o konieczności urządzenia samoistnych ministeryów zdrowia publicznego, próżno wprawdzie woła Rochard: „przenieście cząstkę waszego przerażającego budżetu śmierci do budżetu życia"; wojna wprawdzie góruje jeszcze nad ludami, a najzdrowsze i najzdolniejsze jednostki skrupulatnie wybierane są na rzeź, zaś ludy

wciąż jeszcze w podziwieniu przed nowym Attylą wołają: *„Vivat Bismarck! morituri te salutant.“* Pomimo to wszakże duch światła zaczyna zwyciężać ducha ciemności i być może, iż ludzkość wreszcie przestanie samę siebie tępić, a żyć raczéj będzie kosztem natury, czucia ludzkiego pozbawionéj a zawierającéj zapewne dość pokarmu w swém łonie, aby wyżywić narody. Hygiena, powtarzamy, przedstawia jeden z objawów pożądanéj zmiany w życiu ludów.

* * *

Kongresy hygieniczne międzynarodowe wskazują na stanowisko, jakie zaczyna sobie wywalczać zdrowotność w programach społecznych. Zaledwie dziesięć lat minęło od czasu pierwszego kongresu międzynarodowego (w Brukseli), a odbyło się od téj pory już sześć tego rodzaju zjazdów. Rządy roztoczyły opiekę nad niemi, a ukoronowane głowy chętnie podejmują reprezentacyą kongresów; prasa niemałą okazuje im sympatyą,—jedném słowem zjazdy hygieniczne przedstawiają poważne zjawisko społeczne.

Kongres hygieniczno-demograficzny, o którym właśnie mówić zamierzamy, odbył się w dniach od 26 września do 2 października r. b. w Wiedniu, pod protektoratem arcyksięcia Rudolfa, który następującém przemówieniem inauguracyjném dał dowód, iż ze świadomością sprawy protektorat ten przyjął. „Najszacowniejszym kapitałem państw i społeczeństw—powiada arcyksiąże—jest człowiek. Życie każdéj jednostki przedstawia pewną wartość. Utrzymać ją i zachować nietkniętą w obrębie możliwości fizycznéj jest nie tylko obowiązkiem ludzkości, ale i zadaniem opartém na zrozumieniu najwidoczniejszéj korzyści własnéj. Jednostka jakiemikolwiek by środkami rozporządzać mogła dla podtrzymania własnego zdrowia, pozostanie zawsze bezsilną wobec najróżnorodniejszych szkodliwości nas otaczających. Niezbędną jest wspólność działania, a do spełnienia wielkiego zadania tego przysługuje wspomagana przez demografią hygiena, która opierając się na danych z nauk poczerpniętych, nakreśla drogi dla państwa i gminy do osiągnięcia celów praktycznych w całym wielkim obszarze sztuki pielęgnowania zdrowia społecznego.“

Jakkolwiek Wiedeń nie posiada w istocie wielkiego doboru przedmiotów ciekawych pod względem hygienicznym, to jednak z drugiéj strony dla zjazdów międzynarodowych nader korzystne posiada warunki. Położenie geograficzne stolicy Austryi należy do tych korzystnych warunków podobnie jak i okoliczność, że Wiedeń znajduje się w państwie, w którém połączone jest wiele języków równemi cieszących się prawami, w krainie zresztą obfitującéj

w miejscowości, które urozmaicić i uprzyjemnić mogły pobyt na kongresie.

Zanim przejdziemy do szczegółów kongresu, słów kilka poświęcić wypada cechom zewnętrznym jego. Przedewszystkiém zaznaczyć musimy, że powodzenie kongresu było znaczne. Liczbą członków, których się w Wiedniu przeszło półtrzecia tysiąca zgromadziło, przewyższył on wszystkie poprzedzające zjazdy hygieniczne, liczniejszym będąc dwukrotnie od najliczniejszego dotychczas—paryskiego (w r. 1878). Powodzenia również doznał kongres ze względu na materyał naukowy, lubo pod tym względem różnica z poprzedniemi zjazdami nie była wydatną. Sympatyczne przyjęcie ze strony reprezentacyi miasta, oraz ze strony dostojnego protektora należało również do powodzenia kongresu. Wspólne uczty, jak wspólne wycieczki rekreacyjne są już, rzec można, stałym składnikiem wypraw naukowych i za złe tego nikomu mieć niepodobna, bo takie schadzki podniecają dążenia ku łączności ludzi, wspólne mających ideały, i bez wątpienia odgrywają w tym względzie rolę bodźca energicznego. Z wycieczek mieliśmy do wyboru: Semmering, Kaltenleutgeben, ba nawet Peszt, Abazyą i Konstantynopol, a dodać należy, że zarządy dróg żelaznych po obywatelsku sprawę pojmując, dostarczyły znacznych ułatwień w komunikacyi, a mianowicie znacznie zniżyły opłatę za przejazd. Nie mamy téż i tego za złe zarządowi kongresu, iż jego zabiegliwością podziwialiśmy specyalnie dla kongresu w operze wystawione piękne balety: „Excelsior“ i „Wiener Walzer.“ Jeszcze i o tém nadmienić wypada, że składka uczestników wynosiła zaledwie po dziesięć złotych reńskich, i za te dziesięć złotych otrzymywali oni prawo do zyskania bodaj więcéj niż dziesięciu złotych na opłacie kolejowéj, do odebrania olbrzymiéj paki druków w czasie kongresu i mającego ukazać się w przyszłości olbrzymiego sprawozdania z czynności zjazdu. Przyjęcie w zamku stanowiło niejako przywiléj cesarski dla członków kongresu, a lubo kilku tylko z paru tysięcy obecnych na téj uczcie członków mogło przytém zabrać osobistą znajomość z dostojnym protektorem, wszyscy jednak mogli w nim poznać uprzejmego gospodarza, który nie zdradzając cech przyszłego władcy, raczéj postać zwykłego współbiesiadnika posiadał. Miłe również wrażenie sprawiło na obecnych nader uprzejme przyjęcie ze strony reprezentacyi miasta.

Przechodząc do treści kongresu, trzy składniki naukowe w nim rozróżnić musimy, a mianowicie: odczyty i dyskusye w gronie członków kongresu, wystawy, oraz zwiedzanie instytucyi i zakładów, okazujących mniéj lub więcéj ciekawe cechy hygieniczne. Dla szczu-

płości miejsca, które nam redakcya „Ateneum“ udzielić może, ograniczyć się oczywiście będziemy musieli do pobieżnego tylko szkicu kongresu; stopniując zaś ważność każdego z pomienionych składników, ostatni z nich pominiemy zupełnie, jako luźny tylko związek z kongresem mający, o wystawie wspomnimy pokrótce przy końcu sprawozdania. Głównie zaś zwrócimy uwagę na dyskusye i odczyty. Słów kilka jednak jeszcze powiedzieć należy o zarządzie wystawy.

* * *

Obok reprezentacyi honorowéj, podjętéj przez najważniejsze figury rządowe rakuskie, jak prezes ministrów hr. Taafe, minister oświecenia d-r Paweł Gautsch, namiestnik Rakus Dolnych br. Posninger-Chaborski, marszałek tegoż kraju hr. Kinsky i burmistrz Wiednia Edward Uhl, którzy wszyscy godność prezesów zjazdu piastowali, istniał zarząd czynny czyli naukowy, miano komitetu urządzającego mający. Prezesem tego komitetu był prof. Ludwig, wiceprezesami prof. Inama-Sternegg, Hofmann, Böhm i inni; nadto istniało kilku sekretarzy głównych tego komitetu, środek zaś ciężkości wszystkich prac organizacyjnych polegał na jednym z nich, a mianowicie na profesorze v. Gruberze. Oprócz komitetu organizacyjnego istniało kilka pomniejszych, obarczonych już tylko pewnemi specyalnemi funkcyami, jak rozkwaterowanie członków kongresu i t. p. Komitet organizacyjny wywiązał się świetnie z zadania swego i jemu w znacznéj części zawdzięcza zjazd powodzenie, nie zaniedbano bowiem niczego, aby jak najszersze zainteresowanie się świata uczonego wywołać. Nadto opracowano regulamin, w którym wiele trafnych wprowadzono paragrafów;— dla braku miejsca pominąć je musimy.

Pierwsze posiedzenie ogólne odbyło się 26-go września. Obok zwykłéj inauguracyi, z któréj najważniejszy ustęp pomieściliśmy, przytaczając mowę arcyksięcia Rudolfa, dwa ze wszech miar zajmujące odczyty wygłoszone zostały na tém posiedzeniu, a mianowicie: odczyt prof. Brouardela z Paryża o sposobach szerzenia się tyfusu, oraz prof. Pettenkofera z Monachium o wykształceniu hygieniczném na uniwersytetach i w wyższych szkołach technicznych. Szczególnie popularnym był ten drugi odczyt, w którym znakomity twórca naukowéj hygieny w Niemczech skreślił dzieje powstania i rozwoju wykształcenia hygienicznego w tém państwie i uwydatnił znaczenie tego wykształcenia. Hygiena, powiada mówca, istniała w téj lub owéj postaci w epoce odległéj, ale nie była ujęta w karby nauki; podobnie istniały najrozmaitsze obroty przemysłowe zanim

stworzono ekonomią społeczną, istniały wreszcie planety i gwiazdy, zanim powstała astronomia. W Anglii oddawna istnieje zamiłowanie do komfortu, pod którego nazwą kryła się praktyka zdrowotności, i komfort ten sprawił, iż śmiertelność Londynu zniżyła się w ciągu dwóch wieków o połowę pomimo kolosalnego wzrostu ludności w tém mieście. Podobnie, jak twierdzą prostacy, że szkoły agronomiczne są zbytkiem, gdyż i bez nich mogą istniéć zdolni rolnicy, tak téż i względem hygieny, jako nauki, nieświadomość wrogo była usposobioną i jest niestety nawet obecnie, lubo niewątpliwie wiele w ostatnich czasach zyskała szacunku ta nauka. W dalszym ciągu przypomina autor, jak kolosalne ofiary ponosi ludzkość skutkiem zaniedbania zdrowotności; za przykład wziąć można wojny, podczas których więcéj ludzi ginie od chorób niż od oręża. Wszelki wydatek, w imię zdrowotności poniesiony, przedstawia oszczędność. Przybliżone obliczenie kosztów choroby i wartości straconych korzyści z powodu niezdolności do pracy wykazuje, że Wiedeń naprzykład, w którym śmiertelność wynosi rocznie około 30 na tysiąc mieszkańców, traci co rok nie mniéj jak 42 miliony marek na chorobach mieszkańców. Gdyby śmiertelność miasta zmniéjszyła się o jeden na tysiąc, zyskałoby na tém ono 1,400,000 marek. Hygiena jednak może o wiele większy rezultat w tym względzie sprowadzić. O ile zaś nieuzasadnione są głosy tych, którzy brakiem środków materyalnych zaniedbania sanitarne tłomaczą, dowodzi tego chociażby przytoczona przez mówcę okoliczność, że w Monachium wypijano rocznie za 25 milionów marek piwa, i gdyby każdy z mieszkańców ograniczył ów niehygieniczny nałóg w ten sposób, aby przeciętnie zamiast pięciu kufli rocznie, cztery przypadało na mieszkańca, wówczas zaoszczędzonoby około pięciu milionów marek rocznie, czyli 50 milionów w ciągu lat dziesięciu. Czyż nie lepiéj było ten fundusz na zdrowie obrócić niż na choroby? Trzy są kategorye fachowców, którzy z hygieną najbliższy winni zabrać stosunek: przedewszystkiém lekarze, daléj budowniczowie i inżynierowie, wreszcie urzędnicy administracyjni. Do tych ostatnich należy wykonawstwo, wykształcenie zaś hygieniczne winno być bezwarunkowo udziałem dwóch pierwszych kategoryi. Przed czterdziestu laty nie istniały wcale katedry hygieny na uniwersytetach; dzieje profesorskiéj karyery Pettenkofera są połączone z historyą samoistności wykładów hygieny na uniwersytetach niemieckich, gdzie wykłady te w istocie znaczne poczyniły postępy, a i w świecie technicznym w Niemczech o tyle już zdrowotność zyskała zwolenników, iż utworzyło się stowarzyszenie techniki sanitarnéj. Na zgromadzeniu towarzystwa tego, odbytém w Monachium

w r. 1885, przyjęto jednogłośnie następujące co do nauczania hygienicznego w wyższych szkołach technicznych wnioski, które prelegent gorąco popiera: 1) w wyższych szkołach technicznych wykład hygieny teoretycznéj jest konieczny i prowadzony ma być przez lekarzy; 2) technika sanitarna w wyższych szkołach technicznych wykładana ma być przez technologów i to w sekcyach odpowiadających danéj specyalności (architektura, konstrukcya machin, technologia chemiczna); 3) nauka hygieny winna być dla słuchaczy obowiązującą i uzdolnienie ich kontrolowane być ma za pomocą egzaminów; 4) wyższe szkoły techniczne zaopatrzone być winny w zbiory, do praktycznych wykładów przysługujące, podobnież jak pracownie hygieniczne, w których mają być prowadzone zajęcia praktyczne.

Odczyt prof. Brouardela „O sposobach szerzenia się tyfusu“ miał za zadanie wykazać ważność studyów bakteryologicznych dla wykrycia sposobów rozprzestrzeniania się chorób nagminnych. Zdaniem autora, gorączka tyfoidalna szerzy się przez wodę do picia używaną, przez powietrze, przez odzież zanieczyszczoną i przez ręce dozorujących, źródłem zaś zarazy jest właściwy lasecznik (zwany lasecznikiem Eberth'a). Zdanie swe popiera autor poniekąd obserwacyami nad epidemiami tyfusu, podczas których badano przyczyny możliwe szerzenia się téj choroby (w Genewie, w Paryżu), oraz rozumowaniem teoretycznem. Woda w każdym razie stanowi główną drogę rozprzestrzenienia choroby, i jéj właśnie, zdaniem autora, przypisać należy ten wpływ nie mniéj jak w 90 wypadkach na 100. Czystość więc wody, podobnie jak czystość powietrza, stanowić powinna najpierwsze zadanie administracyi miejskiéj, a wszelkie koszta w tym celu ponoszone przedstawiają w każdym razie wielką oszczędność, bo zapobiegają epidemiom, które są najkosztowniejszemi i najfatalniejszemi zjawiskami w wielkich centrach ludności.

Po téj krótkiéj wzmiance o odczytach inauguracyjnych przejdziemy odrazu do mów wygłoszonych przy zamknięciu kongresu, zachowując na późniéj przegląd prac sekcyjnych. Wypadnie nam przeto skreślić pokrótce treść pracy profesora Corradiego z Pawii o długowieczności ze stanowiska historyi, antropologii i hygieny. Mówca pragnie sformułować odpowiedź na najważniejsze na świecie pytanie, o ile człowiek może przyczynić się do urzeczywistnienia powszechnego ideału: „żyć szczęśliwie i jak najdłużéj.“ Przedewszystkiem wspomina Corradi o dawnych poglądach na życie ludzkie, którego okres trwania stawiano w zależności od układu planetarnego, od kombinacyi matematycznych, naprzykład dzielono

życie na okresy trzyletnie w stosunku do długości całego okresu życia, podobnież jak okresy dziesięcioletnie, które Burdach w ten sposób pojmuje, iż okres życia płodowego, który trwa cztery tygodnie pomnożone przez dziesięć, będąc znowu pomnożony przez dziesięć i jeszcze raz przez dziesięć, tworzy sumę czterech tysięcy tygodni, czyli przeszło siedmdziesięciu sześciu lat, które tu uważa za kres normalnego życia ludzkiego. W drugiéj połowie średnich wieków dość rozpowszechnioną była jeszcze przez Arystotelesa podana teorya o zależności długości życia od czasu trwania ciąży u rozmaitych zwierząt i u człowieka. Według Buffona, długość życia znajduje się w związku z okresem wzrostu, który znowu zależy od skostnienia szkieletu; mnożąc okres ten, który u człowieka zdaniem Flourens'a trwa lat 20, przez pięć, otrzymuje się normalny przeciąg życia ludzkiego, czyli sto lat. Haller oznacza kres długowieczności liczbą lat 160, opierając się na dwóch znanych w nauce wypadkach, a mianowicie na wieku Jenkinsa (157 lat) i Tomasza Parra (152 lata). Tenże uczony ułożył tablicę starców 100 lub więcéj lat liczących, według któréj, na przeszło tysiąc ludzi w wieku od 100 do 110 lat przypadło przeszło sześćdziesięciu dwóch w wieku 110—120 lat, dwudziestu dziewięciu w wieku 120—130 lat, piętnastu 130 do 140 lat i sześciu od 140—150. Według dzisiejszéj statystyki Włoch, wypada na 100000 ludności zaledwie trzech starców w wieku stu lat lub więcéj. W ogólności opierając się na tablicach statystycznych, przyjmuje Corradi zgodnie z opinią prof. Levisa, iż normalny kres życia ludzkiego wynosi 72½ lat i że takiego wieku dosięgała by ludność cała, gdyby nie było przyczyn śmierci przedwczesnéj. Próżno wytężali swe siły uczeni wieków średnich, szukając eliksirów życia, próżno adepci „makrobiotyki“ (nauki przedłużenia życia) starali się w użyciu kąpieli, w zastosowaniu oddechu dziecięcego do starców itp. znaleść środek do długowieczności. Hufeland dopiero trafia na ślad prawdziwego eliksiru długiego życia, zalecając w tym celu rozumne wychowanie, pracowitą młodość i życie płciowe wyłącznie w stanie małżeńskim. Od téj pory coraz wyraźniéj wpływ hygieny na długowieczność pojmować zaczęto. Pierwotnie zwracano uwagę w tym względzie jedynie na hygienę osobniczą t. z. hygienę prywatną. Obecnie, wiadomo, że nie mniéj hygiena publiczna stanowi warunek długowieczności: ona to bowiem śledzi przyczyny śmierci nienormalnéj, ona poleca osuszanie błot, zaopatrzenie w wodę, podobnie jak wychowanie szkolne odpowiednio zasadom zdrowotności itp.

Ostatni wreszcie odczyt na zgromadzeniu ogólném, wygłoszony przez prof. Inama-Sternegg'a, dotyczył przemiany stosunków ludno-

ściowych w Europie w ciągu dziesięciu wieków ostatnich. Najważniejszy objaw, jaki w tym całym okresie przebija, jest olbrzymia różnica we wzroście ludności pomiędzy poprzedniemi wiekami a obecnym, różnica dochodząca do tego stopnia, iż o ile sięga statystyka angielska, w kraju tym okres zdwojenia ludności, skracając się ustawicznie, niemal dziesiątą część dawniéj obliczanego okresu tego stanowi. Wiadomo, że prawo Malthusa straciło dziś znaczenie swe i że zmianę pomienioną za zjawisko korzystne dla narodu uważać trzeba. Polega ono głównie na wpływie hygieny, na zmniejszeniu śmiertelności w ostatnich czasach, na zapobieżeniu zarazom morowym, jakie w średnich wiekach grasowały, na zmianie stosunków społecznych, która zmniejszyła straszliwą nędzę ludu, na gospodarstwie wewnętrznėm państw europejskich. Praca prof. Inama-Sternegg'a zawiera wielką ilość faktów historycznych i posiada liczne a ciekawe szczegóły z dziejów społecznych i z demografii epok poprzednich i zasługiwałaby na dosłowne przytoczenie w języku polskim, które tu wszakże miejsca mieć nie może.

Widzimy więc, iż cztery odczyty wygłoszone na posiedzeniach ogólnych, przy otwarciu i przy zamknięciu kongresu, przez znakomitych przedstawicieli hygieny w czterech państwach europejskich, z rozmaitych stron znaczenie hygieny wyświetliły, streszczając dokładnie niezbite dowody, jakie najnowsza nauka podała w tym względzie.

Jądro wszakże naukowe kongresu tkwiło w pracach sekcyjnych, gdyż tu o roztrzygnięcie kwestyi naukowych, kwestyi spornych chodziło.

Kongres dwa główne działy zawierał: hygieniczny i demograficzny. Z tych pierwszy, któremu tu właśnie uwagę poświęcimy, podzielony został na cztery sekcye. Pierwsza sekcya obejmowała prace odnoszące się do wydalenia nieczystości miejskich, do zaopatrzenia miast w wody, do hygieny mieszkań. Do drugiéj sekcyi odniesiono prace dotyczące hygieny szkół, fabryk, szpitali i przytułków, do żywienia ludności itp. Trzecia sekcya poświęcona była epidemiologii, czwarta zaś zawierała artykuły nadesłane po upływie terminu, pierwotnym regulaminem oznaczonego.

Niezmiernie ważny dział hygieny publicznéj przedstawia, jak wiadomo, zaopatrzenie miast w wodę oraz wydalenie ścieków i nieczystości miejskich. Z liczby prac w przedmiotach tych podjętych na największą uwagę zasługuje praca Franklanda o obecnym stanie sprawy oczyszczania ścieków w Anglii oraz podobnyż elaborat prof. Königa, dotyczący Niemiec. Ważność sprawy, oraz stanowisko naukowe autora nakazują, abyśmy pokrótce streścili pracę Frank-

landa. Zużytkowanie nieczystości miejskich oraz zwolnienie od nich rzek poczyniło w Anglii w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu pewne lubo niezbyt wielkie postępy. Przyczyną trudności spożytkowywania nieczystości jest okoliczność, iż odnoszące się tu procedery przemysłowe wymagają znacznych kosztów tak, iż tylko w rzadkich wypadkach nie pociągają za sobą strat pieniężnych albo przynoszą małe korzyści. Dla tego też miasta blizko morza położone ograniczać się winne na odprowadzenie ścieków wprost do morza, zapobiegając w ten sposób zarazem zanieczyszczeniu rzek. Większość miast angielskich posiada już kanalizacyą. Odwanianie prewencyjne nieczystości nie wyklucza konieczności stosowania środków oczyszczających do ścieków kanałowych, lubo zresztą nieznany jest dotychczas żaden proceder chemiczny, któryby ścieki zupełnie nieszkodliwemi dla wód mógł uczynić. Z drugiéj strony wpuszczanie tak oczyszczonych ścieków do rzeki może być przy pewnych warunkach nieszkodliwém, a mianowicie przy znacznéj obfitości wody w porównaniu z ilością ścieków. Jedyny pewny środek oczyszczający przedstawia filtracya przez grunt. Zastosowano ją w 145 miastach angielskich w postaci pól irygacyjnych lub jako filtracyą przerywaną. Pola irygacyjne są odpowiedniemi tam, gdzie można mieć do rozporządzenia znaczne obszary gruntu (licząc akr powierzchni irygacyjnéj na ścieki odpowiadające każdym 100 mieszkańcom danego miasta); w przeciwnym razie uciec się wypada do filtracyi przerywanéj, dla zastosowania któréj zużywa się kolejno akr ziemi na 1000—2000 ludności. Filtracya przez grunt nie wyłącza potrzeby traktowania chemicznego ścieków.

Cała grupa uczonych zajęła się opracowaniem projektu ograniczenia zafałszowań pokarmów. Prace w tym przedmiocie podjęte zostały dla kongresu przez Brouardel'a, Pouchet'a, Caro, Ferrière'a Hilger'a i Roos'a i przedstawiają poważny przyczynek do nauki o fałszowaniu artykułów pokarmu. Pierwsi dwaj sprawozdawcy zebrali przepisy odnoszące się do tego działu hygieny publicznéj wydane i obowiązujące w różnych państwach i krajach europejskich. Postulaty, które zresztą już nie są w hygienie nowością, redukują się do zakładania pracowni hygienicznych, do środków prawodawczych oraz administracyjnych. Chemiczne pracownie powinny znajdować się na granicach państw i służyć do badania pokarmów i napojów, posyłki opatrzone być winne w świadectwa gwarantujące prawdziwość produktów, środki szkodliwe winne być wyraźnemi etykietami odznaczane.

W związku z prawodawstwem tém byłyby rozporządzenia, mające na celu ograniczenie środków aptekarskich sekretnych, które

tak rozpowszechnione są w Europie ze szkodą racyonalnego przemysłu aptekarskiego a jeszcze bardziéj—ze szkodą konsumentów. Referentem w sprawie téj był dr. Kratschmer, który upatruje jedyne środki zapobiegające tym nadużyciom w interwencyi rządów i w podniesieniu poziomu wykształcenia narodu.

Nader zajmującą była dyskusya w sprawie pracy małoletnich w fabrykach. Łatwo zrozumiéć, że większość była za możliwém ograniczeniem téj pracy i zniesieniem zupełném pracy małoletnich w zbyt wczesnych okresach wieku. Jeden z rzeczników z entuzyazmem wypowiedział aforyzm: „Jeżeli chcecie wychować zdrowy naród, to powziąć musicie decyzyą, aby dzieci wcale do fabryk nie uczęszczały". „Oburzającą jest rzeczą, powiada Vernerstorfer, zmuszać do pracy fabrycznéj dzieci w wieku, w którym by raczéj do szkoły uczęszczać powinny. Nie jesteśmy tu przedstawicielami interesów pewnych warstw społeczeństwa, ale przedstawicielami nauki i jako tacy ani na chwilę wątpić nie mamy prawa, że dzieci nie powinny być używane do pracy fizycznéj. Przyjdzie czas, w którym wyszydzone i zniesławione zostaną nieludzkie tendencye naszéj epoki, niechże więc chociaż głos nasz pozostanie wolnym od zarzutu nieludzkości." W podobnyż sposób dowodził dr. Busch, czyniąc zarzuty tym, którzy warunkowego dopuszczenia dzieci do pracy fabrycznéj bronią. „Jeżeli z jednéj strony chcecie bronić zdrowia narodu, a z drugiéj pragniecie przeszkadzać normalnemu rozwojowi dzieci, czyż nie narażacie się na zastosowanie do was wiersza: *Timeo Danaos et dona ferentes.*" Przeciwnie dr. Klinger wychodząc z zasady, że próżniactwo szkodliwszém jest od pracy, byleby ta nie była zbyt forsowną, sądzi, że można dopuszczać do pracy dzieci około lat trzynastu mających, gdyż w tym wieku, mianowicie wiejska ludność bywa zwykle już dość silną do wykonywania prac lżejszych. Wnioski przyjęto następujące: „Należy zupełnie wzbronić pracy fabrycznéj dzieciom nie mającym wieku lat czternastu. Należy nadto ograniczyć prawnie pracę młodzieży w wieku 14—18 lat."

Co do pracy kobiet, zdecydowano przedewszystkiém, iż skasowaną być winna praca nocna a to zarówno z hygienicznego stanowiska jak ze względu na moralność. Nadto, jakkolwiek uznano za rzecz konieczną (lubo nieobojętną dla hygieny) tolerowanie pracy kobiet ciężarnych, to z drugiéj strony zdecydowano, iż w okresie połogowym robotnice winny być zwolnione bezwarunkowo na kilka tygodni a przytém ochronione od nędzy, z jaką brak pracy zwykle bywa połączony. Kobiety, prowadzące gospodarkę w domu, winny być zwalniane na obiady na czas dłuższy od innych pracujących.

Nader ożywioną była również dyskusya o nadzorze lekarskim w szkołach. Wnioski podajemy w całości tak jak przyjęte zostały przez kongres:

1) Ważnym jest dla państwa i dla rodziny stały udział biegłych w sprawach szkolnych lekarzy w zarządach szkół. 2) Cel tego udziału polega na uchronieniu uczni lub uczennic od wpływów szkodliwych, połączonych z uczęszczaniem do szkół, oraz na dopilnowaniu, aby uczniowie i uczennice używali niezbędnego ruchu i ćwiczeń dla zdrowia potrzebnych. 3) Środki ku temu służące polegają na oglądaniu peryodycznem, na zwiedzaniu klas w czasie lekcyi w towarzystwie dyrektora oraz na podawaniu opinii. 4) Niezbędném jest, aby wszystkie szkoły rządowe i prywatne były poddane przedewszystkiém rewizyi hygienicznéj i cokolwiek złego znalazłoby się w nich, aby niezwłocznie zostało usuniętém. 5) Do składu każdéj komisyi szkolnéj powinien należéć lekarz. 6) Oględziny szkół polecone być winny lekarzowi doświadczonemu, bez względu na to, czy zajmował by on jakiś urząd lekarski lub nie. 7) Ze względów wymienionych tu koniecznym staje się udział biegłych lekarzy w zwierzchniczych instytucyach rządowych, kierujących szkołami w rozmaitych państwach.

Csatary z Budapesztu odczytem o wymaganiach hygieny względem komunikacyi lądowych podał inicyatywę do opracowania wniosków w téj mierze. Według decyzyi czwartéj sekcyi kongresu, do któréj przedmiot ów należał, wszystkie plany budowli należących do komunikacyi powinny być przedstawione do opinii ze stanowiska hygienicznego. Nadto kongres wymaga, aby we wszystkich klasach wagonów siedzenia były zarówno dogodne, aby w tramwajach ilość miejsc odpowiadała wygodzie jadących i aby pod żadnym pozorem „stojących" pasażerów nie przyjmowano, aby zarządy dróg żelaznych nie zezwalały na przewożenie osób chorych w zwykłych powozach, ale aby miały na ten cel do rozporządzenia wagony specyalnéj konstrukcyi, aby na każdéj stacyi znajdowała się skrzynka ratunkowa i lektyka oraz lodownia, aby personel drogi nie był zbytnio obarczony pracą i aby każdy z funkcyonaryuszy mógł otrzymywać corocznie urlop parotygodniowy, aby wreszcie stan sanitarny dróg znajdował się w rękach biegłego w sprawach sanitarnych lekarza, który posiadać winien atrybucye przewodniczącego urzędnika.

Dezynfekcya, która najrozmaitsze i częstokroć dziwaczne i nieracyonalne znajduje zastosowanie w całéj Europie, została ujętą przez kongres w karby nauki. Wiadomo, że środek ten, przedstawiający „*cheval de bataille*" niektórych urzędników sanitarnych dla

tego zapewne, że zapachem swym zazwyczaj głosi *urbi et orbi* o czujności urzędów, w olbrzymich rozmiarach stosowany bywał tu i owdzie—niestety najczęściéj bez żadnéj dla ogółu korzyści—tak, iż zastosować tu można śmiało zdanie jednego ze znanych hygienistów angielskich, iż o wiele byłoby korzystniéj w wielu wypadkach użyć fundusz na dezynfekcyą wydawany—raczéj na mydło i wodę. Otóż kongres wiedeński, na podstawie dyskusyi odbytéj pod przewodnictwem znanego prof. berlińskiego Wolffkügel'a, ścieśnił znacznie pole użycia środków dezynfekcyjnych, zredukował cały zbiór środków do kilku zaledwie, uznał za nieużyteczne wszelkie okadzania mieszkań, podnosząc natomiast znaczenie dezynfekcyi parowéj, która wymaga obecności odpowiednich aparatów.

Nie będziemy opisywać obszernéj bardzo dyskusyi, jaka miała miejsce w trzeciéj sekcyi (pod przewodnictwem Virchowa) w przedmiocie rozprzestrzenienia cholery, albowiem kwestya szerzenia się cholery nie jest jeszcze tyle zbadaną, iżby dla ogółu mogła przedstawiać znaczenie; jeden tylko pewnik w téj mierze istnieje, że ogólne środki assenizacyi, czystość powietrza, wody i gruntu mające na celu, niewątpliwie zapobiegają cholerze równie jak i innym chorobom nagminnym. Z drugiéj strony, licznie zebrane materyały, przedstawione kongresowi a dotyczące obserwacyi nad ostatniemi epidemiami cholery, stanowią ważny przyczynek do zbadania istoty straszliwéj plagi. W debatach nad tym przedmiotem przyjęli udział: Proust, Babes, Max Gruber i inni.

Kwestye aklimatyzacyi dotyczące, hygiena okrętów, środki interwencyi międzynarodowéj względem epidemii znalazły téż obszerne omówienie w sekcyach hygienicznych kongresu, lecz dla nas mniejszego są znaczenia. Kończąc naszą krótką wzmiankę o pracach sekcyjnych tego działu, wspomnićć musimy w kilku słowach o jednéj z najważniejszych dyskusyi, którą przynajmniéj prywatne zakłady nasze naukowe powinny przyjąć do serca. Mamy tu na myśli kształcenie hygieniczne w szkołach. Rzecz opracowaną została przez pierwszorzędne powagi w tym dziale zdrowotności publicznéj, jak prof. Fodor z Pesztu, prof. Kuborn (prezes towarzystwa hygienicznego, belgijskiego), prof. Layet z Bordeaux i d-r Gauster z Wiednia. Jeżeli prawdą jest— a trudno o tém wątpić w istocie — iż zadaniem zarówno rządów jak gmin i instytucyi obywatelskich jest wychowanie zdrowych pokoleń, a wszelkie środki uzdrowotnienia są słabe, jeżeli społeczność nie ma popędu do ich przyswojenia i wyzyskania, jasną więc jest rzeczą, że obudzenie w masach zamiłowania do zdrowotności i rozpowszechnienia wiadomości o pielęgnowaniu zdrowia staje się nader ważném zadaniem dla

tych, którzy znajdą się u steru życia narodowego. Ztąd wynika ważność kształcenia hygienicznego, które, jak powiada Fodor, nietylko zamiłowanie ku zdrowotności ale i popędy humanitarne obudza. Sekcya kongresu wymaga, aby już w szkołach ludowych istniały wykłady o hygienie. Sprawozdawca mniema, iż dla zapobieżenia przeciążeniu pracą umysłową przez dodanie wykładów hygieny w szkołach, w których uczniowie są już w znacznym stopniu obarczeni nauką, należy wprowadzić nauczanie hygieny kosztem innych wykładów. Zastosowanie powinny znaleść małe, ściśle popularne podręczniki hygieny oraz ćwiczenia na temata z dziedziny pielęgnowania zdrowia. Podobnież wykłady wprowadzone być mają do wszystkich szkół średnich, a również, według Layet'a, i do seminaryów duchownych. Ważne znaczenie podobnież ma wykład hygieny w szkołach przemysłowych, gdzie największa uwaga zwróconą być winna mianowicie na hygienę przemysłu. Samo przez się wynika, że uznano tu również, jak to Pettenkofer w odczycie inauguracyjnym wygłosił, bezwarunkową konieczność gruntownego wykształcenia hygienicznego na fakultetach lekarskich, podobnież jak konieczność wykładów hygieny w wyższych szkołach technicznych.

Podając wzmianki powyższe o pracach kongresu, mieliśmy zamiar dać tylko wyobrażenie o ogólnym przebiegu tegoż, a przytoczone wyniki dyskusyi w kwestyach naukowych uważać można jedynie jako próbki naukowego znaczenia kongresu. Nie dotykaliśmy nadto działu demograficznego, o którym tylko wspomnimy, że charakter ogólny kongresu statystycznego przedstawiał. I w tym dziale przyjęły udział znaczne powagi europejskie, jak Inama, Bertillon, Janssen i inni. Statystyka ruchu ludności w Europie, statystyka przyczyn śmierci, statystyka fabryczna, znalazły pomieszczenie na porządku dziennym sekcyi demograficznéj i nie wątpimy, że wyniki narad w téj mierze znajdą obszerne uwzględnienie w literaturze naszéj.

Słów kilka teraz poświęcić należy wystawie artykułów hygieny, nadesłanych na kongres. Wystawa ta, która zajmowała niewielką część budynku wszechnicy oraz małą przestrzeń pod gołem niebem, nie miała charakteru międzynarodowego, oprócz Austryi bowiem, a głównie Wiednia samego, Berlin tylko czynniejszy w niéj udział przyjął. Na 250 okazów około 200 pochodziło z Austryi. Wystawa miała przeważnie naukowy charakter: przemysł miał dostęp utrudniony. Nader cenny materyał naukowy przedstawiały liczne tablice graficzne, dotyczące ruchu ludności i przyczyn śmierci w Austryi a opracowane już to w centralnym urzędzie statystycznym, już

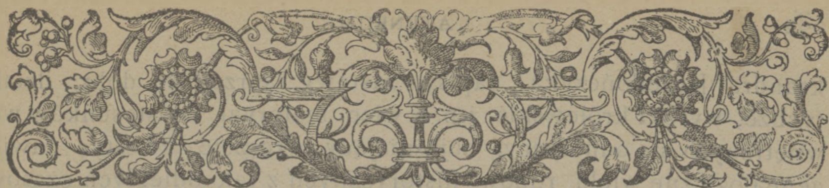
przez zarząd wojskowy lub przez pojedyncze osoby. Bardzo wiele widzieliśmy planów sanitarnych urządzeń, jak wodociągi, kanały, planów zakładów leczniczych i t. d. Wibitne miejsce na wystawie zajmował zarząd miasta Wiednia, który podał wiele szczegółów do hygieny tego miasta należących, jako to: plany szkół, szpitali, przytułków, sprawozdania roczne z działalności instytucyi i t. p. Przedmieścia Wiednia wystąpiły z podobnąż wystawą zbiorową. Podobnież ministerya austryackie wystąpiły ze swemi wydawnictwami, a ministeryum przemysłu i handlu wystawiło nadto wprowadzone do fabryk przyrządy zabezpieczające robotników od nieszczęśliwych wypadków. Z wystawców prywatnych najwybitniejsze miejsce zajmowało stowarzyszenie elektro-techniczne w Wiedniu, dwa wiedeńskie, koncesyonowane przez rząd, zakłady prywatne szczepienia krowianki (Hay'a i Bauer'a), oraz kilka fabryk produkujących aparaty dezynfekcyjne.

Kongres posiadał własną bibliotekę i czytelnię. Wspomnieć jeszcze musimy, że każdy z członków, oprócz pomienionych na początku niniejszéj wzmianki niespodzianek, otrzymał oprawny kieszonkowy przewodnik hygieniczny po Wiedniu.

Dwa miasta zaproponowane zostały jako miejsce przyszłego międzynarodowego kongresu hygienicznego: Londyn i Petersburg, większość głosów była za pierwszém miastem. Następny więc kongres odbędzie się w Londynie w r. 1891.

Liczba członków-polaków była dość znaczna. Z Galicyi mianowicie przyjęło udział kilkudziesięciu lekarzy. Z Królestwa, z Wołynia i Litwy było kilku zaledwie. Czynny udział natomiast był nader mały; z wyjątkiem bowiem doktorów: Biesiadeckiego i Pilata (ze Lwowa) nikt nie przyczynił się do naukowego powodzenia kongresu. Zauważyć tu musimy, że zjawisko to negatywne powtarzało się na wszystkich dotychczasowych przedsiębiorstwach hygienicznych międzynarodowych. O ile jednak gościnności nam nie uszczuplają, powinniśmy na ucztach naukowych tego rodzaju z szarego końca ustąpić.

*Dr. J. Polak.*



# ARCHIWUM SŁAWUCKIE.

Archiwum książąt Lubartowiczów Sanguszków w Sławucie wydane nakładem właściciela pod kierownictwem Z. L. Radzimińskiego przy współudziale P. Skobielskiego i B. Gorczaka. Tom I r. (1366—1506) z trzema tablicami litografowanemi. Lwów druk instyt. stauropig. 1887, str. XXIX i 204.

Archiwum Sławuckie składa się z czterech części składowych; z części archiwum ostrogskiego, z całego zasławskiego, z najdawniejszego archiwu tarnowskiego a w końcu z archiwaliów po dwóch wygasłych liniach książąt Sanguszków Niesuchoiżsko-Lokackiéj i Koszérskiéj oraz trzeciéj istniejącéj Kowelskiéj; archiwalia dotyczą głównie dóbr, spraw osobistych i publicznych książąt, zawierają ich korespondencyą, nadania i patenty a najgłówniejszy materyał historyczny odnosi się niezawodnie do hetmana Romana Sanguszki.

Dzisiejszy właściciel bogatych zbiorów archiwalnych, ks. Roman Sanguszko, postanawiając ogłosić drukiem cenniejsze archiwalia, przyczynia się nie pomału do wzbogacenia źródeł historycznych wielkiéj wagi, publikacyą otwierającą szereg innych, jakie się już obecnie przygotowują. Wydanie wspaniałe, papier i druk również jak i podobizny znaków wodnych z księgi Bony lub pieczęci, świadczą o dobrych chęciach wydawcy a świadczy o nich również i wzmocniona redakcya, gdyż na publikacyą obejmującą 150 dokumentów składają się trzy siły wydawnicze.

Dokumenta, których większa połowa zupełnie nie była znaną, zawierają materyał ciekawy i ważny, odnoszący się treścią swoją głównie do historyi starego Wołynia i do książęcych rodów Ostrogskich, Zasławskich, Zbaraskich, Sanguszków i innych. Prócz dokumentów treści politycznéj, po większéj części znanych z innych wydawnictw, są to nadania dóbr począwszy od Jagiełły aż do Ale-

ksandra Jagiellończyka, zapisy, zastawy, sprzedaże dóbr, działy tychże, wyroki królewskie itp. a więc materyał do stosunków wewnętrznych się odnoszący, objaśniający wreszcie kwestye zawiłe genealogiczne wielu rodów historycznych z tak odległych czasów. Z pierwszych zasługuje na uwagę N. 1, zawierający ugodę co do granic pomiędzy Lubartem (?) a Kazimierzem W. jak wydawcy przypuszczają z r. 1366, przyrzeczenie wierności złożone przez Fedora Ostrogskiego Jagielle N. VII, takież ślubowanie ze strony Korybuta i jego rady N. IX i X z 1388 roku, takież ze strony Fedora Lubartowicza N. XIV i XV, — na dokumenta prywatnéj natury składają się inne numera tego wydawnictwa a poznać je musi badacz stosunków wewnętrznych tak litewskich jakotéż i polskich, gdyż i co do tych ostatnich znajdują się tu bardzo ciekawe a skąd inąd nieznane daty, jak np. N. 13, p. 12, N. 51, p. 48. Większa część wydanych dokumentów pisaną jest kirylicą i tak téż wydano je, zatrzymując pisownię oryginału.

Główną trudnością, jaką napotkali wydawcy, było uporządkowanie materyału pod względem chronologicznym, rozwiązanie dat bizantyńskiéj rachuby, która już co do początku roku nieustaloną być musiała a piętrzyła wydawcom trudności i z tego powodu, że często indykcya bez oznaczenia roku otwierała szerokie pole domysłom wydawców. Do pewnych téż stałych zasad pod względem ścisłego rozwiązania dat ery bizantyńskiéj nie zdołali przyjść wydawcy, a wąhanie ich spotykamy również w poprawkach dwudziestu i kilku dat, z których niektóre, N. 100 i 101, usuwają wydane dokumenta po za zakres tomu tego wydawnictwa. Poprawki uczynione już po wydrukowaniu tekstu w objaśnieniach, rozluźniają porządek dokumentów, dlaczego téż w Spisie rzeczy, umieszczonym przed dyplomataryuszem, przestawiono je w porządku chronologicznym już poprawionych dat. Jest to niezawodnie wielką wadą wydawnictwa. Pomimo tych poprawek nasuwają się nam pewne wątpliwości i tak str. 3 N. IV powinno być 16 września; str. 11, N. XI rok 1388 a analogicznie i w innych temu podobnych dokumentach powinien być w klamrze, jako domysł wydawców; przy N. XV str. 14, powinno być przy roku 1393 w klamrze 23 maja, jako domysł wydawców; str. 22 N. XXII, powinno być 1 października zamiast 18 gdyż dzień Pokrowy wypada na 1 października; str. 30 N. XXXIII ma być rok 1433 nie 1432; str. 35 N. XXXVI poprawiono w uwagach rok 1438 na 1437, co zdaje się uczyniono błędnie, gdyż indykt I odpowiada 1438 r. a początek roku nie zawsze liczono od września. N. XXXIX p. 38 podano dzień 23 marca 1443 roku jako rozwiązaną datę, tymczasem tego roku na dzień 23 marca przypada sobota a nie piątek, jak stoi

w oryginale; zresztą piątek ten oznaczony jest w dokumencie drugą niedzielą postu, więc wydawca powinien był przypuścić omyłkę pisarza, który zamiast 29 napisał 23 lub w ogóle wyjaśnić wątpliwości jakie się nasuwają czytelnikowi; str. 72 poprawiają wydawcy wyraźnie w oryginale napisany rok 1475, zgadzający się z wypisaną w tekście indykcyą 8, na rok 1504, argumentując z Bonieckiego, przyczém zapytać się godzi, czy daty Bonieckiego są tak autentyczne, że na ich podstawie można oryginalnych tekstów daty poprawiać; co do mnie wolałbym raczéj z tego oryginału poprawić daty Bonieckiego.

Zasada pisania w nagłówkach imion własnych i miejscowości tak jak się piszą w oryginale jest z gruntu fałszywą; jest ona poniekąd wygodną w wypadkach, gdy niepodobna oznaczyć miejscowości np. w Urzowie p. 25 i 27, lub skoro miejscowość wymieniona w oryginale dziś nie istnieje, np. Szczenca p. 11, ale pisać Zudeczów i określać w klamrach Zydaczów, lub oznaczać wyczytane w dokumencie Warani „w Waraniach“ i objaśniać, że to dzisiejsze Miedniki, skoro to są Orany nad Mereczem, takie i tym podobne innowacye to zdaje się przesadnia i zbyteczna rzecz. Zresztą wydawcy nie są i tu konsekwentni, i tak np. w oryginale str. 24 czytamy w Gorodnie, w nagłówku czytamy w Grodnie; w oryginale Dobrestani w nagłówku Dobrostani; Dobraja woda oryginału str. 54 oznaczona w indeksie Dobra woda dziś Dobrowody w zbaraskiém. Lasznę p. 45 nie znajdujemy w spisie miejscowości, który znowu wiele pozostawia do życzenia, poprawiono ją na Liszna w spisie omyłek, a w spisie miejscowości trzeba szukać: Leszczna-Lisznie—a więc bałamuctwo i *circulus vitiosus*. Ten sam Mytko str. 45 figuruje już na str. 47 jako Myszko a Wańko z rodziny znanéj Kierdejów figuruje jako Skierdejewicz w dok. N. 69, itp.

Inną innowacyą mamy co do imion własnych w łacińskich dokumentach; tu wszędy *u* oryginału zmieniają wydawcy na *v*, nawet tam gdzie już inni wydawcy nie *u* lecz *n* czytali np. Dinissius (1) czytają Divissius. Nie potrzebujemy dodawać, że ta innowacya jest błędną, natomiast trzeba było przymiotniki pochodzące z imion własnych zaczynać wielką literą dla ułatwienia czytelnikowi szybkiego przeglądu; czego wydawcy nie robią.

Wydawcy, wydając powtórnie bardzo wiele znanych już dokumentów, czynią to nie tylko dla całości przedmiotu ale i celem sprostowania omyłek pierwszego druku, jak to widoczna z uwagi na str. 16 umieszczonéj przy dokumencie N. XVI. Jakkolwiek zgadzamy

(1) Tak czyta Liske Akta Gr. i ziemskie V, N. 20.

się z wydawcami, że tekst powinien być jak najbardziéj poprawnym tak z drugiéj strony znowu takowa odezwa, dotycząca sprostowań, mogłaby wyjść chyba od jakiéj wybitnéj i znanéj powagi naukowéj, zwłaszcza gdy poprawia się tekst Aktów grodzkich i ziemskich i skoro do wydawnictwa obejmującego 19 arkuszy druku dodaje się trzy pełne stronnice omyłek i poprawek.

Skoro jednak tak bezwzględne są wymagania wydawców co do poprawności tekstu, należałoby przypuszczać, że prócz wykazanych stu kilkudziesięciu omyłek, nie ma tam już żadnych więcéj. Tymczasem tak nie jest i jak z dorywczego odczytania kilkunastu dokumentów jakotéż z porównania kilku z kopiami, jakie swego czasu w Sławuckiém archiwum poczyniłem, wypływa, tekst wydawców pozostawia wiele do życzenia. I tak str. 3 w. 1 *baronorum* należy poprawić *baronum*; str. 13 w. 5 *de Sczmelow* musiano źle odczytać; wiersz 16 *dux* czytaj *dominus*; str. 17 *de Zachlin* czytaj *Zychlin*; str. 18, *prestitisse* czytaj *perstitissse*; w. 14 z dołu *aulicarium* czytaj *militarium*; *aucta* wiersza 8 zamień na *aucto*, gdyż odnosi się do *studio*; str. 19 w. 6 *naulis* czytaj *nautis*, w. 7 *usifructibus* czytaj *usufructibus*; str. 21 *profitentes* czytaj *per presentes*; *Roncepan* czytaj *Rotenpan*; str. 22 *kto kol.* w. 7 w oryginale *ktokolwek*; w 14 *imajut* w oryg. *majut*; w. 23 *mazoweskij* czytaj *mazoweckij*; w w. 24 po *kuchmistr* postaw przecinek; str. 26 w. 3 z dołu *atque* czytaj *Ad que*; str. 28 w. 11 z dołu *czaszczy* czytaj *chaszczy*; str. 31 *obstrinserint* czytaj *obstrinxerint*; *kalendas* czytaj *kalendis*; str. 32 w. 8 z góry *generoso* czytaj *gracioso*; *Crosviczyn* czytaj *Crosniczyn; proveniente* czytaj *provenientem* gdyż odnosi się do *medietatem;* str. 36 *possessionem* czytaj *possessione; iuravit* czytaj *monstravit;* str. 37 *habendam*, *tenendam* itd. popraw na *habendum*, *tenendum* etc. w odniesieniu do *districtum; devolventur* popraw na *devolvetur* w odniesieniu do *possessio;* str. 45 czytamy w oryginale nie *Szwitrigajł Olkgirdowicz* lecz *Szwitrigał Olkgerdowicz*; daléj w wierszu następnym nie *każnomu* lecz *każdomu*; str. 47 *Myszkowu*, *Myszku* itd. w oryginale brzmi jak na pewno wnosić można *Mytkowu*, *Mytku*; str. 48, N. 51 nie *Bahawsky* lecz *Bahowski* a nadto powinien być po tém imieniu wł. przecinek; w wierszu następnym i dalszym nie *Humience* lecz *Humiencze* stoi w oryginale, str. 49 nie *Ronus* lecz *Romis*; *sigilla quibus nostra* brzmi w oryginale odwrotnie: *nostra quibus sigilla;* str. 51 w. 12 i str. 116 w. 19 *emolimentis* pewno zamienić należy na *emolumentis*; str. 61 i 62 występuje pomiędzy świadkami książętami i panami żyd słuckij jako świadek! zdaje się że to imię własne źle odczytane; str. 113 *in castris nostris campestralibus* tłómaczą wydawcy w zamku zamiast w obozie; str. 122 w dacie ma błędną tysiączkę; str. 127 *vicegerenti*

czytaj *vicesgerenti*; str. 128 po *Prussieque* stoi w oryginale *etc.*, *pargamenea* czytaj *pergamenea*, *quibusqunque*, *cuiuscunque*, w oryginale *quibuscumque*, *cuiuscumque*; wiersz 16 z dołu: *reclamacionum* czytaj *reclinacionum*, a z uwagi na str. 120 do tego wyrazu wypływa, że wydawcy nie znają wcale instytucyi prawnéj dotyczącéj chłopów, a mianowicie owéj reklinacyi. Na tejże stronie czytamy w oryginale *quod si* zamiast *et si*, *subappensum* zamiast *appensum*; str. 134 N. 133 znany jest z kopii starszéj i lepszéj, znajdującéj się w Metryce Lit. ks. Zap. N. 18, p. 10, a wydał go Bierszadzki w Dok. do hist. żydów litewskich t. I, N. 43.

Jak więc z tego dorywczego przeglądu widoczna, nie można nawet wobec tekstu Archiwum Sławuckiego przykładać żądanéj przez wydawców miary, że przeto pozostawia on bardzo wiele do życzenia. Dodajmy do tego, że notki do tekstu są niejasne i niedokładne, że je robiono bez systemu, pozostawiając np. raz błąd w tekscie a poprawiając go w odnośniku (str. 119: *słyszat*), to znowu przeciwnie, tak, że nie wiemy nieraz co stoi w tekscie a co jest domysłem wydawcy, np. str. 22 w tekscie: *kto kol*, w nocie czytamy *izwolił*, gdy tymczasem w oryginale, jak wyżéj napomknięto, stoi *ktokolwek*; str. 21 czytamy *woywoda*, w oryginale stoi *woyda*, zazwyczaj przeto uzupełnia się klamrami tak: woy[wo]da; strona 49 w oryginale czytamy błędnie *possionem*, daléj po *damna* stoi niepotrzebne *et*; wydawcy, którzy zmianki wszędy podają, powinni byli i te uwzględnić.

Opisy dokumentów są zbyt lakoniczne i nie uwzględniają nawet kontrasygillaty, jak przy nadaniu dla Spytka z Melsztyna p. 20, nie mówiąc już o opisie pieczęci; p. 22 czytamy, że zawieszoną jest mniejsza pieczęć królewska, podczas gdy jest to średnia; przy N. 51 str. 49 uzupełnić należy, że pozostały ślady 13 cięć; str. 46: sznurek jest z pelli fioletowéj nie pąsowéj; str. 24 przy N. 23 czytamy o zawieszonéj pieczęci sygnetowéj, podczas gdy u tego dokumentu pieczęć jest oderwana, a z okruchów trudno będzie poznać jaka pierwotnie wisiała.

Wogóle w tekscie szczególniéj łacińskich dokumentów nie przestrzegano ściśle żadnéj z przyjętych dzisiaj zasad wydawniczych. Spotykamy np. str. 19 próby modernizowania pisowni oryginału, np. *molestiis*, str. 32 *quae*, *conditionem*, *frequentia* obok *presens* i t. p., lub też antykizowanie zupełnie nowéj pisowni, bo pochodzącéj z kopii uskutecznionéj w naszych czasach *vide* N. XXXVII str. 36, albo co również zastanawia, ogłaszanie dokumentu z błędnéj kopii, skoro on jest znany z oryginału wolnego od tychże, np. N. V. Inna wada początkowego wydawnictwa jest ta, że już po wydrukowaniu

tekstu, w którym przy każdéj miejscowości i ważniejszym ustępie tekstu jest odnośnik, przyszedł kierownik wydawnictwa do przekonania, że notki odnoszące się do miejscowości najwłaściwiéj powinny być umieszczone nie w objaśnieniach do dokumentów, lecz raczéj w odrębnym indeksie. Indeks atoli ten nie jest zupełnym i wyczerpującym. Te same braki mają i objaśnienia do dokumentów, których trzeba szukać nie tam, gdzie powinny być umieszczone, a nadto niewiedziéć tu co do czego należy. Brak planu wydawniczego jest tak dotkliwym, że chcąc korzystać z tego tomu, musimy na każdym kroku zaglądać do spisu omyłek lub spisu chronologicznego, daléj do indeksu miejscowości, a wreszcie do objaśnień, a i natenczas jeszcze nie mamy pewności i musimy kontrolować daty, aby błędu nie zrobić.

Co do planu wydawnictwa, ze względu na materyały archiwalne, nasuwa się nam następująca uwaga. Materyał archiwalny, znajdujący się w Sławucie, jest co do XIV i XV wieku tak mały, że prawie niepodobna by z niego stworzyć tomu publikacyi, chociażby zebrano wszystkie kopie i porównano je z oryginałami zbiorów Czartoryskich, Ossolińskich, Radziwiłłów; musiano więc publikować i takie dokumenta, których kopii w Sławuckiém archiwum nie miano, ale które treścią swoją należą niejako do sławuckich zbiorów, do zamierzonéj publikacyi. Dziwna jednakowoż rzecz, że skoro się zdecydowano na taki sposób pomnożenia materyału przygotowanego do publikacyi, dlaczego nie udano się do źródeł pierwszorzędnych, z których pełną ręką można było pomnażać materyał archiwalny, a która to praca mogła iść równolegle z porównywaniem kopii sławuckich z krakowskiemi i lwowskiemi oryginałami, z których drugie po większéj części znane nam były z innych publikacyi. Skoro bowiem archiwalia objęte I tomem wydawnictwa, dotyczą w pierwszéj linii rodu książęcego Sanguszków i innych domów książęcych, bądź z rodem tym skoligaconych, bądź takich, których dobra przeszły do Sanguszków, to trzeba było przedewszystkiém, nie pomijając archiwów familijnych, zrobić równolegle kwerendę w aktach Metryki litewskiéj i w archiwach główném kijowskiém i wileńskiém. Takie publiczne zbiory, np. Metryki litewskiéj, podają, jak to wiadomo, najwięcéj materyału z XV wieku do objaśnienia stosunków rodzinnych, prywatnych i t. p. i zawierają w kopiach nawet XVI i XVII wieku mnóstwo kopii starszych, aktów w oblatach, kopii, jakich dziś napróżno szukaćby nam przyszło po prywatnych, chociażby i jak bogatych archiwach. Poszukiwania w tychże archiwach niewątpliwie byłyby uwieńczone pomyślnym skutkiem, a uczynić je należało témbardziéj, że dostęp i odpisywa-

nie aktów, np. z Litewskiéj Metryki jest dozwolony, skoro tak referent jak i inni, np. Hilferding, Bierszadzkij materyały tamże zbierać i następnie je publikować mogli, skoro zresztą wydają stamtąd urzędowe kopie dokumentów, które pod względem dokładności nie pozostawiają niczego do życzenia. Prawda, wydawcy podają nam niektóre akta z transumptów końca zeszłego wieku w transkrypcyi łacińskiéj z tejże Metryki, ale o tych transumptach lepiéj i nie wspominać; natomiast nie uwzględniono cennych oblat, jakie w księgach Metryki zwłaszcza XVI w. zachodzą, a owe oblaty są daleko cenniejsze i poprawniejsze aniżeli owe transumpta w transkrypcyi niepoprawnéj i błędnéj.

Ze złego założenia wynikły też i inne błędy: nie zebrano i nie opracowano materyału zanim go rozpoczęto drukować, z czego wynikło wcale nie ścisłe uporządkowanie pod względem chronologicznym; nie zdano sobie sprawy z tego, co właściwie publikować należy, z którego to powodu podano *per extensum* takie akta jak N. CIX i CX, których treść bez ujmy publikacyi można było w regestach pomieścić. Są to atoli usterki wspólne wszystkim początkującym wydawnictwom, od których następne tomy zupełnie będą wolne, co zresztą przypuścić można tak ze staranności, jakoteż wielkiego nakładu pracy, jakie widzimy u wydawców tego pierwszego tomu. *Antoni Prochaska.*

---

**Do powyższego artykułu dołączamy uwagi nad témże wydawnictwem, nadesłane nam przez biegłego znawcę Metryki Litewskiéj:**

D o k u m e n t XI. K n i a z i o w i e l i t e w s c y p o r ę c z a j ą k r ó l o w i W ł a d y s ł a w i z a O l e c h n a 1388 r. W zbiorze aktów historycznych Naruszewicza (1) z poręczających kniaziów dwaj pierwsi trochę inaczéj figurują; a mianowicie zamiast: „My kniaź Fedor Daniłowicz, kniaź Roman Fedorowicz“ i t. d., spotykamy tu: „*My kniaź Fydar, da miłostiwy kniaź Roman Fedorowicz*“ i t. d. Nie mając oryginału pod ręką, trudno zdecydować, czy powinno być „Daniłowicz“ lub „*da miłostiwy*“, dodajmy tylko, że już poprzednio uderzyła nas okoliczność, że podpis kniazia Romana, późniejszego kniazia Kobryńskiego, bliskiego krewnego panującéj dynastyi, stoi na drugim miejscu, a podpis kniazia Fedora Daniłowicza Ostrogskiego na pierwszém (2). Wersya Naruszewicza prze-

(1) Rękopism biblioteki głównego sztabu w Petersburgu. 18 tomów folio. Tom I.
(2) J. Wolff. Ród Gedimina. Kraków 1886, str. 119, przypis 2.

mawiałaby zatém, że stojący na pierwszém miejscu „*kniaź Fydar*", będzie to nie kniaź Ostrogski, ale kniaź Fedor Olgerdowicz, brat królewski, ojciec kniazia Romana?

Dokum. XXVI. Przywiléj Witowda Pawłowi na Nowostawce, d. d. w Urzowe 30 Lipca 6928 (=1420) indikta 6 (=1428), wydawca stosownie do roku ery od stworzenia świata, odnosi do roku 1420, témbardziéj nas to dziwi, ponieważ wydawca ostrzega w przedmowie, że zawsze daje pierwszeństwo indiktowi. W danym razie stanowczo należało iść za indiktem. Dokument ten wydany niezaprzeczenie 1428 r., w którym „Dedyhołd" wda wileński, na nim podpisany, rzeczywiście piastował urząd wojewody wileńskiego, gdy zaś w 1420 r. wojewodą wileńskim był jeszcze Moniwid (1). Widocznie współczesny pisarz tego dokumentu, kładąc rok 6928, dwie pierwsze cyfry wziął z ery bizantyńskiéj **69**36, a dwie ostatnie z ery chrześciańskiéj 14**28**.

Dok. L. Przywiléj Kazimierza Jagiellończyka Myszkowi d. 3 Stycznia 1452 r. W liczbie podpisanych panów rady figuruje „pan Trocki pan Pac", zamiast „*pan Trocki pan Nac*"; że powinno być „*Nac*" a nie „Pac" przekonywamy się z innego współczesnego dokumentu znajdującego się w Metryce litewskiéj (2). Ten sam błąd „Pac" zamiast „*Nac*" popełniono już kilkakrotnie (3), a są to dwie całkiem różne osobistości. Nac (Naczko) Ginwiłowicz występuje 1433—1446 jako starosta Brzeski (4), 1452 jako kasztelan Trocki (patrz wyżéj), umarł przed 1457 rokiem (5). Jednocześnie z nim żyjący Pac Dowkszewicz, jest 1434—1435 marszałkiem nadwornym (6), za królewicza Kazimierza namiestnikiem Kamienieckim (7), poczém urzędów więcéj nie piastował (8).

Dok. LIII. Zapis Olechna Dowojnowicza 1459 r. ma całkiem błędne podpisy świadków: „Olichno Svuduvoithowicz (zamiast *Olechno Sudimonthowicz*), Kunowicz (?), Jagouthowicz (?), Putkone (zamiast *Bohdane*) Sakowycz." Błędy te pochodzą z niedokładnego wyczytania, w oryginale niezawodnie jest inaczéj.

Dok. LXIII. Przywiléj Kieżgajłowiczowi 1465 r, ma również mylny podpis: „Olechna Rudmentowicza podkanclerze-

---

(1) Por. Senatorowie i Dygnitarze str. 72. — (2) Ks. Zapisów N. 25, f. 271 odw.— (3) Akta zachodn. i połudn. Rosyi. Tom I, str. 20; Senatorowie i dygnitarze str. 62.— (4) Akta historyczne Naruszewicza i Senatorowie i dygnitarze str. 8. — (5) Metr, Lit. Ks. Zap. 3, f. 17. — (6) Akta historyczne Naruszewicza i Rozpr. i Sprawozd. wyd. hist. filozof. Akad. Um. XVII, str. 210. — (7) Rewizya puszcz i t. d. przez Wołowicza i t. d. Wilno 1867, str. 162. — (8) Wolff. Pacowie. Kraków 1885, str. 5—6.

go naszego w w. x. l. y starosty Połockiego"; powinno być: *„Olechna Sudymontowicza podczaszego naszego w. w. x. l. y starosty Połockiego"*, jak opiewa inny współczesny dokument (1). Podkanclerzego na Litwie wówczas nie było; urząd ten istniał chwilowo przy Szwitrigajle, w późniejszéj formie powstał jednak dopiéro 1566 r. (2).

Dok. LXXXVIII. Nadanie Bełusze 1486 r. Na zasadzie, że na tym dokumencie podpisany: *„pan Jan bakałarz pana Marcina Kgastowtowicza wojewody Trockiego"*, wydawca twierdzi, że Marcin Gasztold wojewoda Trocki, żył jeszcze w tym roku (przypis na str. 163). W rzeczywistości tak nie jest. O Gasztołdzie do końca 1483 roku spotykamy częste wzmianki we współczesnych dokumentach; jeszcze w 1483 r. występuje kilkakrotnie w styczniu, lipcu, sierpniu i grudniu (3), poczém wszelkie wzmianki o nim ustają, a już w październiku 1484 r. wojewodą Trockim jest pan Bohdan Andrejewicz (4). Nie może zatém być wątpliwości, że wojewoda Trocki Marcin Gasztold umarł w pierwszéj połowie 1484 r. Ów „Jan bakałarz" będzie to zapewne Jan z Głogowy, późniejszy profesor akademii krakowskiéj, który będąc nauczycielem młodego Gasztolda, wojewodzica Trockiego (5), nazwany tu bakałarzem samego wojewody.

Dok. C. Sprzedaż dworu przez Chrebtowicza 1521 r., słowa: *„Fedko Bohdanowicz Chrebtowicza podskarbi pierwyj ziemski"*, wydawca (przypis na str. 164) waha się jak wytłómaczyć, przypuszczając, że albo Chrebtowicz obok Bohowityna był starszym podskarbim, albo téż słowo *pierwyj* użyte tu w znaczeniu *olim* (to jest pierwéj, poprzednio). Wahanie się wydawcy jest zbytecznèm i ostatnie przypuszczenie jest pewnikiem; Fedor Chrebtowicz za udział w spisku Hlińskiego złożony 1509 r. z podskarbiostwa (6), mógł następnie używać tytułu eks-podskarbiego *(pierwyj podskarbi)*.

Dok. CVI. Sprzedaż dworu przez Rusinowicza 1494 r. Data *Lipca 4 indikta 12* odpowiada rzeczywiście r. 1494. Czy jednak indikt nie jest późniejszym? Albowiem na tym dokumencie podpisany władyka Łucki Cyryl, o którym wiadomo, że na godność władyki Łuckiego obranym został dopiéro 1495 r. Poprzednik jego władyka Łucki Iona jeszcze w 1495 r. brał udział w obio-

(1) Napiersky. Russko Liwonskie akty. Petersb. 1868, str. 208. — (2) Senatorowie i dygnitarze str. 163. — (3) Metr. Lit. Księga Zap. 1 i 2, f. 125, 213, 72 i 134.— (4) Tamże Ks. Zap. 25, f. 32, dok. 9. — (5) Wiszniewski. Historya litteratury Polskiéj. IV, str. 365. — (6) Senatorowie i Dygnitarze str. 184.

rze Makarego na metropolią i w tym samym roku umarł; po nim dopiero obrano Cyryla (1).

Dek. CVII. Przywilej na Czerewaczyce i Hruszowę 1495 r. Dokument ten wypisany z metryki litewskiéj w oryginale datowany tylko miesiącem, dniem i indiktem; roku nie masz. Ten ostatni w tekście stać nie powinien.

Dok. CXIII. Akt sprzedaży Dubiszcza d. d. 1490. Sierpnia 21 indikta 15, który to indikt odpowiada r. 1497 i na téj zasadzie wydawcy odnoszą ten dokument do r. 1497. Tymczasem w danym razie rok 1490 prawdziwy a indikt mylny (powinno być 8), albowiem podpisany na tym dokumencie *Lew(Bohowitynowicz) pisarz królewski i klucznik Brzeski*, pisarstwo złożył około 1490 r. (2); od 1491 do 1495 r. występuje tylko jako klucznik Brzeski (3), następnie (1501) jako klucznik Brzeski i czasznik J. K. M. (4), i dopiero w 1502 r. znów do pisarstwa powrócił (5). Dokument więc, w którym występuje jako pisarz, musi nosić datę przed 1491 albo po 1501 r. Data ery Chrystusowéj podaje nam w danym razie dokładnie rok, w którym dokument został wydanym.

Dok. CXIX. Zapis kniazia Zbarażskiego d. d. sierpnia 9 indikta 3 jest stanowczo z r. 1485 a nie 1500 jak objaśnia przypis na str. 204. Niezaprzeczony na to dowód znajdujemy w podpisie *pana Kmity Aleksandrowicza namiestnika Winnickiego*. Kmita tylko do r. 1490 występuje jako namiestnik Winnicki lub Putiwlski (6); następnie 1493—95 jest namiestnikiem czerkaskim (7) zaś w latach 1498—99 występuje bez żadnego tytułu (8).

Dok. CXLIV. Zapis Bohowitynowicza d. d. lutego 26 indikta 14, który to indikt odpowiada rokowi 1496, oznaczonemu przez wydawcę. Indikt jednak niezawodnie mylny, zamiast 14 powinno być 4 tj. rok 1501. Podpisany bowiem na tym dokumencie *Lew Bohowitynowicz czasznik w. ks. klucznik Brzeski*, nie mógł być czasznikiem w 1496 r. kiedy 1494—1496 urząd ten piastował Fedko Gawryłowicz Meleszkowicz, po nim w 1490 Andrzej Drożdza a dopiéro po tym około 1500 r. czasznikostwo otrzymał Bohowitynowicz (9).

W archiwum Sławuckiém spodziewaliśmy się znaleźć nieznane dotąd dokumenty, odsłaniające nam osobistość owego pierwszego

---

(1) Latopisiec Kijowski cytowany przez Karamzina wyd. Ejnerlinga VI przypisy 403 i 629. Także Daniłowicz Skarbiec N. 2092. — (2) Senatorowie i dygnitarze str. 256. — (3) Metr. Lit. ks. Zapisów N. 18, f. 137 i N. 5, f. 32. — (4) Senatorowie i dygnitarze 208. — (5) Senatorowie i dygnitarze str. 259. — (6) Metr. Lit. ks. Zap. N. 4, f. 21, 22, 55, 77, 80. — (7) Starożytna Polska II, str. 1397. Metr. Lit. ks. Zap. N. 5, f. 13. Akty Zach. Rosyi I, N. 130. — (8) Metr Lit. ks. Zap. N. 4. f. 10. 28. N. 6, f. 240. Starożytna Polska II, 1398. — (9) Senatorowie i dygnitarze str. 2

kniazia Sanguszki, jego stosunek do dynastyi Jagiellońskiéj i kniaziów Kobryńskich i jedném słowem szukaliśmy nowych szczegółów do historyi potomków Fedora Olgerdowicza. Oczekiwania nasze nie sprawdziły się jednak; pod tym względem archiwum Sławuckie nie zawiera nic takiego co by już poprzednio nie było znaném (1). Byliśmy szczęśliwi, albowiem w metryce litewskiéj odnaleźliśmy dokument nieznany wydawcy „Archiwum", a który ze względu na swoję treść powinien był w niém znaleźć miejsce. Jestto *zapis kniazia Kobryńskiego dla swéj żony*, przytaczamy go tutaj jako cenny przydatek do „Archiwum Sławuckiego".

*Wo imia Bože amin. Se ja kn(ia)ž Semen Romanowicz Kobrinski cziniu twerdost seju moeju hramotoju (n)inieszním i potom buduczim wšim dobrym komu toe moee hramoty budet nadobe wideti abo cztuczi słyszeti, zapisuju žene swoej kn(e)h(i)ni Ulijane Semenowne Holszanskich na swoich imienjach otczіznych na Kobrini, na Czerewaciczoch i na Hruszowoj tuju tisjacz kop cztož ona prinesła ot brati swoich iz Holszan ot kn(ia)zja Jur'ja Semenowicza ot kn(ia)zja Andrieja Semenowicza i ot kn(ia)zja Semena Semenowicza, prinesła za mene iduczi do Kobrinja tysjacza kop szirokich hrosz czeskoj moniety; i ja žene swoej kn(ia)h(i)ni Ulijane zapisał protiw ee tysjaczi kop druhuju tisjacz kop ino t(o) (e)sť dwie tisjaczi kop na swoich imienjach otczіznych. Ino estliby szto na mene Boh dopustit, i žena moja kn(ia)h(i)ni Ulijana maet sedeti na wdowem stołcy i z dzietmi moimi a dieti maet chodowati. A estli pochoczet zamuž pojti, dieti ostawiwszi, a ne wchoczet sediti na wdowym stołcy, tohdy dieti moi majut penezi ej otdati, weno ee dwie tisjaczi kop, i imiene majut deržati dieti moi. A pri tom był djadko moj knjaž Sankhuszko Fedkowicz, a kniaž Oleksandro Sankhuszkowicz, i prosił esmi djadi swoe(ho) kn(ia)zja Sankhuszka Fedkowicza, a brata swoe(ho) kn(ia)zja Aleksandra Sankhuszkowicza aby ich m(i)ł(osti). peczati swoi priłozili k siej moej hramote. I ich m(i)ł(osti). prozby moej ne ostawili i peczati swoi priłozili i ja swoju peczat priłoził na twerdosť see moe hramoty. P(i)san w Kobrini m(iesja)ca Okt(jabrja) 1 w liet(o) 6964 indikt 3.* (Rok niezupełnie odpowiada indiktowi 1454 lub 1455).

(Z metryki litewskiéj, księga spraw publicznych litewskich N. 28 A karta 29 strona odwrotna).

Dokument ten już nam był znanym ale tylko w skróceniu (2). Całkowita treść jego, przekonywając nas ostatecznie, iż kniaź Sanguszko był synem Fedora i stryjem kniazia Semena Romanowicza Kobryńskiego, stwierdza fakta poprzednio przez nas podane (3).

*Józef Wolff.*

---

(1) Patrz: Ród Gedimina, str. 116 — 144. — (2) Metr. Lit. ks. Zapisów N. 1 i 2, f. 177—178. — (3) Ród Gedimina str. 120.



# O DZIAŁALNOŚCI NAUKOWEJ
# ś. p. JANA HANUSZA.

Nie wchodząc w szczegóły biograficzne zmarłego badacza, zamierzamy w niniejszym szkicu przedstawić czytelnikowi najważniejsze wyniki badań, które niezatarte działalności Hanusza pozostawiły w nauce ślady.

Prace w kwiecie wieku zgasłego lingwisty dotykają bądź ogólnéj gałęzi języków indoeuropejskich, bądź téż wyłącznie języka polskiego.

Zastanowimy się przedewszystkiém nad rozprawą jego p. t. *O dobie litewsko-słowiańskiéj w stosunku do prajęzyka indoeuropejskiego* (1).

Autor zaczyna rozprawę swoję od podziału języków indoeuropejskich na 8 grup: 1) indyjsko-irańską czyli aryjską, 2) ormiańską, 3) grecką, 4) italską z językami romańskiemi, 5) keltycką, 6) germańską, 7) litewsko-słowiańską i 8) albańską.

Widzimy z tego podziału, że język ormiański zaliczający się niegdyś do gałęzi indo-irańskiéj, tudzież grecki i albański do romańskiéj, stanowią oddzielne grupy. Język keltycki możnaby, zdaniem autora połączyć z romańskiemi; co do innych grup, niemasz między niemi bliższego lub dalszego pokrewieństwa, jak to dawniéj mniemano. Są tylko pewne z jednéj do drugiéj grupy tak zwane przejścia, które wszelako nic jeszcze o stopniu pokrewieństwa nie orzekają.

Grupa litewsko-słowiańska przedstawia cechy świadczące, że przed erą chrześciańską, plemiona mówiące narzeczami pomienio-

(1) Rozprawy i sprawozd. z posiedz. wydz. filol. Akademii um. XI, str. 249—272.

néj gałęzi, żyły, że się tak wyrazimy, pod spólnym dachem, póki w niewiadomym w chronologii czasie, nie rozdzieliły się, rozwijając się w odmiennym jedno od drugiego kierunku.

I tak z indo-europejskiego *a*, *o* krótkiego, powstał w dobie litewsko-słowiańskiéj dźwięk krótki, pośredni, podobny nieco do naszego *á* ścieśnionego, z którego rozwiązało się w litewszczyźnie *a*, w słowiańskiém zaś *o*, np. litewsk. *a*sztrus, słow. *o*str (ostry). Podobnież z indo-europ. *â*, *ô* długiego, powstał w dobie lit.-słow. dźwięk długi *ô* (dla lit.), i *â* (dla słow.) np. lit. st*ô*ti, słow. st*â*ti.

Z innych dźwięków zasługuje na szczególną uwagę przejście w dobie lit.-słow. indo-europejskich nosówek *m n* i płynnych *r l* na *in*, *im*; *ir*, *il*, które zachowały się wyłącznie w lit. (m*in*-u, *im*u, p*il*u, b*ir*au), w słow. bowiem wydały grupy: *ъn*, *ъm*, *ъr*, *ъl* (m*ъn*ą, j*ъm*ą, ż*ъr*ą, m*ъr*ą).

Spółgłoski gardłowo-podniebienne *k*, *g*, *gh* przeszły w dobie lit.-słow. w jakieś dźwięki syczące, z których powstały litews. *sz*, *z* i słow. *s* np. gr. he*k*atón, łac. *c*entum. lit. *s*zimtas, słow. *s*ъto.

Przydechowe *gh*, *dh*, *bh* utraciły w gałęzi lit.-słow., jak wiadomo, swój przydech.

W deklinacyi np. cechą *genitivu singl.* tematów na *o* było w dobie lit.-słow. *ô*, z którego lit. *o* (wiłk*o*), słow. *a* (włъka). *Instrumentalis singl.* tematów na *a*, kończył się w dobie lit.-słow. na samogł. nosową, np. lit. r*an*ka, słow. rąką (w łotewsk. jednak ruku). *Dativus singl.* zaimka osoby 3 l. p. lit. mana, słow. mьnê jest nowotworem w stosunku do sanskr. mahyam, łac. mihi. *Infinitivus* np. lit. bûti, słow. byti = być, stanowi formę *dativu singl.* (por. sanskryckie bhutay-e). Tematem słowa dati (lit. duti) jest dôd (por. os. 3 plur. cz. ter. słow. dad-ętъ) powstały z indoeurop. ded.

Przedstawiwszy w ten sposób treść rozprawy, orzekającéj o stanowisku autora wobec pojęcia o genetyczném powstawaniu z dziedziny aryjskiéj późniejszych języków szczepu litewsko-słowiańskiego, zwracamy uwagę czytelnika na pracę, która zgasłemu lingwiście wyrobiła docenturę sanskrytu w Wiedniu. W rozprawie téj pod tytułem: *Ueber das allmälige Umsichgreifen der n Declination im Altindischen* (1), autor rozważa spółgł. *n* zachodzącą w *genit. plur.* w tematach sanskr. na samogłoskę, w *instrument. singl.* tematów na *i u*, tudzież we wszelkich innych wypadkach, gdzie się ono *n* pojawia.

Dawniejsi lingwiści rozmaite w tym względzie wygłaszali zdania. Ojciec naszych sanskrytologów Bopp, uważa spółgł. *n* w tych wypadkach za eufoniczną międzygłoskę *(euphonischen Zwischenlaut)*.

---

(1) Sitzungsberichte der Kaiserl. Ak. d. Wiss. Philos. hist. Classe. CX, str. 41—84.

Benfey ma ją za spółgł. wtrąconą dla uniknienia rozziewu. Schleicher uznaje w niéj główny żywioł tematu zaimkowego *ana* (litew. *anas*, słow. *on*), lecz późniéj zmienił zdanie, nazwawszy ją nową zgoła formacyą. Wbrew tym wszystkim twierdzeniom Hanusz utrzymuje, że tutaj nic innego nie zachodzi, jak rozszerzenie się tematu przez *n* z przedłużeniem lub bez przedłużenia samogłoski tematowéj.

Proces niniejszy w taki przedstawia się sposób.

Pierwotną fleksyą sanskr. *genit. plur.* jest *âm*, dziś tylko właściwą tematom spółgłoskowym, a w pierwotnych czasach i samogłoskowym. Z czasem, gdy tematy samogłoskowe przez spólną fleksyą zaciérać się poczęły, dla uratowania ich, wzięto z tematów spółgłoskowych fleksyą *n*âm, którą przyczepiono do samogłoskowych. Fleksya n*â*m powstała kosztem tematu spółgłoskowego: atma*n* -âm, bo *n* oderwało się, jak widzimy, od téj formy.

Rozprawa *o języku Ormian polskich* (1) w porządku genetycznym trzecie zajmuje miejsce w studyach autora, dotyczących się języków indo-europejskich.

Język ormiański, stanowiący oddzielną grupę, staje się literackim od V w. po Chr. i nosi nazwę klasycznego. W VIII stuleciu język klasyczny zaczyna się mieszać z ludowym, któremu w IX już stuleciu ustępuje miejsca w literaturze. Dzisiaj oprócz zamarłego już klasycznego, używanego jeszcze w liturgii kościelnéj, mamy dwa nowe narzecza literackie: tureckie i rosyjskie. Pierwsze powstało w Carogrodzie, w początkach bieżącego wieku, drugie zaś oparte na gwarze Ormian astrachańskich, rozwinęło się literacko około r. 1840.

Zebrany przez ś. p. Hanusza materyał językowy, pochodzi z okolic Kut w Galicyi i Suczawy na Bukowinie. Jest to tak zwana gwara Ormian polskich, wielce już polszczyzną i ruszczyzną przesiąkła. Autor zestawia tutaj dźwięki i formy ormiańskie z indoeuropejskiemi.

W „Szkicu gramatycznym“ (2) autor na zasadzie zmian dokonanych w lingwistyce w ciągu ostatniego dziesięciolecia, przeprowadza najnowsze zdobycze naukowe, ujęte już w pewien system.

Punktem wyjścia w fonetyce „Szkicu“ jest według Hübschmanna (3) indo-europ. *ä*, z którego rozwinęło się słow. *o*, tudzież indo-irańskie *i* (np. słow. st*o*ją, sanskr. sth*i*-tá-s).

---

(1) Rozprawy i sprawozd. z posiedz. wydz. filol. Akad. um. XI, str. 350—481.

(2) Prace filologiczne t. I, zesz. II i III; t. II, zeszyt I.

(3) Das indische Vocalsystem. Strassburg 1885.

Nie wdając się w streszczenie niniejszéj pracy, nadmieniamy, że stanowi ona plan budowy, który przez przyszłego gramatyka przeprowadzonym być winien w szczegółach architektonicznych, zastosować się mających do gramatyki języka polskiego, w duchu najnowszych wyników językoznawstwa skreślonych.

Naznaczywszy działalność Hanusza na polu lingwistyki indoeuropejskiéj, przechodzimy do dziedziny polszczyzny, w któréj autor opracował pomniki w sposób ściśle obiektywny.

W „Kazaniach gnieźnieńskich" (1) z XV w. zauważył, że forma *bodzem* (bogiem) przedstawia dźwięk gže (por. ogzeń — ogień), napisany dlatego przez *dz*, iż między *g* a *d* nie uczuwano w wymowie różnicy.

Z powodu rękopisu opisanego przez Wisłockiego, a zawierającego kazania o małżeństwie (2), autor rzuca domysł, ażali *oo* długie w formie pism*oo* nie jest śladem zaginionéj nosówki (por. starosławiańskie pismę = litera).

Porównywając Psałterz Floryański z Puławskim i Modlitwami Wacława, utrzymuje, że aczkolwiek końcówka *a* w *genit. singl. msc.* jest w obu pierwszych zabytkach panującą, jednakże fleksya *u*, oznaczająca dziś rzeczowniki nieżywotne, ośmnaście razy w pomnikach tych się pojawia.

Z zabytków XVI stulecia autor rozważa książkę do nabożeństwa króla Zygmunta I-go (3).

Język tekstów pisanych w XVI st. zawiera pewne domieszki z XV w., co szczególną zabytku tego stanowi cechę. Nosówki *ę*, *ą* oznaczają się przez *an*, *ą*, *a*, *en*, *ę*, *e*; *an*, *am*.

Do prac dyalektologicznych (4) Hanusza należą: 1) *Ślady niektórych odcieni dyalektologicznych w Kazaniach gniez.*, 2) *O samogł. nosowych w narzeczu Słowińców pomorskich*, *Kabatków i Kaszebów*, tudzież 3) *Ueber die Betonnung der Substantive im Kleinrussischen* (5).

Do cech dyalektologicznych w „Kazaniach gniez." należą, według Hanusza, *dz* zam. miękkiego *g*, np. dzyną (giną), ogzen (ogień) i t. p., co się miało wymawiać *gźiną*, *ogźeń*, lubo inaczéj o tém sądzą Baudouin de Courtenay (6) i Małecki (7). Oprócz tych właściwości,

(1) Wykaz form językowych w Kaz. gn. z 1419 w Sprawozd. kom. jęz. Ak. um. I.
(2) Katalog ręk. zesz. IV i Spraw. kom. język. I.
(3) Rozpr. i sprawozd. z posiedz. wydz. filol. XI, str. 44—146.
(4) Rozpr. VIII, str, 64—69, 15—63.
(5) Jagić. Arch. f. sl. Phil. VII, str. 222—325.
(6) Beiträge zur vergl. Sprachforsch. VI.
(7) Gram. hist. por. I.

są jeszcze w tym pomniku inne, jak *napirswe*, *srzeliquiami* (z relikwiami), *grecha*, *prydze*, *kalsdy* i t. p.

Studyum nad gwarą kaszebską, opiera się na powieściach ludowych, zebranych przez Hilferdinga (1).

W wyniku badań swoich nad akcentem małoruskim, autor dochodzi, że w wielu wypadkach akcent małoruski bardziéj się zbliża do słowieńskiego i bulgarskiego, niż do wielkoruskiego.

Inne artykuły zgasłego lingwisty rozproszone są w „Pracach filolog.“, „Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce“, „Przegl. Polsk.“, w czeskiém i polskiém „Ateneum“, „Bibl. warsz.“, „Slovansk. Zborniku Jelinka“, Jagića „Archiv“ i t. d.

(1) Ostatki Sławian na jużnom bieriegu Bałtijskago morja.

*Justyn Feliks Gajsler.*





# ZAPISKI ARCHEOLOGICZNE

## Z ZIEMI NADODRZAŃSKIÉJ.

Swego czasu zawiadomiliśmy czytelników „Ateneum“ o znalezieniu arcyciekawych i rzadkich przedmiotów przedhistorycznych na terytoryum Zakrzewa (Sakrau). pod Wąsorzem, w powiecie górowskim (Gurau), w porzeczu Baryczy na średnim Szląsku. *Muzeum starożytności szląskich*, któremu właściciel Zakrzewa znalezione osobliwości ofiarował, zastrzegło sobie wyłączne prawo ilustrowania wykopalisk zakrzewskich, a przewodniczący *Towarzystwa Muzeum*, radca zdrowia d-r Grempler z Wrocławia, wydał w imieniu Towarzystwa rzeczonego, wsparty subwencyą z kasy prowincyonalnéj, obszerne sprawozdanie, odkrycia wspomnianego się tyczące, z opisem poszczególnych odnośnych przedmiotów, z 5 *in folio* tablicami fotolitografowanemi, jedną kolorowaną, z mapą okolicy i specyalnym planem Zakrzewa.

Autor sprawozdania oświadcza, iż doszedł do przekonania, że miejsce, na którém się zakrzewskich okazów dokopano, to cmentarzysko z trzeciego albo czwartego wieku ery chrześciańskiéj, a znalezione przedmioty należy uważać za najstarsze znane dowody istnienia już w początku gminoruchów wielkiego gościńca przez Szląsk z południa na północ prowadzącego. O trakcie takim wspomina zresztą Hildebrandt, a za nim d-r Wankel (1). Ciągnie on się— a wskazują go głównie bronzy — z wschodnio-południowéj części Europy przez wschodnią Europę środkową, przez Włochy północne, przez Panonią, Noricum, Czechy, Morawy, Łużyce, w. ks. Poznańskie, Pomorze, aż do morza Baltyckiego. Drogę tę walną albo skierowano w późniejszym czasie od Moraw na prawą stronę Odry, jak to wskazują wykopaliska zakrzewskie i w okolicy Koźla na Gór-

(1) Beitrag zur Geschichte der Slaven in Europa von Dr. Heinrich Wankel (str. 63)

nym Szląsku, a mianowicie na polach włości Brzezia tamże i po innych jeszcze miejscach odsłaniane, albo też obok zachodniéj drogi z Moraw na Łużyce i daléj ku północy istniała jeszcze równolegle droga wschodnia przez Szląsk w oznaczonym wyżéj kierunku, t. j. po prawym brzegu Odry wiodąca. Ztąd też pochodzą przed niejakim czasem, przy zakładaniu fundamentów pod dom, przez pewnego górnoszląskiego wieśniaka znalezione a następnie jednemu z handlarzy wrocławskich sprzedane liczne przedmioty bronzowe, a mianowicie czara o dwuuszkach, dwa kociołki z pałączkami, zdobne głowami zwierzęcemi, misternie wykonanemi, coś do łyżki wazowéj podobnego z pokrywą sitkową, nożyczki, nóż srebrnemi prążkami na grzbiecie wykładany, tygielek bronzowy i czara do picia, odznaczająca się wytworną robotą. Może to naczynia jakiego rzymskiego handlarza (bursztynu). Dawniéj jeszcze znaleziono na terytoryum wyżéj wspomnionego Brzezia garnek z rzymskiemi monetami. Wszystko to dowodzi, że istniał tu trakt wielki, niezawodnie aż do Baltyku gdańskiego wiodący.

W końcu kwietnia b. r. znaleziono w Koźlu przy kopaniu fundamentów pod most, przez odnogę Odry prowadzić mający, w głębokości *7,5 metr. czółno najpierwotniejszéj formy,* bo z kłody dębowéj wyżłobione, 8 metr. długie i 60 centymetr. szerokie. Spoczywało ono na zwirze, pokryte na metr grubą warstwą piasku aluwialnego z wierzchniém pokładem glinowatéj masy ziemnéj, na czém znowu pokład piasku bardzo grubo leżał. Czółno rzeczone jest *pierwszym na Szląsku* znalezionym okazem statku tego rodzaju i najsędziwszym świadkiem (może kilka tysięcy lat liczącym) kultury naszych przodków przedhistorycznych. Dziś już ono się znajduje w Wrocławiu i należy do najcenniejszych okazów wśród bogatych zbiorów *Muzeum starożytności szląskich.*

Na uroczyskach naszych ciągle nowe odsłaniamy groby. Tak znaleziono przed paru miesiącami przy kopaniu piasku na pewnym pagórku w Strzyży, w powiecie oleśnickim, fragmenta popielnic, a gdy się to częściéj powtarzało, dano o tém znać *Towarzystwu Muzeum starożytności szląskich.* Wysłana 2-go maja komisya zajęła się dalszém poszukiwaniem i dokopała się prócz licznych bardzo, nie głęboko leżących skorup naczyń przedhistorycznych, głęboką orką uszkodzonych i prócz niedopalonych kości ludzkich, wielu okazów nieuszkodzonych, mianowicie czarnych urn, kilku gruchawek i zgrabnie wyrobionego i na żółto pobarwionego garnuszka (łzawnika). A jeszcze głębiéj w ziemię się zapuszczając, odkryto nowe groby, co na słuszny wprowadziło archeologów domysł, *że dwa tu, jedno pod drugiém, znaleziono cmentarzyska.* Tylko w dwóch miejscach na-

trafiono na pokłady kamienne, groby z wierzchu zabezpieczające. Jeden mianowicie grób zainteresował komisyą bardzo. Znajdowały się w nim dwie urny z kośćmi i dwa czarne naczynia subtelnie ornamentowane. Ossarium większe, kamieniem nakrywającym je nieco uszkodzone, niezwykłych jest rozmiarów, gdyż średnica największéj wypukłości jego 43 centymetry, wysokość zaś 40 centymetrów wynosi. W inném miejscu stały tuż obok siebie czarna popielnica a w niéj surowa, żółta i znowu czarne dwuuszne naczynie, obok zaś sześć wywróconych leżało czar. Na samym spodzie znajdowała się wielka pokrywa; pod nią cienki pokład dobranych granitowych kamyków. Szczegół to w praktyce archeologicznéj u nas bardzo rzadki. Udało się prawie całą zawartość grobu tego bez uszkodzenia jéj wydostać—sztuk 30, i do Muzeum przewieść.

W tym samym miesiącu czyniła wzwyż wspomniona komisya poszukiwania w Kornicach (Körnitz) pod Stramburkiem (Trachenberg), gdzie poprzednio ludzie miejscowego dziedzica przy kopaniu piasku znaleźli część żelaznéj tarczy rycerskiéj, żelazne nożyce i dwa żelazne brzeszczoty, miecza i noża. Zachęceni przedłożonemi okazami wzięli się do pracy archeologowie wrocławscy na wskazaném miejscu i 2 metry pod powierzchnią ziemi dokopali się licznych wypalonych na biało całych, i resztek kości ludzkich. Że zaś grób Kornicki już był przez niepowołane ręce naruszony, nie było można skonstatować położenia rzeczy żelaznych do kości. Nie znaleziono téż ani śladu kamieni, groby pogańskie w tych stronach, np. pod Ścinawą (Steinau), nad Odrą, często otaczających. Że w Kornicach nie znaleziono żadnych ozdób, tylko, prócz kości i kawałków urn, samę broń, więc przyjąć można, że się tu z grobem pogańskiego rycerza miało do czynienia. Dodać nam jeszcze wypada, że wyżéj wymienione przedmioty żelazne do starszego czasu epoki żelaznéj *(„la tène")* (1) należą.

1-go czerwca dokopał się asystent *Muzeum Star. szląskich*, dr. Zimmer, w Kornowie, w powiecie oleśnickim, przedchrześciańskich grobów. Już w głębokości półmetrowéj stały większe i mniejsze urny i leżały powywracane czary. Większe popielnice zawsze zajmowały zachodnie miejsca grobów. Skonstatowano sześć oddzielnych gniazd urn w jednym i tym samym ustawionych porządku. Następnie odsłonione groby już nie okazywały takiego ładu w ugrupowaniu naczyń, owszem tuż obok siebie stały nieprzerwanie popielnice. Tu i owdzie natrafiano na luźny bardzo wierzchni pokład kamieni. Wydobyto 80 różnych rozmiarów i nierównego wykona-

---

(1) Jak ją tu nazywają. Możeby ją „normandzką" nazwać można.

nia urn, ale tylko z nich połowa nadawała się do przewiezienia do Wrocławia. Do najcenniejszych, w grobach kornowskich znalezionych okazów należały: dobrze zachowana gruchawka (zabawka dla dzieci) w kształcie głowy ptaka i dwie niby tabakiery z wiekami. Przedmiotów kruszcowych, prócz kawałka zoksydowanéj koprowiny, nie znaleziono wcale.

Już 4-go tego samego miesiąca widzimy d-ra Zimmera w Pokoju *(Carlsruhe)*, pod Ścinawą, zajętego archeologiczną pracą. Mimo deszczu i trudności, jakich miejsce, które rozkopywano, nastręczało, dostał się d-r Z. do dwóch oddzielnych grobów, których położenie i oryentujące szczegóły odszkicował. Pierwszy grób otoczony był ze wszystkich stron kamieniami. Wnętrze skrzynki téj było 1,10 metr. długie, 0,75 mtr. szerokie, a 0,25 metr. głębokie i zawierało 5 glinianych naczyń i znacznych rozmiarów pokrywę. Czarne i głębokiemi pręgami zdobne ossaryum stało, kamieniem nakryte, w zachodnim końcu grobu. Drugi grób, $\frac{1}{2}$ metra długi i 0,30 metr. szeroki, tylko wierzchem zabezpieczony pokładem kamieni, zawierał 7 naczyń i kilka wywróconych czar. Resztek kości w grobie tym nie znaleziono. Następnie odsłonione urny nie stały grupami ale każda osobno i były żwirem porozsadzane. Przy téj sposobności ofiarował właściciel terytoryum, na którém d-r Zim. poszukiwania czynił, *Muzeum starożytności szląskich* znaleziony w okolicy Pokoju nóż z bronzu, kształtu sierpa, z żelazną spinką *(fibula)*, ze śladem nasadu bronzowego i dziwnie ukształtowany kawałek kwarcu.

Na jesieni miało tu *Towarzystwo Muzeum* podjąć dalsze poszukiwania archeologiczne.

Zakończymy zapiski nasze krótką wzmianką o bardzo ciekawym zbiorze *heraldycznym*, jak niedawno temu hr. Schaffgotsch nabył od sukcesorów w Warmbrunn, zmarłego pułkownika Keck von Schwarzbacha, nawet po za granicami Szląska znanego znawcy i lubownika rzeczy heraldycznych. Rzeczony zbiór składa się z licznych i bardzo cennych dzieł treści heraldycznéj, jak nie mniéj z bardzo cennych kolekcyi herbów. Ostatnie z rzadką dokładnością i elegancyą (plastycznie) wykonane, nie tylko rodów szląskich, ale prawie wszystkich niemieckich, czeskich, polskich, a nawet węgierskich i wielu miast się tyczą.

Wszystko to — heraldyczna biblioteka i herby — ściśle naukowo ułożone i uporządkowane, przewyższa podobno kompletnością i znakomitością wszystkie poszczególne zbiory szląskie tego rodzaju i stanowi w księgozbiorze hr. Schaffgotscha (w Warmbrunn) osobny dział pod nazwą pierwotnego właściciela.

*J.*



# ROZBIORY, SPRAWOZDANIA

## I WRAŻENIA LITERACKIE.

Przyczynek do etnografii ludu ruskiego na Wołyniu, z materyałów (,) zebranych przez p. Zofię Rokossowską (,) we wsi Jurkowszczyźnie (,) w powiecie zwiahelskim (,) opracował prof. dr. I. Kopernicki. Kraków, 1887. str. 99 w 8-ce w. Odbitka z tomu XI Zbioru wiadomości komisii antropolog. Akademii umiejęt.

Znamy poprzednią pracę pani R. z tomu VII tegoż Zbioru, zawierającą opis wesela i sporą ilość pieśni z téjże wsi tegoż powiatu. Obecnie podaje nam ona wielce staranny i zajmujący obraz zwyczajów i obrzędów ludowych przy narodzinach, chrzcie, weselach i pogrzebach, oraz w dni uroczyste; daléj opis gier dziecinnych, podania o duchach, czarach i wróżbach, zabobony rolne i lekarskie, podania o początku i przyczynach rzeczy i zjawisk przyrody, wreszcie troche zagadek i łamigłówek.

Wołyń zaniedbywany był dotąd przez folklorystów naszych i obcych; p. Kopernicki, oprócz drobniejszych szkiców drukowanych w Kłosach i Tygodniku ilustrowanym, wymienia jedną tylko obszerniejszą pracę o Wołyniu Czubińskiego; jeżeli dodamy do tego dwutomowe dzieło J. T. Steckiego „Wołyń pod względem statystycznym, historycznym i archeologicznym“ (Lwów, 1864—1871), oraz dawniejsze wspomnienia Kraszewskiego (Wilno, 1840, 2 tomy), to będzie i wszystko, co pisano o obszernéj dzielnicy dawnéj rzeczypospolitéj. Dla folkloru mało się znajdzie u Kraszewskiego, u Steckiego nieco więcéj, u Czubińskiego wiele, a w pracach pani R. dopiero otworzy się nam prawdziwa kopalnia skarbów ludowych. Więc winniśmy jéj szczere za to podziękowanie, którego znaczna część należy się panu Kopernickiemu, za umiejętne i systematyczne ułożenie zasobów nadesłanych przez panią R. komisyi.

Niepodobna streścić w krótkim referacie całéj masy faktów etnologicznych i mitologicznych, któremi się roi przyczynek w mowie będący. Wiele tam rzeczy podobnych do odpowiednich obrzędów i zabobonów polskich, wiele do znanych skądinąd ukraińskich, ale znaczna ilość zupełnie nowych, a bardzo ciekawych, szczególnie w rozdziałach: „Wierzenia i przesądy", oraz następnym.

Podniesiemy tu kilka ziarn z obfitego pokłosia. Zwróćmy uwagę na podania o początku i przyczynach wszech rzeczy: najciekawsza to strona wierzeń ludowych. Wszak cała mitologia nie jest czém innem, jak pierwszą próbą tego, co Cyceron określał słowami „*rerum origo et causae*" mówiąc o filozofii; mitologia zaś właściwie jest pierwszą próbą dochodzenia rodowodu i przyczyn wszystkich rzeczy, jest więc poprostu filozofią pierwotną, jakkolwiek się nam dziś wydaje naiwną, czasem grubą i niedorzeczną.

Zkąd powstała żmija? Z wrzeciona, którém baba przędła w wieczory świąteczne, a potém, zamiast je spalić, wyrzuciła i dla tego płaz ten nazywa się na Wołyniu *weretennykiem*. Oczywiście podanie o początku żmii wysnuto z jéj nazwy, tę zaś nadano z powodu podobieństwa wrzeciona do gadziny (str. 89).

Kukułka przestaje kukać, gdy się zboże wysypie; dla czego? Lud wołyński ma gotową odpowiedź mitologiczną: bo się kłosem zadławiła (str. 90).

Nienawiść psa i kota wyjaśnia się na Wołyniu inaczéj niż np. pod Tarnobrzegiem (Rozprawy wydz. filog. Akad. krak. VIII, 163: „lácego pies nie lubi kota"): wyjaśnienie to wiąże się z mitem o przyczynie krótkości kłosów dzisiejszych, znanym gdzieindziéj (Rozpr. 164), ale nie złączonym ze sprawą rankoru kocio-psiego (str. 91).

Na str. 30—31 znajdujemy ciekawą odmiankę legendy o św. Aleksym, który tu nazywa się Ołeksejem; zaraz daléj zajmująca pieśń o św. Barbarze; obie znajdujemy w innéj postaci w dziele Kolberga o Pokuciu (nn° 501. 502, 504), spisane z ust lirnika z Siekierzyna.

Jak w każdym zbiorze rzeczy ludowych, tak i tu spotykamy trochę okazów analogicznego podprowadzania mniéj znanych wyrazów pod więcéj znane; tak np. wołyniak mówi o *Łazarecie*, zamiast o Nazarecie (str. 22, 26), Jezusa (Isusa po ukraińsku) nazywa *Susem* (str. 22); niezrozumiałe wyrazy starosłowiańskie pieśni kościelnéj „slavьnъ iesi" (sławnyś) ułatwia sobie przekręceniem na *sława nesì* (20), a Jerozolimę zwie *Rusałymem* (23). Ciekawy téż tworzy sobie rodowód słów, znanych u nas w postaci *skarpieć*, *skarpać* (zniszczéć, zmarniéć): robiąc czary na śmierć czyjąś, lepi świeczkę z okruszyn świec, które stały przy umarłym, zapala ją i przewróciwszy knotem na dół, mówi: bodajeś sam *skapał*, jak ta świeczka!

W oddawaniu tekstów ukraińskich pragnęlibyśmy pewnéj wyrozumowanéj i konsekwentnéj pisowni; mówię to nie tylko o obecnym przyczynku, ale o wydawnictwach komisyi antropologicznéj wogóle i stosuję również do tekstów białoruskich. Dotychczasowa transkrypcya nie odznacza się ani wiernością, ani logiką. Zwrócę uwagę na trzy tylko okoliczności. Najprzód : koniecznieby należało odróżniać na piśmie dwa *w* : jedno, wymawiane mniéj więcéj jak *u* krótkie np. *osidłàw* (osiodłał), *mołodcìw* (mołojców), drugie jak nasze *w*, np. *wòłyki* (wołki), *murawa* (toż); pierwsze możnaby wyrażać przez *w*, drugie przez *v*, lub jakoś inaczéj, byle tylko jednym znakiem nie pisać dwóch brzmień wcale różnych. Powtóre : wypadłoby pilnować cieniowania *i* i *y*, tak ważnego w mowie ukraińskiéj i nie pisać (str. 52) *zumìłasia* i tuż *podìłasia* (zdumiała się, podziała się), gdy w pierwszym razie *i* brzmi jak *y*; zresztą różnica ta dosyć, chociaż nie zupełnie wiernie przeprowadzona jest w rozbieranym przyczynku. Po-trzecie : wartoby miękczenie za pomocą *i*, przejęte z naszéj pisowni, a wcale, wyznajmy, niefortunne, zastąpić znaczkiem nad poprzedzającą głoską, np. zamiast *jakiè* pisać *jak'e*, zamiast *sia* pisać *śa*, itd. jak to widzimy np. w tekstach gwar polskich, podawanych w Rozprawach wydziału filologicznego.

*Jan Karłowicz.*

---

= **Statystyka miasta Krakowa** *zestawiona przez biuro statystyczne miejskie pod kierunkiem i redakcyą Prof. Dra Józefa Kleczyńskiego. Tom I. Kraków 1887.* (Str. 121). — Jestto pierwszy owoc prac niedawno do życia powołanego biura statystycznego miejskiego. Na podstawie ksiąg urzędowego spisu ludności z r. 1880 znajdujemy tu systematycznie i krytycznie opracowany materyał do statystyki ludności miasta Krakowa. Dokładnie obliczona cyfra ludności Krakowa w r. 1880 wynosi 66.097 głów z tych ludności cywilnéj 59.830 wojskowéj 6267. Na osobnych tablicach wykazany jest szczegółowo porządkiem dzielnic stosunek ludności do zabudowanéj przestrzeni (5.770.280 □ m.) daléj stosunek zaludnienia poszczególnych ulic i domów. Statystyka ludności, przeprowadzona na podstawie danych zawartych w księgach spisowych, wykazuje liczbę rodzin i partyi, uwzględnia podział ludności ze względu na stan jéj cywilny oraz przynależność do parafii, wreszcie klasyfikuje ludność według miejsca urodzenia i prawa przynależności. Obliczenie ludności pod względem płci wykazuje przewagę kobiet o 5174 głów. Daléj znajdujemy obliczenie ludności według wieku w stosunku zwykłym i procentowym, tak dla całego miasta, jak poszczególnych ośmiu dzielnic. Po-

dział ludności według wyznań wykazuje następujące cyfry. Ludności katolickiéj trzech obrządków 45092 osób czyli 68·22%, żydów 20258 czyli 30·66%, protestantów 1%. Rozklasyfikowanie ludności według stopnia wykształcenia wykazuje 36% analfabetów co nad wyraz smutnie świadczy o stanie oświaty w Galicyi. Ostatnie działy obejmują obliczenia ludności według narodowości, zajęcia i wreszcie ułomności cielesnych. W pierwszéj kategoryi wykazy podają cyfrę polaków 46139, niemców 7470, a za podstawę podziału służyła tu rubryka: język rodzinny w księgach spisowych. W drugiéj różnorodność zajęć występuje w całéj pełni, przyczém zaznacza się wybitnie brak a raczéj szczupła liczba robotników fabrycznych. Cyfry w téj rubryce przedstawiają ciekawy ze wszech miar materyał do wniosków i komentarzy. Np. liczba osób stanu duchownego 958, urzędników 673, nauczycieli 719, literatów i artystów 271, adwokatów i notaryuszów 92, służby zdrowia 181, gospodarstwo rolne 155; rubryka przemysłu rozdrobniona. Na str. 113 znajduje się porównawcze zestawienie pod względem zajęć ludności Krakowa i Warszawy w stosunku zwykłym i procentowym a porównanie to w wielu punktach charakterystyczne przedstawia różnice. Ostatni rozdział traktuje o ułomnych, których cyfra wynosi 137. Zestawienia w tablicach opatrzone są wszędzie, tekstem objaśniającym, w którym wiele szczegółów znajduje wyjaśnienie i wyczerpujące umotywowanie. Wszędzie téż poczynione są porównawcze zestawienia z innemi większemi miastami. Statystyka obecna Krakowa wydaje miastu świadectwo nieustającego i szybkiego wzrostu i rozwoju, jak to wymownie wskazują cyfry. Ludność Krakowa w r. 1857 wynosiła 41086 osób, w r. 1869, 49835, w r. 1880, 66.097 a obliczona według tego samego stosunku przyrostu rocznego na rok bieżący wykazuje 73,517 głów. Tablice ułożone są metodycznie a tekst opracowany mozolnie i szczegółowo. Wielka różnorodność i wszechstronność w obliczaniu poszczególnych objawów, oraz krytycznie i porównawczo opracowane wyniki świadczą o wielkiéj staranności i pracy wydawcy, dla władz miejskich zaś są cenną wskazówką wielu lokalnych życiowych i społecznych objawów w dziedzinie cywilizacyjnego rozwoju miasta. *W. P.*

— **Mieszkania żaków krakowskich** *w XIV—XVI wieku, napisał dr. A. Karbowiak. Kraków 1887. (Odbitka z „Muzeum“)* (str. 43). W historyi wychowania publicznego w Polsce w XV i XVI w. kwestya mieszkań scholarzów czyli żaków przedstawia jednę z ciekawszych kart. Świadczy o tém istnienie podówczas licznych burs w Krakowie oraz zapiski w aktach rektorskich uniwersytetu jagiel. a po części i wzmianki historyczne świadczące, że życie studenckie

w owych wiekach wybitnie się zaznaczało w Krakowie. Na podstawie badań archiwalnych w aktach rektorskich uniw. jag. p. Karbowiak stara się w pracy swéj podać bliższe szczegóły dotyczące organizacyi mieszkań żaków a w szczególności urządzenia tz. burs. W opowiadaniu swém podaje autor wiele nowych i ciekawych szczegółów dotyczących powstania i wewnętrznego urządzenia burs krakowskich, przytacza przepisy ówczesne w bursach, charakteryzuje tryb życia scholarzy, wreszcie roztrząsa kwestyą, czy i o ile bursy ówczesne odpowiadały swemu zadaniu i jaką korzyść przynosiły. Praca p. K. utrzymana w tonie lekkiego opowiadania zasługuje na uważne odczytanie, gdyż jest ciekawym przyczynkiem do historyi szkolnictwa polskiego w epoce złotego wieku. *W. P.*

= **Piotr Ronsard.** *Studyum literatury XVI wieku. Napisał dr. Teofil Ziemba. Kraków 1886*, (str. 98). — W dziejach poezyi XVI wieku, w dobie największego rozkwitu klasycyzmu, jednym z najgłówniejszych i najwybitniejszych przedstawicieli tego kierunku we Francyi był Piotr Ronsard. To, czego w Polsce dokonali pod względem języka pospołu Rej z Kochanowskim, dokonał we Francyi Ronsard i choć nie on pierwszy zaczął pisać w języku francuskim, to jednak jemu przypada w udziale najznaczniejsza część zasługi udoskonalenia języka ojczystego i wprowadzenia go na stałe do literatury. Poeta niesłychanie płodny we wszystkich rodzajach poezyi urabianéj wyłącznie na wzorach klasycznych, nadawał Ronsard ton całemu współczesnemu piśmiennictwu francuskiemu i był bożyszczem swego narodu. O ile szybko jednak wzrosła i rozszerzyła się sława poety po całéj Europie, o ile rozgłos jego dziełami wywołany nie wielu ze współczesnych i późniejszych przypadł w udziale, o tyle prędko został zapomniany. Późniejsi krytycy, jak Boileau, odmówili nawet wszelkiéj wartości poezyom Ronsarda i odtąd nazwisko poety przeszło dwa wieki było przedmiotem naigrawania i krytyki ośmieszającéj. Z tego niezasłużonego zapomnienia podniósł Ronsarda dopiero St. Beuve w r. 1828, i od téj chwili datuje się epoka ciągłéj rehabilitacyi francuzkiego poety. A choć nie odzyskał on w literaturze tego znaczenia i sławy, jaką się cieszył za życia, potomność przyznała mu już dziś należne zasługi i przywróciła na właściwe stanowisko w literaturze. Dla nas osobistość Ronsarda więcéj aniżeli któregokolwiek z innych koryfeuszów literatury francuskiéj przedstawia interesu, a to raz ze względu, iż był on osobiście i z utworów znanym Kochanowskiemu, powtóre, że jako jeden z najgłówniejszych poetów epoki odrodzenia, był w Polsce cenionym, a nawet, jak francuscy biografowie utrzymują, w szkołach publicznych u nas czytywanym. Mimo licznych usiło-

wań stosunek poezyi Kochanowskiego do współczesnéj mu francuskiéj i włoskiéj literatury dostatecznie zbadany i rozjaśniony jeszcze nie został. Z tego téż względu praca p. Ziemby zaliczająca się do kategoryi skąpo w piśmiennictwie naszém reprezentowanych studyów z dziedziny literatury powszechnéj jest pożądanym przyczynkiem nie tyle do dziejów francuskiéj ile polskiéj literatury. Autor kreśli na tle życiorysu poety ówczesny stan literatury francuskiéj, stosunki i wpływy jakie na Ronsarda działały, przedstawia genezę głośnéj „plejady“ i jéj działalność, w końcu podaje charakterystykę poety i dzieł jego. Dla lepszéj ilustracyi ducha i charakteru poezyi ronsardowskiéj, któréj zresztą autor zupełnie nie stara się ująć w ramy krytycznego rozbioru i nie oświeca poglądem własnym, podaje p. Ziemba kilkanaście utworów drobnych, przeważnie erotycznéj treści we własném dość udatném tłómaczeniu. Pisząc o katolickim kierunku poezyi Ronsarda, zaledwo pobieżnie napomknął p. Ziemba o charakterystycznéj odpowiedzi Ronsarda na zarzuty partyi przeciwnéj, ktora to odpowiedź bądź-co-bądź była jedném z ważniejszych i wielce jak na owe czasy charakterystycznych wystąpień Ronsarda, świadcząc że nie zawsze poeta hołdował temu kierunkowi poglądów. Dotykając z konieczności stosunku Kochanowskiego do Ronsarda, zadowala się autor dotychczasowém przypuszczeniem, że nasz poeta wzorem francuskiego postanowił pisać w ojczystym języku. Podobieństwo niektórych poglądów, powtarzających się zarówno w pismach naszego Jana jak Ronsarda, odnosi autor do wspólnych wzorów. W zakończeniu podnosi p. Z. Ronsarda do najcelniejszych poetów XVI wieku a przy téj sposobności wyraża pogląd, że najszczytniejszym kierunkiem prawdziwéj poezyi jest tło jéj religijne. Nie wdając się w polemikę w tym względzie, nadmienić musimy, że apodyktyczne to twierdzenie co najmniéj w skromniejszéj formie osobistego zapatrywania autora zamknąć się było powinno. *W. P.*

= **Słowo o stosunku Kochanowskiego do Ronsarda** *napisał Kazimierz Bronikowski. Kraków 1887.* (str. 19). Broszurka p. B. jest poniekąd uzupełnieniem pracy wyżéj omówionéj. Autor usiłuje tu posunąć nieco naprzód wiadomości określające stosunek Kochanowskiego do Ronsarda. Na podstawie porównania tekstów doszukuje się autor śladów wpływu Ronsarda w pismach Kochanowskiego. Oprócz wskazanego już przez p. Windakiewicza podobieństwa w 8 elegii księgi III, podaje autor ustęp w epigramie Koch. Foricoenium 78 i Fraszce I. 2. jako powtórzenie niektórych myśli i słów Ronsarda w wierszu *„Stances pour la Fontaine du Gast“* a daléj wiersz *„Epitaphe de Thomas“* w odniesieniu do 66 foricoenium Ko-

chanowskiego uważa p. B. jako dowód, że „jeśli Koch. nie naśladował Ronsarda *dosłownie* wcale lub mało co, nie idzie jeszcze zatém, aby go nie miał naśladować w myślach, obrazach poetycznych, formie wierszy, rodzaju tychże i t. d.“ (str. 14). To cały pozytywny rezultat, jaki przynosi drobna praca p. Bronikowskiego, wywód bowiem o wpływie moralnym Ronsarda jest gołosłownym. Artykuł ten jest wyjątkiem z obszerniejszéj pracy autora „o Kochanowskim w stosunku do współczesnych mu humanistów.“ Próbka ogłoszona świadczy o starannéj metodzie badania p. B., a przedmiot istotnie mało jeszcze zbadany a wielce wdzięczny. *W. P.*

= **Kwestye społeczno-polityczne**, *według prawa naturalnego, międzynarodowego i kanonicznego, rozwiązane przez X. Licencyata Paszkowskiego. Kraków 1887. Żupański* & *Heumann* (str. 85). — Jest-to pobieżny wykład niektórych kwestyi z dziedziny prawa politycznego, podjęty przez autora na podstawie źródeł wyłącznie teologicznych. Ztąd też w całém traktowaniu przedmiotu rażącą jest jednostronność poglądu. Autor stoi na stanowisku dawno już opuszczoném przez naukę, a dzieł nowszych w tym przedmiocie ani poglądów zupełnie zdaje się nie znać. Niepodobna nam wdawać się w szczegółowe zbijanie lub prostowanie zapatrywań ks. Paszkowskiego, gdyż tu wszystko kwalifikuje się do krytyki. Najmniéj stosunkowo tendencyjnym i dosyć zrozumiale wyłożonym jest rodział traktujący o prawie międzynarodowém, w którym autor mniéj znalazł pola do stosowania teoryi teologicznych. Broszurka ks. Paszkowskiego nie posiadając żadnéj naukowéj wartości, może miéć jednak dla teologów pewne znaczenie, jako ciekawy przykład rozwiązywania kwestyi politycznych ze stanowiska teologicznego.

= **Allegorya.** *Napisał Kazimierz Przerwa. Kraków 1887. Żupański* & *Heumann* (str. 27). — Próżnoby się silić na odgadywanie właściwego znaczenia i tendencyi utworu powyższego. Autor opowiada tu wierszem historyą miłości dwojga ludzi, których rozłączyła brutalna przemoc możnego jakiegoś władcy, ogarniętego szałem żądzy zmysłowéj na widok uroczéj dziewicy. Romans dwojga ludzi widocznie rozgrywający się gdzieś w czasach średniowiecznych, kończy się tragiczną śmiercią trojga osób występujących w opowiadaniu. Całą fantastyczną tę opowieść, wzorowaną widocznie na Byronie a nie pozbawioną epizodów w wysokim stopniu drastycznych, cechuje jakiś chorobliwy romantyzm pozostający w dziwnym rozdźwięku z dzisiejszemi prądami w dziedzinie poezyi i literatury pięknéj. Pod względem formy i budowy wiersza utwór pozostawia wiele do życzenia, jak o tém świadczy np. zwrot: „Czułem jakby *mózgi*, ktoś mi rozbijał kamieniem na *druzgi*“ (str. 11), lub: „Tam

ja wydałem z piersi *silne głosy*.“ Początkującemu poecie śmiało zalecić można na razie studyum gramatyki i metryki, na przyszłość zaś stosowniejszy wybór tematu i formy. Książeczka wydaną została nakładem grona młodzieży akademickiéj (?!).

= **Lord Byron** *von Karl Elze. Berlin 1886*. (8-a, str. 524). — Jest to trzecie wydanie książki, która poraz pierwszy ukazała się przed kilkunastu laty, kiedy jeszcze materyał do życia Byrona nie był dostatecznie zgromadzony, ani krytycznie oceniony. To téż dzieło Elzego, krytykujące różne uprzedzenia i plotki, miało charakter raczéj negatywny niż pozytywny, nie tyle zapoznawało czytelnika z prawdziwym Byronem, ile raczéj rozpraszało bałamutną mgłę, otaczającą jego postać. Ten pierwotny charakter swéj pracy zatrzymał autor i w późniejszych wydaniach, chociaż należycie uwzględnił wyniki nowszych badań, ale w ten sposób, że zamiast przerobić do gruntu tekst książki, poczynił w nim tylko mniejsze poprawki, a kwestye ważniejsze roztrząsa w osobnych dodatkach. Stąd pochodzi, że osobistość Byrona występuje przed czytelnikiem niezupełnie wyraziście, niby w odbiciu. Skądinąd przecie książka Elzego jest bezwarunkowo najlepszą ze wszystkich, jakie literatura niemiecka o Byronie posiada, gdyż z wielką gruntownością łączy żywe, przystępne a nawet wytworne przedstawienie rzeczy.

= Zmarła w r. 1880 powieściopisarka angielska George Eliot (właściwie Mary Anna Evans) żywo interesuje świat literacki, i to nietylko w Anglii. Publikacya J. W. Crossa (*George Eliot as related in her Letters and Journals*. 1885) dostarczyła krytykom wdzięcznego materyału do głębszego wniknięcia w koleje życia i duchowe wyrobienie się kobiéty, która we współczesnéj beletrystyce angielskiéj zajęła bardzo wybitne stanowisko. Najświeższą i bardzo udatną oceną jéj życia i działalności jest: **George Eliot**, *ihr Leben und Schaffen, dargestellt nach ihren Briefen und Tagebüchern, von H. Conrad*. Berlin, 1887. 8°, str. 483. — W pierwszym rozdziale kreśli autor dzieje młodości powieściopisarki, uwzględniając bardzo skrupulatnie różne pierwiastki, jakie się złożyły na wyrobienie jéj moralnéj i umysłowéj istoty, a więc wpływ stosunków rodzinnych, towarzyskich, szczególniéj Karola Bray'a, oraz wielostronnych studyów naukowych. W rozdziale drugim opowiada Conrad o jéj początkowéj działalności literackiéj, stosunkach w Londynie, zaznajomieniu się i pożyciu z Jerzym Henrykiem Lewesem, znanym biografem Goethego. Następne trzy rozdziały poświęca szczegółowéj ocenie utworów Eliota, które ujmuje w trzy grupy—moralno-tendencyjne, idealistyczne i socyalno-tendencyjne. Ta ocena opracowana jest w ten sposób, że nawet czytelnik, nie znający utworów Eliota, może o nich

dokładne wyrobić sobie pojęcie. Conrad stara się jako sędzia utrzymać się na stanowisku bezstronném; jest wielbicielem Eliota, ale nie bezwzględnym i obok stron dodatnich wykazuje ujemne jéj kompozycye. Ostatni wreszcie rozdział poświęca krytyk ogólnéj ocenie działalności powieściopisarki, jéj stosunkowi do współczesnych prądów umysłowych i bieżących zagadnień życia, oraz znaczeniu w literaturze angielskiéj.

= **Bartoli Ad. Staria della letteratura italiana.** *T. VI. Cz. I. 1887.* Literatura Dantejska jest tak obszerną, że sam spis dzieł wyniesie kilka tomów. Obfitość monografii, wydań, biografii, komentarzy, staje się uciążliwą dla tego, kto w celu badawczym przystępuje do Boskiéj komedyi. Prawdziwe *embarras des richesses*. Nie mieliśmy dotąd dzieła, któreby zawierało historyą i krytykę teoryi, od XIV wieku zastosowywanych do nieśmiertelnéj kreacyi Dantego, i uwzględniała wszystkie ważne prace o Boskiéj komedyi. Tom VI (cz. I), poświęcony Boskiéj Komedyi (tom V zawiera biografię Dantego) znanego historyka literatury Bartoli'ego zapełnia tę lukę. Znajdujemy tu przedmiotową a treściwą krytykę teoryi, komentowania zawiłych ustępów etc. Na szczególną uwagę zasługuje rozdział, w którym autor poddaje analizie poglądy na zasadniczą myśl poematu. Autor przyjmuje wnioski d-ra Klaczko (którego piękne studyum p. t. „Wieczory florenckie" mamy w przekładzie), uważając wszystkie argumenty zwolenników teoryi (trylogii) Wittego za nieuzasadnione. Wybornie ułożona część bibliograficzna tego dzieła czyni je bardzo użytecznéni dla szerokiego koła czytelników, szczególniéj zaś dla rozpoczynających swe studya nad Boską Komedyą.

*L. Sz.*





# KRONIKA MIESIĘCZNA.

25-ta rocznica. — Uniwersytet i społeczeństwo. — Czém była Szkoła Główna u nas. — Jéj wartość i wpływ.—Ówczesne warunki i młodzież ówczesna. — Czy opinia publiczna miała racyę, występując zawsze w obronie Szkoły kochanéj?—Ciche westchnienie w Warszawie i głośny protest w Poznaniu. — Czy powzięte postanowienia obowiązywać powinny tylko wielkopolan, szlązaków i kaszubów?—Co się wielkopolanom od nas należy na gwiazdkę?—Protesty w Warszawie: przeciwko radzie miejskiéj dobroczynności, przeciwko dyrekcyi Osad Rolnych, przeciwko Tanim kuchniom.—Wrażliwość zarządu Tanich kuchen na głos opinii.—Lekkomyślny zarzut wyzysku.— Niejasne tłomaczenie zarządu. — Warszawska reporterya—jako plaga nasza.

Kilka dni temu święciliśmy dwudziestąpiątą rocznicę założenia Szkoły Głównéj (25 listopada 1862 roku).

W każdym chyba kraju i przy wszelkich warunkach wspomnienia szkoły, a szczególniéj szkoły wyższéj budzić muszą poważne myśli, radość lub żal, gdyż jéj losy zawsze dotykają bezpośrednio najważniejszego warunku pomyślności narodów — nauki, wiedzy, oświaty, a nawet panujących usposobień i ducha obywatelskiego. Uniwersytet nietylko szerzy wiadomości matematyczne, prawne, medyczne, ale zwykle staje się przybytkiem nauki, jéj pracownią, jéj ogniskiem. Ognisko to ogrzewa i zapala umysły, promienie jego sięgają daleko po za progi audytoryów, i nie przestają świecić długo, choćby źródło stłumione zostało. Uniwersytet nietylko rozwija umysły, nietylko przygotowuje uczonych, nietylko budzi miłość nauki i prawdy, — zgromadzona w murach jego młodzież tworząc własne, odrębne niejako społeczeństwo, przebywa jednocześnie szkołę moralną, obyczajową i towarzyską, przygotowuje się do późniejszéj obywatelskiéj działalności. Wtedy w dojrzewających umysłach kiełkować poczynają zarodki pojęć i dążności społecznych, — w zdrowéj atmosferze pracy, przy surowém zrozumieniu i przestrzeganiu obowiązków wyrosną one na silne drzewa, w gnuśném próżniactwie, w poziomém marzeniu o karyerze, w gorączce złudnych pretensyi skarłowacieją w marne krzaki, które ani cienia dać nie są w stanie, ani do żadnéj budowy się nie nadadzą. W każdym niemal uniwersytecie (szczególniéj na wschodzie Europy) pa-

nuje wśród młodzieży pewien duch wspólny, pewien prąd, który, jeżeli nie podbija sobie wszystkich umysłów, to w każdym razie oddziaływa na wszystkie. Poglądy na świat cały kształtują się pod wpływem tego ducha, on również rozwija lub wykośławia budzące się idealne pragnienia. Ludzie wynoszą niewątpliwie ze wspólnéj szkoły pewne wspólne cechy duchowe, które następnie swoim wpływem zaszczepiają w społeczeństwie, obniżając, lub częściéj, podnosząc jego umysłowy i moralny poziom. W każdéj gałęzi życia można późniéj odszukać ślady tego kierunku, jaki najwyższa inteligencya kraju nabyła i jakim przesiąknęła za czasów studenckich.

Nasza Szkoła Główna prócz tego ogólnego miała jeszcze i wyjątkowe znaczenie. Dzielnica, która przyjmowała niegdyś czynny udział w umysłowém życiu Europy, która miała już towarzystwa naukowe i na kartach dziejów swoich wyraźnémi głoskami zapisała dbałość o rozwój oświaty, w któréj zrozumienie, poczucie i pragnienie wiedzy żyło i drgało nieustannie,—ta dzielnica przez lat 30 pozbawioną była ogniska nauki! Otworzenie w Warszawie wszechnicy w 1862 roku ziściło gorące pożądania i niecierpliwe nadzieje ogółu. To téż Szkołę Główną otoczyły od pierwszéj chwili sympatya, zaufanie i poparcie całéj inteligencyi, co było warunkiem niezmiernie pomyślnym i pozwoliło instytucyi dokonać więcéj, niżby mogła przez bezwzględną swą wartość wewnętrzną. — Prof. *Funck-Brentano* w uwagach swoich o wychowaniu publicznėm w Rosyi powiada, że rozwój umysłowy, jeżeli nie został poczęty w łonie samego narodu, pozostanie dlań nazawsze dzieckiem nieuznaném i odepchniętém. Szkoła Główna była jak kłos, wyrosły ze swojskiego ziarna na ojczystym zagonie. Zwarła się mocno z sercem społeczeństwa, czuła ciągle i wyraźnie puls jego pragnień, rozwijała się téż pod bezpośrednim jego wpływem. Powstała wskutek istotnych potrzeb kraju, zaspokajała je dokładnie. Grunt, spieczony wieloletnią żądzą wiedzy, chciwie pochłaniał każdą kropelkę nauki, spadającą z katedr Szkoły. Jedna taka kropelka znaczy więcéj niż kiedy indziéj potoki całe.

Szkoła Główna powstała w czasach wyjątkowych, kiedy marzenia ogółu przekroczyły daleko po za granice powszednich rachub. Wypadki ówczesne mocniéj zapisały się w pamięci i występują dziś w niejednéj wyobraźni jak widziadła, oświetlone czarodziejskimi blaskami. Po burzy, która strzaskała wszystkie nabytki chwili późniejszéj, jedna tylko Szkoła Główna przetrwała czas jakiś i unosiła się jeszcze, jak arka nad wodami potopu. Studenci otoczeni byli uznaniem szczególném; zarówno obywatel wiejski, jak kupiec warszawski, wyrobnik i żyd handlujący książkami po-

kładali zaufanie i uważali za istotę wyjątkowéj prawości, cnoty i umysłu młodzieńca, na którego spływał urok téj instytucyi naukowéj. Mundur akademicki był doskonałą rekomendacyą; z resztkami tego stosunku można się spotkać w Warszawie i dziś, choć się wiele i mocno zmieniło. Nieraz opinia publiczna stawała w obronie wobec słusznych może nawet i kompetentnych zarzutów i krytyk. Takie uprzedzenie, taka pobłażliwość była i jest poniekąd koniecznością. Szerszy ogół nie wié i wiedziéć nie może, jak były obsadzone katedry, który profesor odpowiadał zadaniu, a który nie, kto umiał wywierać dodatni wpływ na młodzież, a kto ją zrażał zarówno do danego przedmiotu jak i do nauki całéj; co zdziałała szkoła, dzięki swéj wartości, a co przypisać należy zapałowi, gorliwości i zdolnościom studentów, pchniętych do pracy impetem całego społeczeństwa, co zawdzięczamy wyjątkowéj wartości pierwszego szeregu, w umysłach którego, jak na nowinie, nawet liche i skąpo siane ziarno plon obfity przyniosło. Ogół sądzi wedle rezultatów, a te są wrzeczywiście doniosłe. W chwilach ogólnego rozbicia, upadku, wychowańcy Szkoły Głównéj przyczynili się niemało do wytworzenia nowych haseł pracy społecznéj i zwrócenia uwagi na zapuszczone przez czas długi pola, które koniecznie karczować i uprawiać trzeba i można było? W ciężkich czasach apatyi oni byli pierwiastkiem życia. Oni natchnęli prasę nowym duchem i pod wieloma względami podnieśli jéj wartość; oni niemało zrobili dla rozwoju i rozpowszechnienia wiedzy, szczególniéj przyrodniczéj. Do dziś dnia jedyne w Warszawie pismo popularne „Wszechświat“ i jedyne wydawnictwo naukowe „Pamiętnik Fizyograficzny“ powstały i istnieją głównie dzięki inicyatywie, pracy i wytrwałości wychowańców Szkoły Głównéj. Oni podnieśli znakomicie poziom pedagogii w kraju zarówno przez pisma jak i przez praktykę; odznaczyli się wśród lekarzy i prawników; widzimy ich na czele lub w liczbie głównych współpracowników różnych instytucyi ekonomicznych (Bank Handlowy, Towarzystwo Ubezpieczeń, Towarzystwo Kredytowe Miejskie i t. d.).

Znaczenie Szkoły i wartość wychowańców w oczach naszych wzrasta jeszcze bardzo przez to, że pomimo tak długiego czasu, równych im następców ciężko nam dopatrzyć. W innych gałęziach działalności zjawisko to nie odrazu może da się zauważyć, w literaturze i publicystyce stanowi fakt uderzający. Sienkiewicz, Świętochowski, Prus zabłysnęli przed laty kilkunastu na horyzoncie i jaśnieją do dziś, — wszystkie gwiazdki, które zjawiały się późniéj, przyćmić ich nie zdołały. Gdzie szukać przyczyn tego—nie wiemy. Bądź-co-bądź, pamięć Szkoły Głównéj i dobre o niéj mniemanie jest zupełnie uzasadnione.

Gdy my tu, nad Wisłą, z wdzięczném wspomnieniem rozważamy przeszłość, nad Wartą groza chwili obecnéj każe radzić o obronie.

W dniu 15 ubiegłego miesiąca odbył się w Poznania wiec wszystkich ziem polskich z pod panowania pruskiego. 3,000 uczestników z różnych stanów, a przeważnie z chłopskiego, z Księstwa, z Prus wschodnich i zachodnich, z Warmii, z Kaszubów i ze Szląska protestowało przeciwko najnowszemu antypolskiemu dekretowi ks. Bismarcka, który usunął zupełnie język polski ze szkoły ludowéj. Nie będziemy się wdawali w ocenę tego kroku z punktu politycznego, z punktu użyteczności praktycznéj. Bezpośrednio interesowani debatowali i radzili nad tém długo i szeroko, wszelkie możliwe skutki były przewidywane i rozważone. Pod względem moralnym był to akt niewątpliwie podnoszący ducha i pozwalający mieć nadzieję, że ten atak księcia żelaznego nie zaskoczy nas w takim stanie bezbronności, jak ekonomiczne jego zamachy. Na wiecu przemawiali książęta, hrabiowie, szlachta, księża, mieszczanie i chłopi. Dla świata i nieprzyjaciół wydano protest przeciwko barbarzyńskiemu uciskowi, dla siebie powzięto postanowienie i zobowiązanie wytrwania wśród prześladowań i udaremnienia stałością pruskich wysiłków; nareszcie przedsięwzięto celem urzeczywistnienia tych postanowień urządzenie wieców mniejszych w każdym powiecie polskim.

Główniejsze ustępy protestu brzmiały:

„Na mocy rozkazu niewiadomego pochodzenia i nieznanéj daty zaprzestano od 1 października r. b. w szkołach elementarnych uczyć dzieci nasze polskiego czytania i pisania—tak, że obecnie na Górnym Szląsku, na Warmii w Prusach zachodnich, Wielkiém ks. Poznańskiém dawniejsze tak zwane dwu-językowe szkoły elementarne pozbawione zostały wszelkiego znamienia polskości i zamienione zostały na szkoły czysto niemieckie.

„Ponieważ do szkół tych chodzi przeszło 300,000 dzieci polskich, mających prawo do kształcenia się we własnym języku, oraz do uczenia się religii w ojczystym języku, przeto my, polacy, ze wszystkich dzielnic, pod panowaniem pruskiém zostających, zgromadzeni w d. 15 listopada 1887 r. na walnym wiecu w Poznaniu, wyrażamy głośno zdumienie i ubolewanie nasze z powodu powyższego rozporządzenia, oraz świadomość wyrządzonéj nam krzywdy.“

Potém następuje wyliczenie praw „Boskich i ludzkich“, które nowy dekret zgwałcił, i protest kończy się w ten sposób:

„Na rozliczne petycye, zanoszone w ostatnim lat dziesiątku do różnych instytucyi, nie doczekaliśmy się żadnéj ulgi, ani naprawy

tych stosunków, na które się żaliliśmy. Dzisiaj przeto nie pozostaje nam chwilowo nic innego, jak oświadczyć, że protestujemy przeciwko wykluczeniu języka polskiego ze szkół naszych; równocześnie atoli odzywamy się do szanownych posłów naszych i, wyrażając im pełne wdzięczności uznanie za dotychczasową obronę praw naszych, wypowiadamy przekonanie, że tę głośną żałobę naszą zaniosą przed sąd opinii publicznéj i wykażą ogrom téj krzywdy, jaka nas spotyka. My zaś obywatele dzielnic polskich pod panowaniem pruskiém, pomni praw i obowiązków swoich, oświadczamy uroczyście przed Bogiem, któremu sprawy nasze z ufnością polecać nie przestaniemy i przed wszystkimi ludźmi dobréj woli, że nie pominiemy żadnego legalnego środka obrony i nie przestaniemy dokładać wszelkich starań, aby w młodzieży naszéj utrzymać świadomość dziejowéj przeszłości i nauczyć ją, że pod panowaniem pruskiém ma wszelkie prawo być i pozostać polską, zachować wiarę ojców, język ojczysty, zwyczaje i obyczaje narodowe.“

Postanowienia co do obrony wyrażone zostały w trzech oświadczeniach, przyjętych przez aklamacyą:

1) „że wobec zupełnego usunięcia języka polskiego ze szkół, dołożą (zebrani na wiecu) wszelkich starań, ażeby dom rodzinny uzupełnił ten bolesny niedostatek i nauczył dzieci polskie czytać i pisać w ojczystym języku.

2) opiece czcigodnego duchowieństwa i całego ogółu polecają tę zwłaszcza nieszczęśliwą dziatwę, która w domu rodzicielskim nie miała sposobności do nauczenia się po polsku czytać i pisać.

3) wybierają komisyą, złożoną z pp. ks. proboszcza Antoniewicza z Bnina, Adama Kościelskiego z Sepna, dr. Jerzykowskiego z Poznania, Michała Więckowskiego z Poznania i Karola Kozłowskiego z prawem kooptacyi, i wyrażają życzenie, aby taż komisya zajęła się przygotowaniem i szerzeniem elementarzy, katechizmów i innych odpowiednich książek polskich, a nadto zajęła się tém wszystkiém, co skuteczném być może do tego, aby dzieci polskie nauczyły się czytać i pisać po polsku.“

Pisma warszawskie w ostatnich swoich numerach omówiły i osądziły wiec poznański. Ponieważ, jak to słusznie jeszcze Descartes zauważył, najskrajniejszy pesymista jest jeszcze zadowolony ze swego uposażenia w rozsądek, więc rad i poprawek nie szczędzono. Jedni kiwają z politowaniem głowami, że to tylko słowa czcze, inni sądzą, że może nie należało drażnić warcińskiego mocarza, inni nareszcie wszystko gotowi uznać za szopkę, gdyż nie użyte zostało słowo „oburzenie“.

Przechodząc do drobniejszych wydarzeń naszego życia, na pierwszém miejscu zaznaczyć należy kilka doniosłych oskarżeń przeciwko instytucyom publicznym. Kontrola nieustanna wszystkiego jest przykrym nieraz i niewdzięcznym, ale koniecznym obowiązkiem prasy. Dziennik, zamieszczając na szpaltach swoich akt śmiałego oskarżenia, zawsze niemal naraża się na nieprzyjemności, na potępienie kolegów, na mniéj lub więcéj krzywdzące zarzuty, a nawet na sprawy kryminalne. Jeżeli więc przyczyną odwagi jest nie temperament, lecz poczucie obowiązku, to należy mu się za to od ludzi o nie zamąconym sądzie, uznanie i poparcie. Pamiętać jednak trzeba, że człowiek ulega często złudzeniom, że w naszych stosunkach łatwo stać się zbyt podejrzliwym, a publicznie skrzywdzenie sławy uczciwego człowieka jest czynem niegodziwym, tém niegodziwszym, jeżeli się go dopuszcza publicysta. Dla tego, kiedy zaraza jak gdyby protestów grasować poczęła, nie można dosyć zalecić rozwagi i ostrożności ludziom, którzy mają w tym wypadku potężną broń w ręku i obowiązani są jéj używać tylko w obronie prawdy.

Pierwsze oskarżenie wystosowane zostało w „Głosie“ przeciwko „Radzie miejskiéj dobroczynności“ i zarzucało roztrwonienie miljonów rubli z publicznego grosza. Pp. Medem, gubernator warszawski, i Puchalski zamieścili w pismach sprostowanie niektórych szczegółów i wnieśli do sądu skargę na redaktora pisma. Wobec tego z orzeczeniem czegokolwiek w téj sprawie wstrzymujemy się do czasu publicznéj rozprawy i do wyroku.

Druga skarga, również w „Głosie“ drukowana, wniesiona została przez p. Hipolita Grzybowskiego przeciwko dyrekcyi „Osad rolnych i przytułków rzemieślniczych“ w Studzieńcu. Chodzi o niedbałe, nieumiejętne i dziko surowe obchodzenie się z małoletnimi przestępcami. Prasa przez lat wiele śpiewała hymny pochwalne na cześć wspaniałych rezultatów, powtarzała za urzędowém sprawozdaniem górne frazesy, ile to już marnotrawnych synów wróciło, dzięki sympatycznéj instytucyi, na łono społeczeństwa. Publiczność wierzyła zapewnieniom i rok rocznie zasilała groszem ofiarnym kasę zakładu; istotnego stanu rzeczy i prawdziwych korzyści poprawczo-karnego wychowania nikt bezstronny, a kompetentny nigdy nie badał.

W zeszłym roku o téj porze odezwał się głos, potępiający zakład studzieniecki, ale oskarżenie było gołosłowne i przez to na zaufanie zasłużyć nie mogło. Teraz pan Grzybowski, b. inspektor tamtejszy, opowiada detalicznie fakty, cytuje osoby. Nie należy bez wysłuchania potępiać dyrektora instytucyi, ale nie zwrócenie uwagi na

poważny wywód oskarżenia byłby grzechem; tymczasem prasa, pokłówszy nieco p. G., pragnie nad podniesioną sprawą przejść do porządku dziennego. Nie wiemy i nie rozumiemy, jakie pobudki skłaniają nasze pisma do takiego kroku, ale w każdym razie nie wydaje się on nam właściwym. Z „odpowiedzi od redakcyi" w ostatnim numerze „Głosu" dowiadujemy się, że p. Nalepiński, dyrektor studzienieckiego zakładu, nadesłał sprostowanie, lecz go redakcya z powodu tonu wydrukować nie mogła. Szkoda, że przynajmniéj nie powiedziała własnemi słowami, w jaki sposób broni się oskarżony i o ile zbija stawione mu zarzuty. Sądzimy, że tłómaczenie p. Nalepińskiego nie w tym, to w innym dzienniku znajdzie gościnne przyjęcie. Sprawę tę uważamy za otwartą.

W „Kuryerze Warszawskim" znowu 50 studentów, stołowników 2-iéj Taniéj kuchni (Krakowskie Przedmieście), wystąpiło przeciwko swéj karmicielce, ogłaszając, że daje ona pożywienie drogie, niesmaczne i niezdrowe, że na mieście w zwyczajnéj restauracyi można dostać jeść lepiéj i taniéj, że instytucya „*pod nazwą filantropii ukrywa wyzysk*". Protestujący utrzymują, że za inicyatywą i z zapisu ś. p. Tekli Rapackiéj miała powstać przed 7-iu laty kuchnia, przeznaczona wyłącznie dla uczącéj się młodzieży, a dziś puszczają tam każdego, urządzają salony itd. Nagabnięty w ten sposób „zarząd Tanich kuchen" nie obraził się bynajmniéj, nie udrapował się wcale— jak to czasem u nas bywa—w majestat nietykalności, który milczenie uważa za jedyną nieuwłaczającą godności odpowiedź, lecz zebrał się w dniu 31 października (na 3-ci dzień po proteście), aby rozpatrzyć skargę. Jestto zapewne wynik nielekceważenia tak często zapominanéj maksymy, że nie nos dla tabakiery, lecz tabakiera dla nosa. W półtora tygodnia wydrukowaną téż została w tymże Kurjerze „odpowiedź zarządu Tanich kuchen". Na samym wstępie autorowie obrony zwracają uwagę, iż o ile oskarżenie ogólnikowe jest rzeczą łatwą, o tyle odpowiedź na nie, faktyczna, oparta na tysiącznych drobnostkach praktycznych, jest niezmiernie trudną, szczególniéj dla ludzi, mających wiele innych obowiązków do spełnienia. Oddział Tanich kuchen składa się bez wyjątku z takich właśnie ludzi i dla tego przebaczyć mu należy—wedle słów obrony, że zaraz nazajutrz po oskarżeniu nie wygotował odpowiedzi.

Z dalszego ciągu dowiadujemy się, że Tanie kuchnie istnieją w Warszawie już od lat 20-u *pod tym samym co dzisiaj bezpłatnym zarządem*, że Tania kuchnia nr. 2 istniała już dawniéj znacznie przy ulicy Chmielnéj, a ś.p. Rapacka *nie ustanowiła* żadnéj kuchni przeznaczonéj dla młodzieży szkolnéj. Również fantastycznem ma być twierdzenie o „salonach", gdyż kuchnia urządzoną została w opuszczonéj

szopie fotograficznéj, właśnie dla tego, aby coś zyskać dla stołowników na kosztach urządzenia i komorném. Tanie kuchnie dzisiaj nie są wcale instytucyą dobroczynną, lecz co najwyżéj „współdzielną“ (?), gdzie jedni wzajemnie pomagają drugim. Filantropia istniała niegdyś i sarkano na nią. Wtedy członkowie oddziału dawali zasiłki z własnéj prywatnéj kieszeni, zamożne panie gospodarzyły kolejno bezpłatnie, uciekano się do koncertów, potrzebne były zapisy testamentowe. Dziś kuchnie utrzymują się same, a „współdzielność“ polega na tém, że czego nie dopłaci *najuboższy* to pokryje *jeśli zechce* najzamożniejszy lub najwybredniejszy przez nabywanie kosztowniejszych części obiadu. Jestto dosyć niejasna kombinacya, nie chcąc jednak przerywać ciągu wywodów Zarządu, wrócimy do niéj późniéj. Procenty z zapisu ś. p. Rapackiéj obracane są, zgodnie z wolą testatorki, na obiady bezpłatne dla najuboższych studentów uniwersytetu, uczniów i uczennic innych zakładów naukowych, oraz ludzi podupadłych, wybór zaś osób, zasługujących na wsparcie, odbywa się na sesyach zarządu.

Cena obiadu w Taniéj kuchni niższą jest niż podali studenci, gdyż wynosi nie 31, lecz tylko 26 kop. za zupę, sztukę mięsa i pieczeń.

Zarząd wylicza wszystkie pozycye, wpływające na znaczny koszt utrzymania instytucyi. Pomiędzy innemi znajduje się i to, że studenci przychodzą tłumnie po lekcyach, co wymaga składu służby nieproporcyonalnie wysokiego do ogólnéj liczby stołowników. Największe straty pochodzą z niezjedzonych części obiadu, gdyż stołownicy biorą w rozmaity sposób potrawy na porcye; w roku zeszłym zjedzono 98,599 rosołów lub zup różnych, 56,263 sztuki mięsa. 103,680 pieczeni z jarzyną, 15,461 saméj jarzyny, 116,418 chleba. Nawet kwestyi tak subiektywno-żołądkowéj stołowników, jak smak potraw zarząd nie pozostawił bez odpowiedzi. Zapewnia on, że produkty są zakupywane zawsze w najdoskonalszym gatunku i jak najświeższe, nigdy żaden dzień nie otrzymuje nic w spadku po swoim poprzedniku, co się zostaje, idzie na sprzedaż. Znajdujemy daléj w obronie wyliczone potrawy, składające *menu* tanich obiadów, przy czém Zarząd dodaje, że tak zwana „relewa“ czyli rozkład potraw, sporządzona przy udziale pań, znanych z gospodarności praktycznéj, zyskała uznanie nawet w zakładach zagranicznych. Że obiady nie zawierają drogich potraw, to już wynika z natury i założenia instytucyi. „*Zarząd jednak nie cofnie się i w tym względzie od możliwych ulepszeń, jeżeli te nie w ogólnikach, lecz szczegółowo będą wskazane*“. Dla tego proponował on panom stołownikom poufnie, a teraz wzywa ich publicznie, aby sami uprosili jedną lub kilka nawet osób,

należycie obeznanych z gospodarstwem domowém i z kuchnią, by te raczyły przypatrzyć się czynnościom wewnętrznym kuchni 2-iéj i wskazać, co potrzebuje sprostowania.

Na końcu roztrząsa obrona zarzut wyzysku. Zarząd rozumuje tak: w 2-iéj kuchni rocznie wydaje się około 400,000 porcyi, gdyby chciano wyzyskiwać stołowników tylko po groszu na porcyi to rocznie uczyniło by sumę 2000, a w ciągu 7-iu lat, o które chodzi, 14,000 rs. Tymczasem stan majątkowy obu kuchni, nie licząc tego, co utonęło w nich z dawniejszych ofiar doraźnych, przedstawia się w obecnéj chwili w sposób następujący: W sumach hypotecznych z zapisów ś. p. Rapackiéj, Swiergockiéj i innych 16,000 w inwentarzu, urządzeniu lokalów i w zapasach kuchennych 6,533 rs., w kapitale obrotowym 2,943 rs.—i nic więcéj. „Taki jest wyzysk, dokonany przez tanie kuchnie w ciągu dwudziestu lat ich istnienia. Dodać jeszcze należy, iż amortyzacya kupna sprzętów i urządzenia lokalów ma swój cel wytknięty i oddział kuchni tanich musi myśléć i o ich rozwoju, mianowicie o założeniu 3-iéj i 4-éj w dalszych dzielnicach miasta".

Powtórzyliśmy cyfry powyższe, gdyż są one ciekawe same przez się, przedstawiając stan kasy ważnéj instytucyi; dla odparcia zaś zarzutu „wyzysku" nie były wcale potrzebne. Pojąć doprawdy trudno, jak podobny zarzut mógł znaleść miejsce w proteście; jestto bardzo przykry dowód lekkomyślności w traktowaniu rzeczy tak poważnych, jak honor instytucyi lub jéj przedstawicieli. Byłoby bardzo dobrze, gdybyśmy to mogli złożyć na karb gorącéj krwi w młodym wieku; niestety, starsi potrafią znaleść się tak samo,—nic łatwiejszego, jak spotkać się u nas z zarzutém nieuczciwości i to w każdéj sprawie. Kto tu miał korzystać z *wyzysku* (a wyzysku bez korzyści nie ma chyba)? Czy ludzie, którzy przez lat 20 pracują bez żadnego wynagrodzenia, w jednym kierunku, którzy w czasach ciężkich uciekali się po pomoc do własnéj kieszeni? Czy sama instytucya? Ależ w takim razie to tylko oszczędność, zrobiona w celu rozwinięcia, wzmożenia działalności.

Czułość, jaką okazał zarząd w obec protestu, nie pozwala także wątpić o jego dobrych chęciach jaknajskrupulatniejszego spełnienia dobrowolnie przyjętych obowiązków. Tém niemniéj uważamy za właściwe zwrócić uwagę, iż obrona w najważniejszym swym punkcie wydać się może mglistą, niejasną i jak gdyby nie dosyć stanowczą. Jeżeli zrozumieliśmy dobrze, główna waga dowodu, że nieproporcyonalne spożywanie różnych składowych potraw obiadu ciąży fatalnie na budżecie kuchni i naraża ją na straty, polega na różnicy zapotrzebowań zupy i sztuki mięsa, które są od siebie nieodłączne. Niezjedzone 42,336 porcyi sztuki mięsa przepadają, jeżeli

nie zupełnie, to w znacznéj części. Tymczasem i w odpowiedzi i w sprawozdaniu „Kuryera" z sesyi jest przy tym wywodzie przytoczona i wydrukowana kursywem—niby najważniéjsza—liczba 103,680 spożytych pieczeni. To mąci i osłabia siłę argumentu. Okoliczność, że pieczeni jedzą więcéj niż zupy, nie może być źródłem nadzwyczajnych strat, gdyż po siedmiu latach praktyki zarządzający kuchnią musieli poznać i zastosować się do téj nierówności, która zapewne być musi o tyle o ile stałą. Jeżeli czytelnik dzięki wspomnionéj niestanowczości wyrażeń frazes o płaceniu bogatych za biednych zrozumie tak, że każda porcya sztuki mięsa warta więcéj niż kosztuje, a każda porcya pieczeni mniéj, to go owe 103,680 wprowadzi w błąd i zawiedzie do wprost przeciwnego wniosku, niż chce obrona.

Zarząd narzeka na ogólnikowość protestu i niewątpliwie słusznie. Zdaje się jednak, że temu brakowi można było zaradzić, wzywając kilku oskarżycieli na sesyą, tak jak wezwany był reprezentant „Kuryera". Jeżeli 50 ludzi występuje z publiczną skargą, to, odliczywszy wiele nawet na różne uboczne pobudki, godzi się jednak przypuszczać, że jakieś słuszne i istotnie ważne zarzuty muszą istnieć. Cały zarząd ogólny, ustawy, rozporządzenia, budżet—wszystko to może być w porządku, a jednak wykonanie przy samym kominie potrafi niejedno zepsuć. Każda instytucya ma swoje zakulisowe praktyki, czemużby ich Tania kuchnia nr. 2-gi miéć nie mogła, a Zarząd od nikogo o tém dokładniéj dowiedziéć się nie potrafi, niż od stołowników, szczególniéj od takich, którzy już weszli na drogę oskarżeń i krępować się niczém nie będą.

Nareszcie wypada zwrócić uwagę na protest, założony przez p. Edwarda Lubowskiego w „Kuryerze Codziennym" przeciwko reporterom. Jestto sprawa ważniejsza niż się na pierwszy rzut oka wydawać może. P. Lubowski w artykule „Około teatru", zwracając uwagę na lekkie traktowanie przez aktorów swoich obowiązków, na ich niedbalstwo, lenistwo, zarozumiałość i t. d., dodaje, że jedną z klęsk sztuki dramatycznéj, przyczyną zepsucia artystów i zbałamucenia publiczności są reporterzy. Rozwielmożnili się oni w prasie; nieustanną reklamą, prowadzoną Bóg wié w jakich pokątnych celach, zdołają zrobić znakomitością każdą mierność, zdołają milczeniem i lekceważącemi wzmiankami poniżyć w oczach ogółu każdy prawdziwy talent, gdy im co na tém zależy. Nie mówiąc już o znawstwie, którego reporter posiadać nie może, dopuszczają się bezkarnie najmizerniejszych kłamstw: głoszą, że kasa była przepełnioną a teatr był zapchany, kiedy w rzeczywisiości i ławki i loże świeciły pustkami; mogą bez najmniejszéj ceremonii twierdzić, że entuzyazm ogarnął widzów wskutek gry jakiéjś protegowanéj artystki

chociaż na przedstawieniu wszystkie oczy kleiły się do snu, a usta rozciągało ziewanie i t. d. Publiczność zpoczątku broni się przeciwko takim fałszom, lecz ulega ciągłemu naciskowi, bezczelnie powtarzanym twierdzeniom, traci swoje zdanie i wierzy święcie umiejętnej reklamie. Wpływ poważnych recenzentów wobec tego upada.

To co p. Lubowski mówi o wpływie na teatr da się zastosować do wszystkich innych społecznych zjawisk. Ciekawą bardzo jest charakterystyka reportera.

Nie jeden z nich jest poprostu starszym bratem tych wesołych synów ulicy, którzy na Krakowskiém Przedmieściu sprzedają „Kuryery", a nad Wisłą pod szychtami grają w guziki. Miał wyższą ambicyę i może nieco lepsze wychowanie i dla tego jak doszedł do lat, kiedy trzeba myśléć o sobie i wybierać profesyą—został reporterem. Zrobił dobry wybór i wydał sobie świadectwo sprytu, co już pozwala wnosić, że zrobi karyerę. Kiedy inni jego koledzy, ślépią przy szewieckiéj dratwie, pocą się w kuźni, gną nad heblem lub za 20 groszy latają z listami i posełkami,—on, zamiast terminu, przechadza się po mieście z notesem jedynie w kieszeni, pije (przeważnie na cudzy rachunek) piwo po knajpach i znosi zaczerpnięte tam nowinki do redakcyi. Jak laska marszałkowska świeci mu w przyszłości pisywanie „artykułów" dłuższych niż kilkowierszowe wzmianki i 4000 rs.—jak twierdzi p. Lubowski—rocznego dochodu, bo tyle mają wybitniejsi przedstawiciele zawodu. Bez żadnéj często ogłady umysłowéj, nie mówiąc już o nauce, bez poczucia obowiązku, co człowieka, mającego na swoje zawołanie drukowane słowo, robi niebezpieczniejszym od waryata w miecz uzbrojonego, nie krępowani niczem, panowie reporterzy nieustannie robią szczerby, szerzą zniszczenie wśród naszego zarówno materyalnego jak i moralnego dobra. Łatwo sobie wyobrazić wpływ kapłana opinii publicznéj, który wziął się do zawodu, jak do rzemiosła i bądź co bądź musi zarobić pewną kwotę pieniędzy, bo mu o to, jeżeli nie jedynie, to głównie chodzi, którego poziom moralny nie pozwala na żadne skrupuły. Zwracano już na to uwagę. J. M. Kamiński w któréjś jednodniówce powiedział zupełnie słusznie, że co kilka lat pracy zdoła zrobić, to jedno wystąpienie reportera popsuje. Rzeczywiście dla reportera nie ma rzeczy nietykalnych, nie ma względów wyższych, wszystko nadaje się do przetopienia na kopiejki. Przed czujném okiem téj policyi nic się nie ukryje, wszystko wywloką na światło, czy to będzie przedsięwzięcie społeczne, czy wypadek rodzinny. Jeżeli komuś chodzi o puszczenie w świat jakiéjś plotki—niech ją opowié od niechcenia jakiemu reporterowi—może być największa

niedorzeczność, to nic nie szkodzi. Jeżeli ktoś umyśli zaszkodzić najpoważniejszéj instytucyi, łatwo dopiąć może tego celu, komunikując jaki skandaliczny, zmyślony wypadek reporterowi—bywały takie zdarzenia. Reporter jest tak chciwy na sensacyjne wiadomości, że nie potrzeba wcale robić nacisku; jeżeli zaś chodzi o reklamę fabryki, sklepiku, to zafundowanie kolacyjki, albo nawet papierek wciśnięty „sposobem pożegnalnym“, jak doktorowi, zdecyduje szanownego publicystę. Jestto rzecz gruba, ale w kołach literackich mówią o tem od dawna, wymieniając nazwiska tych, co dawali, i tych co brali, w jakiéj sprawie i jakie sumy.

Ileż to strasznych wypadków, nad którymi płaczą poczciwi czytelnicy nie miało nigdy miejsca, lecz zostało przez pomysłowego reportera wypisane z roczników pism starych lub nawet z zapomnianych zbiorów anegdot i procesów kryminalnych. Byle handel szedł.

Zresztą uczciwie, czy nieuczciwie będzie pisać taki kawaler, poniża on zawsze zmysł moralny ogółu. Jego samego zajmują tylko fatałaszki, skandaliki, głupstwa, na niczém inném się nie zna, więc karmi czytelników ogłupiającą sieczką. Ocierając się o literatów poważnych, uczy się jakichś wyrażeń dźwięcznych, które późniéj przerabia na żargon, nabiera o tém i owém jakiegoś mglistego pojęcia, jednocześnie rozzuchwala się, zaczyna wydawać sądy, krytykuje, orzeka o wszystkiém. W publiczności została jeszcze jakaś resztka poszanowania dla drukowanego słowa, codzienne więc czytanie bałamuctw, tworzonych przez ludzi o niskiéj skali pojęć i małych wymaganiach moralnych, musi wpływać ujemnie.

Co na to poradzić? Można próbować jednego tylko środka — niech redaktorzy ukrócą cugle rozpanoszonym reporterom; oni są odpowiedzialni za to, co się w ich pismach drukuje, niechże dbają o to, aby nie podawać trucizny. Jest to jednak trudniejsze niż się wydaje. Reporterzy są w prasie dziś żywiołem potężnym i ująć się w kluby łatwo nie dadzą. Każdy dziennik potrzebuje ich, a kontrola przy pośpiesznéj robocie jest niezmiernie trudną. Zresztą wielu reporterów zajmuje już stanowiska redaktorów, — jakże zdołają oni wznieść się po nad samych siebie?

*Ludwik Straszewicz.*

# NEKROLOGIA.

† **Zygmunt Rościszewski** urodził się 19 marca 1847 r. w Warszawie i tu kończył nauki. Poświęciwszy się studyom weterynaryjnym, został nauczycielem zoologii i zootechnii w wyższym zakładzie agronomicznym „Halina“ w Żabikowie pod Poznaniem. Napi-

sawszy rozprawę p. n. „Zur Kenntniss der Dignathie“ otrzymał stopień doktora filozofii w Lipsku r. 1875. W roku następnym zmuszony był opuścić szkołę żabikowską wskutek nakazu rządu pruskiego, wydalającego wszystkich profesorów i uczniów poddanych Rosyi. Przełożył, przypiskami pomnożył i wydał wtedy w Poznaniu dzieło Juliusza Kühna: „Najodpowiedniejsze zasady żywienia bydła rogatego“; a w czasopiśmie „Kosmos“ ogłosił rozprawę: „Nieco o zapłodnieniu u ssących.“ Był współpracownikiem „Gazety Rolniczéj“, „Kuryera Rolniczego“ i „Ziemianina“, licznymi zasilając je artykułami. W roku zeszłym wezwany został do Dorpatu na profesora w tamtejszym instytucie weterynaryjnym. Zwątlone zdrowie zmusiło go do szukania ulgi w Szczawnicy, gdzie, wsparty zasiłkiem Kasy Mianowskiego, przepędził lato r. b.; ale ratunek okazał się niemożliwy. Wróciwszy do Dorpatu, gdzie sobie potrafił w krótkim czasie zjednać szacunek, umarł tu 4-go listopada, zacząwszy zaledwie rok 41-szy.

† **Władysław Dunin**, dziennikarz, który przy detronizacyi ks. Kuzy w Rumunii odegrał rolę, a następnie wydawał w Wiedniu pismo francuskie, sprawom polskim poświęcone, poczém we Lwowie pracował w dziennikach miejscowych, a pobyt swój w Rumunii opisał w zajmującym pamiętniku, który wyszedł niedawno z druku we Lwowie, zmarł dnia 24 listopada, przeżywszy lat przeszło 50.

---

Wydawca **W. Spasowicz.** — Redaktor **Piotr Chmielowski.**

---



---

# NOWE KSIĄŻKI

## nadesłane do redakcyi „Ateneum"

*w ciągu m. Października i Listopada 1887 r.*

---

1. **O rytownikach gdańskich**. Podręcznik dla zbierających sztychy polskie, skreślił *Mathias Bersohn*, członek komisyi historyi sztuki Akad. umiej. w Krakowie. Warsz. 1887, 8-o, str. 70.
2. **Teatrzyk amatorski** dla dzieci. Przez *M....a* (*M. Zielińską*). Warsz. nakł. T. Paprockiego i S-ki. 1888, 8-o, str. 272.
3. **Po za domem**. Powieść dla młodzieży przez *Ludwika Niemojowskiego*. Warsz. 1888, 8-o, str. 122. (Cena kop. 20).
4. **Idylla**, obrazek sceniczny w jednym akcie. Napisał *Władysław Kornel Zieliński*. Warsz. 1887, 8-o. str. 31.
5. **Studya nad komórką zwierzęcą** przez *D-ra Henryka Wielowiejskiego* docenta uniwers. lwowsk. Część I. Badania nad jajkiem zwierzęcem. (Z 3 tablicami litograf.). Odbitka z XVI tomu Rozpraw i Sprawozd. Wydziału matemat.-przyrodn. Akad. Umiej. Krak. 1887, 8-o, str. 95.
6. **Krótki przewodnik do zajęć praktycznych z botaniki** mikroskopowej. Przez *D-ra Edwarda Strasburgera* prof. botan. uniwers. w Bonn (Biblioteka przyrodnicza „Wszechświata"). Wydanie z zapomogi Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowem imienia D-ra Józefa Mianowskiego. Warszawa, 1887, 8-o, str. X i 368 (z licznemi drzeworytami). Cena rs. 2.
7. **Szkoła handlowa** prywatna w Warszawie. ulica hr. Berga № 6. Rok 1886/7. Warsz. 1887, 8-o, str. 32.
8. *Józefa Ungra*. **Kalendarz illustrowany** na rok przestępny 1888. Warsz. 4-o, kart nlb. 10, str. VIII+112+36+kart nlb. 68, (z drzew.).
9. **Dyjaryjusze sejmowe z r. 1587**. („Pisarze dziejów polskich". Tom XI) Krak. nakł. Akad. Umiej. 1887, wielkie 8-o, str. XIII i 269.
10. **Kardynała Hozyusza korespondencyi tom II** z lat 1551—1558. Część I. („Akta historyczne do objaśnienia rzeczy polskich służące" Tom IX). Krak. nakł. Akad. Umiej. 1886. 4-o. str. XCVI i 520.
11. **Lauda sejmików ziemi Dobrzyńskiej**. („Akta hist. do objaśn. rzeczy polsk. służące". Tom X). Krak. nakł. Akad. Umiej. 1887. 4-o. str. VI i 466.
12. **Sprawy wojenne Stefana Batorego**. dyjaryjusze. relacyje. listy, akta z lat 1576—1582 (Akta historyczne do objasnienia rzeczy polsk. Tom XI). Krak. nakł. Akad. Umiej. 1887, wielkie 8-o str. XXXI i 430.
13. *Alfred Espinas*. **Społeczeństwa zwierzęce** wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii. Z 2-go wydania francuzkiego przełożył *J. K. Potocki*. Warsz. 1887, 8-o, str. II+492+IV.
14. *M. Ursin*. Oczerki iz psichologii sławianskawo plemeni. Sławianofiły. S. Petersb. 1887, 8-o, str. 223.
15. **Szkice z zakresu gramatyki** starożytnej napisał *Gustaw Blatt* (odbitka z „Muzeum"), 8 o, str. 22.
16. **Kaśka-karyatyda**. Powieść współczesna przez *Gabryelę Śnieżko-Zapolską*. Warsz. skł. w księg. T. Paprockiego i S-ki. 1888, 8-o. str. VIII i 458.
17. **O przyimku** pod względem składniowym przez *Ewarysta Rodziszewskiego*. Warsz. skład w księg. T. Paprockiego i S-ki. 1888, 8-o. str. 58 (cena 30 kop.
18. *Dr. A. Cullere*. **Magnetyzm i hypnotyzm** z punktu widzenia klinicznego, psychologicznego, medycznego i prawnego. Z drugiego wydania francuz. przełożył *J. Wł. Dawid*. Warsz. nakł. T. Paprockiego i S-ki, 8-o, str. VII i 324.

---


Дозволено Цензурою, Варшава 21 Ноября 1887 г.